morze i ziemia

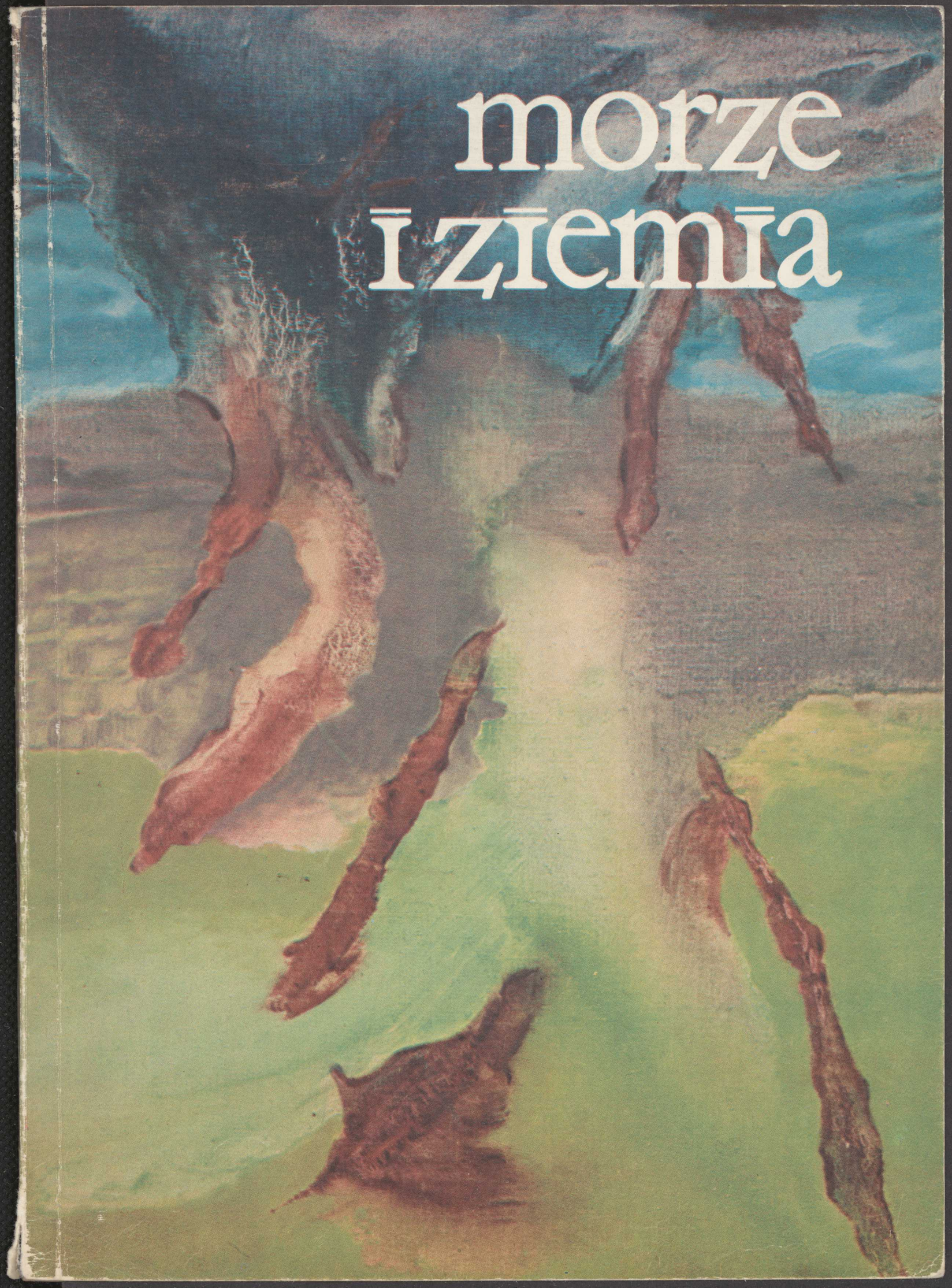

Fot. S. Pleśniarowicz; ZIEMOWIT SZUMAN — Świat podwodny — *akryl*, własność Muzeum Narodowego w Szczecinie

Fot. S. Pleśniarowicz

morze i ziemia

ALMANACH
SPOŁECZNO-KULTURALNY
czerwiec 1979 r.

Zamek Książąt Pomorskich
ul. Korsarzy
70-540 Szczecin

REDAKCJA:

Władysław Daniszewski
Ryszard Dżaman
Janusz Janowski (Red. graficzny)
Jerzy Jurczyk
Zbigniew Kosiorowski (Red. Naczelny)
Marian Kowalski (Sekretarz)
Kazimierz Kozłowski
Stefan Pleśniarowicz (Fotoreporter)
Wojciech Termanowski (Fotoreporter)
Lidia Wójcik (Red. techniczny)

RADA PROGRAMOWA:

Janusz Bukowski
Henryk Chmielowski
Bogdan Dopierała
Eugeniusz Daszkowski
Michał Hempoliński (Przewodniczący Rady)
Erazm Kuźma
Jerzy Pachlowski
Walerian Pawłowski
Guido Reck
Jerzy Piskorz-Nałęcki
Romuald Sawicki
Aleksander Winnicki

WYDAWCA:

Szczecińskie Towarzystwo Kultury
Zamek Książąt Pomorskich
Cena zł 20,—

SZGraf. Zam. 717/I/A F-5/98

W NUMERZE

ZBIGNIEW JANKOWSKI, Żywym i martwym . . 1

Przemówienie Bolesława Bieruta 3

JERZY JURCZYK, Pomnik Czynu Polaków . . . 4

HANNA KRALL, Perłowy odcień powietrza . . . 7

JOZEF KACZANOWICZ 10

MARIAN KOWALSKI, W „Teatrze 13 Muz" . . . 12

WOJCIECH BAJEROWICZ, Moje morze 15

ALINA GŁOWACKA, Stróżować nad swym morzem . 18

ANDRZEJ JEZIERSKI, Związek Miast Morskich . . 20

MICHAŁ HEMPOLIŃSKI, Marksowska idea komunizmu 24

PAWEŁ DWOROWSKI, Druga strona medalu . . . 28

JERZY ARKADIUSZ BIELECKI, Mary Brown, Krok w chmurach 29

JĘDRZEJ PORADA, Problemy bezpieczeństwa nie tylko zbiornikowców 30

RYSZARD BOGUNOWICZ, Ludzie i statki 32

JADWIGA NAJDOWA, Bałtyk w polskim malarstwie XIX w. 35

ZOFIA FAFIUS, Z narodzin pejzażu morskiego . . 36

JERZY JURCZYK, Malowanie morza 37

MARIAN YOPH-ŻABIŃSKI, Ocean 39

JAN LEGUT, Pamiętnik pana Baryki 40

ANTONI JERZY PISZ, Galapagos 43

ZBIGNIEW JANKOWSKI, Zapis zimowego brzegu, Krótkowidz, Wieczorem, O zmierzchu 47

WALERIAN PAWŁOWSKI, Morze w muzyce . . . 48

BOGDAN KOWALSKI, Bohaterowie morza na ekranie 50

ROMUALD WIESŁAW GUTT, Jeść i wiedzieć o tym 53

STANISŁAW TELEGA, Czy „literatura okaleczona"? 56

ZBIGNIEW KOCZERGA, Rzeczywistość potencjalna . 58

TADEUSZ BRZOZOWSKI, Analizy 61

CZESŁAW PISKORSKI, Polskie krajoznawstwo morskie 62

KRONIKA . . . . . 62—63

JERZY JASIŃSKI, Małe formy 64

Leszkowi Furmadze

Żywym i martwym

ZBIGNIEW JANKOWSKI

Bracia, których gdy to piszę
na kartce jak ojczyste śniegi,
tropik przygniótł słonecznym kolanem,
napoił amebą,
których z okiem suchym jak obłęd
wychylił przez burtę
za ciężki kielich żeglarskiej prawdy,

bracia, którym
z rąk, spod ślepej stopy
wyszarpują się poskręcane schodnie,
których wgniotło w pokład,
zmywa z nadburcia,
których mróz zatrzasnął na Północnym Morzu,
Biskaj znosi prosto na skały,
których zawiódł silnik,
sieć wplątała się w śrubę,
których ładunek powalił na burtę,
ze ścian spadają najdroższe portrety,
którym ogień z ładowni,
którym utknęła jedyna szalupa,
rozmokły rakiety,
których staranował nie rozpoznany kadłub
i wlókł przed sobą w głuchą mgłę,
którzy nie zdążyli po korkowe kamizelki,
nie złapali liny i koła, nie pochwycili
nawet sensu,
po których przypłynął dom z choinką
i matka biała jak opłatek,
w których wyły żony i dzieci,
którzy przysięgali już nigdy nie wypłynąć
po raz pierwszy dotrzymując słowa,
których przygniotły skrzynki z rybą, węgiel, ruda,
którym luk zatrzasło,
zacięły się stalowe drzwi,
którzy jeszcze długo walili w przewrócone dno,
których wyrzuciło po szesnastu dniach,
których nie rozpoznali na brzegu rodzice,
za których wróciły puszki, butelki i strzaskane deski,
za których wrócili ocaleni koledzy
z głęboko i na zawsze pochyloną głową,
za których pójdą, pójdą w tę samą przepaść
z przekleństwem czystym jak skrucha —

przebaczcie mi
mój cichy pokój,
na gładkiej kartce ciepłą rękę...

Brodwino, 31. XII. 1978—1. I. 1979

Obywatele!

Myśl, aby centralnym punktem tegorocznych uroczystości „Święta Morza" stał się odzyskany przez Polskę prastary, piastowski Szczecin ma głębokie uzasadnienie. Jest dla nas rzeczą niezmiernie ważną, ażeby zarówno wszyscy rodacy nasi, jak i przyjaciele, i sprzymierzeńcy, uświadomili sobie w pełni, że Polska odrodzona spod hitlerowskiej tyranii i niewoli, żyje dziś i rozwija się inaczej niż przed wojną. W tych nowych warunkach również i problem morza nabiera dla nas innego, daleko szerszego i głębszego znaczenia. O wielkim znaczeniu morza dla Polski i dla jej losów w najbliższej i najdalszej przyszłości mówi nam tutaj nie tylko sąsiedztwo żywiołu morskiego, nie tylko widok szeroko rozrzuconych terenów portu i ruch krążących po nim okrętów morskich. O znaczeniu i zasięgu problemów morza mówi nam tu bardziej uwidaczniająca się ich rozległość i przestrzeń, która rozdziela delty dwóch prastarych macierzystych rzek słowiańskich Odry i Wisły. Przed dwoma laty przestrzeń tę, szlakiem prastarych osiedli słowiańskich przeszły zwycięsko milionowe, wyzwoleńcze szeregi oddziałów radzieckich i polskich zraszając obficie swą krwią te ziemie, wierzymy w to — po raz ostatni. Wreszcie tę samą drogę, w znojnym wysiłku, przebyły i przebywają do dziś dnia, miliony naszych braci, dzisiejszych osadników polskich, spełniając swym mozolnym trudem i czynem, wielki akt sprawiedliwości dziejowej. Tu, z tego miejsca, lepiej niż z jakiegokolwiek innego zakątku ziemi polskiej przemawiają do serc naszych dzieje bohaterskiego, choć męczeńskiego szlaku tysiącletniej walki, tragedii i sławy narodu polskiego. Tu, w atmosferze tradycji historycznej, którą tchną mury, popioły i wspomnienia tego miasta z wyjątkową siłą, można też odczuć wielkość przemian jakie przeżywa dziś nowa Polska i potężnodziejowa moc tych przemian, bowiem od nich to przyszłe pokolenia znaczyć będą nowy okres naszej historii ojczystej.

Szeregiem fatalnych dla nas, a w następstwie i dla Europy, dziejowych skutków ekspansji germanizmu na wschód było: po 1 — wypchnięcie Polski ze środka Europy, po 2 — systematyczne odrzucanie nas od morza i wielkich szlaków handlowych, po 3 — narzucenie nam w wyniku tej ekspansji jednostronnego i najmniej korzystnego dla nas kierunku gospodarki, który osłabił aktywność polskiej ekonomiki i prowadził do upośledzenia miast, rzemiosła, przemysłu i handlu, a więc opóźniał rozwój sił wytwórczych kraju.

Wyzwolony dziś z drapieżnych pazurów najeźdźcy niemieckiego naród polski musi nie tylko leczyć rany i odgruzowywać ruiny spowodowane wojną, musi on równocześnie podjąć olbrzymi wysiłek, aby wyrównać spowodowane przez wielowiekowe zacofanie techniczne, kulturalne i gospodarcze, aby przyspieszyć tempo rozwoju. Z tym podstawowym zadaniem związany jest jak najściślej problem naszej pracy na morzu. Morze, to nie tylko piękny, wspaniały żywioł, morze — przede wszystkim — to wielki teren pracy, to potężne źródło bogactw, to rozległe szlaki żeglugi wiążące kraj ze światem, to niezwykle sprzyjający czynnik w gospodarstwie ogólnonarodowym i jeszcze bardziej pomyślny czynnik dla rozwoju handlu i współpracy międzynarodowej...

...Już przed wojną nowo zbudowany port w Gdyni wysunął się na pierwsze miejsce w obrotach portów bałtyckich. Obecnie Polska rozporządza trzema wielkimi portami i kilkunastu mniejszymi, na szerokim 500 km wybrzeżu morskim. Wprawdzie przejęliśmy te porty po wojnie w stanie kompletnie zdewastowanym, rozbite wybrzeża i falochrony, zrujnowane urządzenia, zaminowane tereny, zatopione w kanałach portowych kadłuby statków, magazyny, elewatory, dźwigi, taśmowce, kable, instalacje, budynki portowe, stocznie, doki, mosty, linie kolejowe w ruinach lub w stanie zniszczenia, bez taboru pływającego, bez holowników, bez sprzętu pomocniczego, bez ludzi odpowiednio wykwalifikowanych. A przecież mimo to wszystko miesiąc temu, w maju tego roku (1947 M.S.) odnotowano po raz pierwszy przekroczenie cyfry 1 mln ton przeładunku miesięcznego naszych portów oraz 25 tys. osób w ruchu pasażerskim. Realizowany dziś 3-letni plan odbudowy gospodarki stawia przed naszymi głównymi portami następujące olbrzymie zadania: przeładować towarów, w bieżącym 1947 roku 12 mln ton, zaś w 1949 roku 26 mln ton, tzn. że za dwa lata trzy główne porty polskie: Gdańsk, Gdynia i Szczecin. Nasza własna flota pełnomorska obejmuje już dziś 42 okręty o ogólnym tonażu 150 tys. BRT.

Przemówienie Prezydenta Bolesława Bieruta wygłoszone w czasie uroczystości „Święta Morza" w Szczecinie (data nagrania 29.VI.1947 r.).

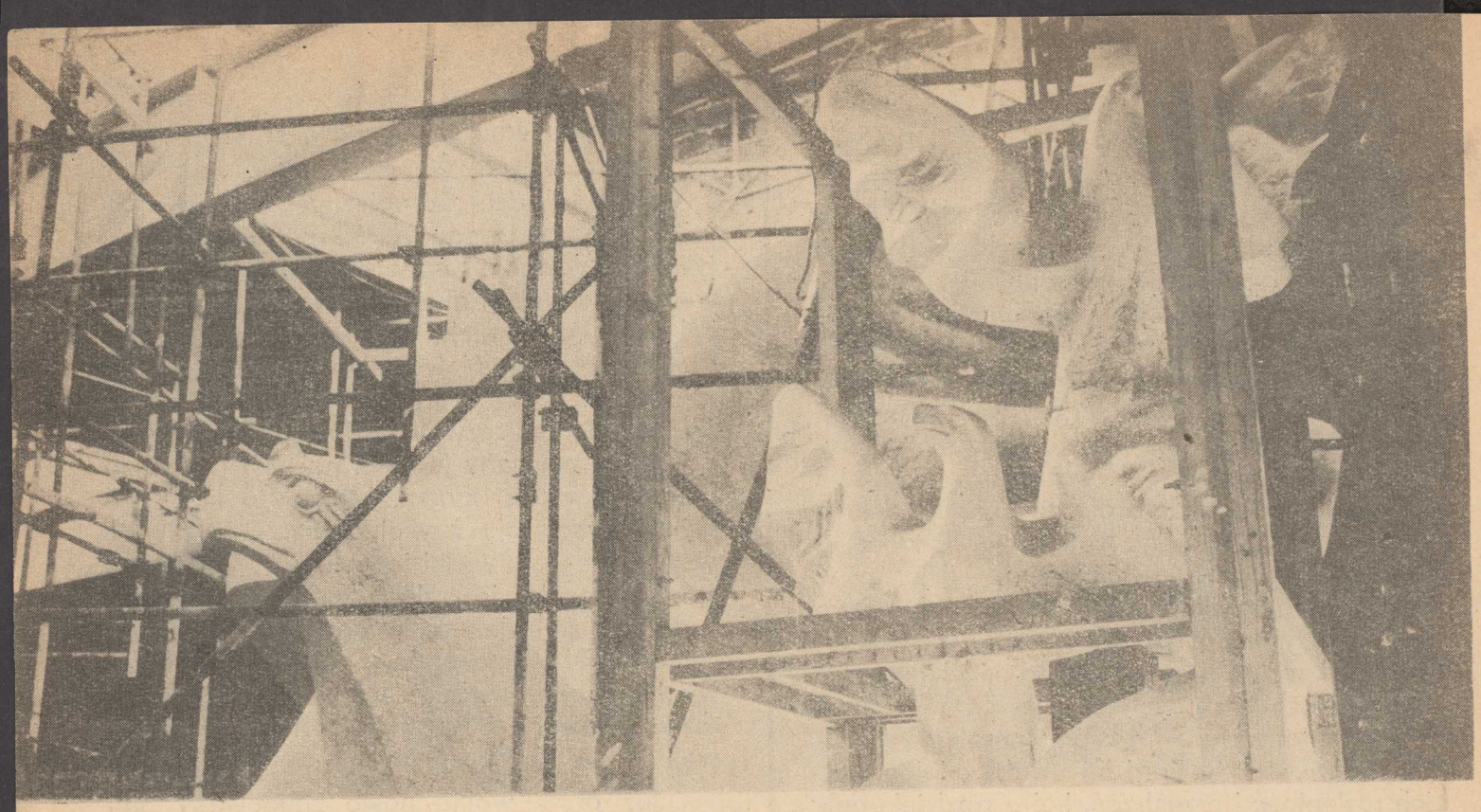

JERZY JURCZYK

Pomnik Czynu Polaków

Dwa lata temu w miejscu, gdzie kończą się Jasne Błonie i zaczyna Park Kasprowicza, pośrodku ozdobnego kwietnika, pojawiła się tablica z napisem:

„W tym miejscu zostanie wzniesiony przez społeczeństwo Ziemi Szczecińskiej POMNIK CZYNU POLAKÓW"

Pokoleniu młodych szczecinian ta malownicza okolica kojarzy się z letnimi spacerami, koncertami w amfiteatrze czyli z relaksem. Pionierzy Szczecina pamiętają, że na Jasnych Błoniach odbywały się pierwsze manifestacje 1-Majowe oraz inne uroczystości ważne dla życia kraju i miasta. Z czym jeszcze może kojarzyć się to miejsce?

dr BOGDAN FRANKIEWICZ — prac. naukowy Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Szczecinie:

„Jak wynika z relacji byłych, przymusowych robotników, których przywieziono do Szczecina w maju 1940 roku, na Jasnych Błoniach trzymano pod strażą — do chwili rozdziału do pracy w zakładach przemysłowych — transport dwóch tysięcy Polaków. Koczowali tam do momentu segregacji. Poza tym na obecnej ul. Słowackiego, a więc w pobliżu, był obóz założony latem 1940, gdzie również przybywali Polacy. Nazywał się on „WEST UND SEE". W marcu 1945 roku, przed ewakuacją z miasta, Niemcy zgromadzili tam bardzo dużo Polaków — trudno dokładnie ustalić ilość, opieram się bowiem na relacji naocznego świadka. W marcu w ciężkich warunkach, Polacy zebrani ze wszystkich obozów w mieście byli tam trzymani pod gołym niebem. Przygotowano ich do wymarszu, który miał się odbyć w kierunku północnym na Police, Anklam".

Audycja PR. z. 22 VII 78 r.

Począwszy od października 1976 roku, co kilka dni na pierwszej stronie „Głosu Szczecińskiego" pojawia się nagłówek „Budujemy Pomnik Czynu Polaków".

13 X 76

„Wczoraj w Muzeum Miasta Szczecina udostępniono do oglądania model Pomnika Czynu Polaków, który realizowany będzie na Jasnych Błoniach. Autorem jest Gustaw Zemła."

8 XI 76

Przedstawiciele s/s „Szczecin" jako pierwsi wręczyli przewodniczącemu Towarzystwa Przyjaciół Szczecina — prezydentowi miasta Janowi Stopyrze dar marynarzy, kwotę 2300 zł. Następnie pracownicy Polskiej Żeglugi Morskiej przekazali 30 tys. zł.

28 XII 76

Po informacji o przygotowaniach w warszawskiej pracowni G. Zemły autor notatki podaje: (...) „w środę 29 XII 76 o godz. 14 zbierze się w Szczecinie na inauguracyjnym posiedzeniu Społeczny Komitet Budowy Pomnika Czynu Polaków".

17 III 77

„Głos mają projektanci" — rozmowa z mgr inż. Witoldem Andrzejewskim z Biura Projektów Budownictwa Komunalnego, który kieruje zespołem opracowującym projekt zagospodarowania otoczenia pomnika. Mają być przygotowane trzy wersje, które zostaną przedstawione do publicznej dyskusji.

5 V 77

Jakie będzie otoczenie pomnika? Wybrano pierwszy wariant. 3,5 mln zł na koncie. Prof. dr Jerzy Piskorz-Nałęcki, szef biura konstrukcyjnego Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego, przygotowuje obliczenia wytrzymałościowe fundamentów pomnika.

29 VI 77 r.

6 mln na koncie. Odlew pomnika zostanie wykonany w Zakładach Mechanicznych im. M. Nowotki w Warszawie. Makieta pomnika z Muzeum Miasta Szczecina zostanie przetransportowana do Warszawy, aby posłużyć do wykonania modelu w skali 1:1.
ANDRZEJ KAJKA — dyr. nacz. Zakładów Mechanicznych im. M. Nowotki:

„Na co dzień zawodowo zajmujemy się produkcją silników wysokoprężnych średniej mocy. Jesteśmy w tej dziedzinie jednym z większych zakładów w Europie, nie licząc oczywiście dużych zakładów o podobnym profilu w Związku Radzieckim. Dzisiaj w naszych warunkach, w Polsce Ludowej, nie wystarczy dać człowiekowi pracę, zapłacić za nią i powiedzieć: jesteś wolny. Dzisiaj trzeba tworzyć szereg mechanizmów i działań, które w jakimś stopniu integrują tę załogę z fabryką i tworzą specyficzny klimat patriotyzmu zakładowego. I poza osobistą słabością do twórców, decydując się na partycypowanie w twórczości takiej jak rzeźba, mamy też w tym swój drobny interes. Wykonaliśmy już kilka pomników: Nowotki, Warzyńskiego, Kasprzaka i najpiękniejszy pomnik martyrologii polskiej „Polegli — Niepokonani" stojący na Woli, na kurhanie, gdzie leżą prochy 50 tys. Polaków walczących o dzisiejszą Polskę. Uczestniczyliśmy w wielkim przedsięwzięciu, jakim był „Pomnik Sapera". I to, co już zrobiliśmy do tej pory, czyni z naszej załogi tych, którzy na każdym kroku mogą z dumą powiedzieć: to wykonano u nas, w Zakładach „Nowotki".

Osobiście uważam, że wszelkie próby przeliczania takich przedsięwzięć jak pomnik na kilogramy brązu, na jakieś inne wartości, są chyba grubym nieporozumieniem. Nigdy bowiem społeczności, jak historia długa, nie miały nadmiaru chleba, nadmiaru dóbr materialnych dla zaspokojenia doczesnych potrzeb ludzi, a tylko poprzez takie sprężenie się i wielkie dzieła mamy, my jako naród, historię.

Mamy piękne zabytki, mamy pomniki. I przy dzisiejszych wszystkich trudnościach, oczywiście należy zachować umiar, nie można zająć się tylko pomnikami, ale musi się znaleźć czas i środki na takie sprawy jak sztuka. Tym bardziej, że nie ma chyba piękniejszej idei, jak Polskie Orły w Szczecinie, symbolizujące więź tego miasta — rozpoczynającego, a nie kończącego Polskę — z całym krajem".

Audycja PR. z 22 VII 78

13 lipca 1978 r. Warszawa-Wola. Szczecinianie wielokrotnie byli już w Zakładach „Nowotki", są tu już niejako zadomowieni. Oddany pod opiekę pana Stefana Mańki, rozpoczynam zwiedzanie zakładu. Pierwszym obiektem jest odlewnia, gdzie są m. in. realizowane pomniki. Wielkie hale produkcyjne, szum, hałas. Trochę spokojniej jest w gabinecie szefa odlewni.
inż. EDWARD SZOSTAK — szef odlewni Zakładów „Nowotki".

„Odlewnictwo rzeźb różni się od odlewów przemysłowych. Trudność polega na tym, że model gipsowy jest bardzo delikatny, kruchy i posiada tylko jedną stronę. Wszystkie kształty wewnętrzne trzeba już wyrobić rękami formierzy. Rzeźby większe robi się w częściach.

Około 60 pracowników naszego zakładu jest zaangażowanych przy wykonywaniu odlewów. Są to formierze, wytapiacze metalu, specjaliści od wyrabiania masy rdzeniowej, transportowcy. Finał będzie należał do modelarzy, którzy wykończą, wycyzelują każdą część, skręcą, pospawają".

Audycja PR. z 22 VII 78 r.

Co chwilę do gabinetu inż. Szostaka ktoś wchodzi. Kolejnym gościem jest Eugeniusz Kozak, „prawa ręka" prof. Zemły. Codzienny bywalec zakładów. Bez jego udziału nie byłaby możliwa realizacja pomnika. Przybywa też kierownik modelarni Stanisław Konarski, którego zadaniem jest złączenie w całość wszystkich elementów odlanych przez formierzy, wykończenie powierzchni zewnętrznej, zapatynowanie oraz zaprojektowanie i wykonanie wszystkich elementów potrzebnych do zamontowania tych orłów na cokole w Szczecinie. St. Konarski jest moim następnym przewodnikiem. Przy piecach łukowych do topienia brązu oglądam rozłożone formy odlewnicze oraz odlane, jeszcze nie oczyszczone, elementy orła. Z odlewni wędrujemy do modelarni, a potem do hali, gdzie będą montowane orły. Znajduje się tam już górny element kolumny wykonany przez stoczniowców „Warskiego". W kantorku St. Konarskiego natrafiam na dyskusję nad pewnymi szczegółami dokumentacji kolumny pomnika (są obecni modelarze: Górniak i Radźko oraz specjalista od spraw jakości Czesław Przybylski). Gdy wychodzimy z kantorku spotykamy w hali prezydenta Stopyrę, dyr. Kajkę i prof. Zemłę.
JAN STOPYRA — prezydent miasta Szczecina, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Budowy Pomnika Czynu Polaków

„Po tej kolejnej wizycie chcę podkreślić, że w dalszym ciągu na każdym kroku widzimy ogromną życzliwość ze strony kierownictwa Zakładów „Nowotki" na czele z dyr. Andrzejem Kajką i całej załogi, która jest zaangażowana, jeśli nie fizycznie, to moralnie, w stworzenie tego wielkiego dzieła. Jest to wspaniały przykład realizacji hasła „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką". Podkreślam zawsze, że bez tego ogromnego zaangażowania realizacja w tak krótkim czasie, tak ogromnego dzieła byłaby absolutnie niemożliwa. I za to załodze „Nowotki" od społeczeństwa Ziemi Szczecińskiej należą się słowa najwyższego uznania i podziękowania".

Audycja PR. z 22 VII 78 r.

GUSTAW ZEMŁA:

„Gdy dostałem ten temat, Pomnik Czynu Polaków, to muszę panu powiedzieć, w ogóle nie wiedziałem, jak podejść do tego. Nie można tu przecież operować symbolami banalnymi. Czułem jednak, że należy posłużyć się symbolem, pod którym chciałby się podpisać każdy Polak. Można powie-

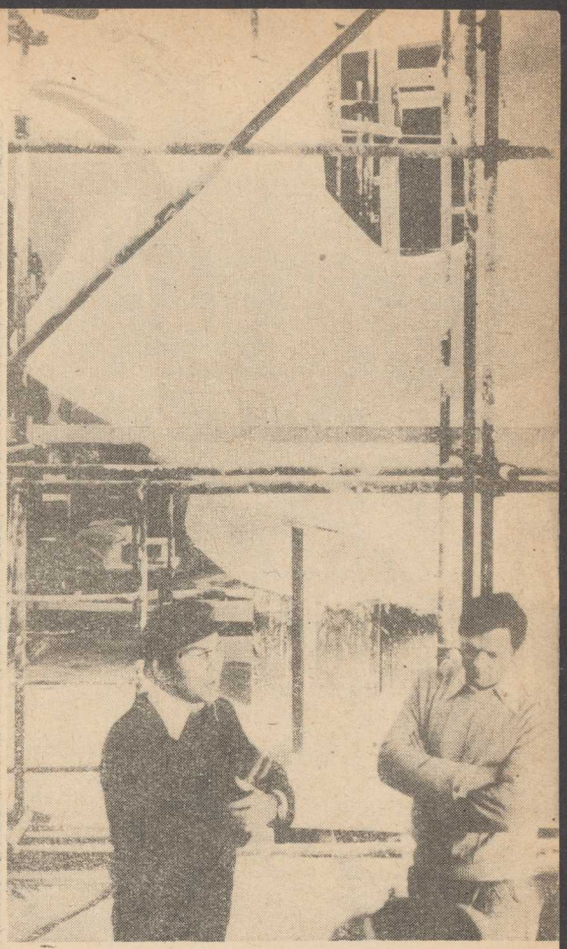

Fot. E. Kołodziejczyk; prof. GUSTAW ZEMŁA ze swym współpracownikiem artystą-rzeźbiarzem EUGENIUSZEM KOZAKIEM

Fot. E. Kołodziejczyk; prof. GUSTAW ZEMŁA — autor „Pomnika Czynu Polaków" w Zakładach Mechanicznych im. Marcelego Nowotki w Warszawie

dzieć, cóż prostszego — wystarczy wziąć orła, godło polskie, tak bliskie każdemu z nas. Ale, żeby dojść do tego właśnie skrótu myślowego, musiałem wykonać mnóstwo prób i poszukiwań. Powiem tylko, że powstało 16 różnorakich koncepcji. Ostateczny kształt pomnika, jaki obecnie się rysuje w modelu w skali 1:6 i w elementach w skali 1:1, też podlegał najróżnorodniejszym mutacjom, zmianom. Były to trzy oddzielnie wzbijające się w górę orły, były orły umieszczone na trzech kolumnach, itd. Wreszcie po rzetelnych studiach i dużej koncentracji psychicznej doszedłem do tego, że pomnik musi mieć formę jednolitą. Pozostały tylko dwa elementy: kolumna i orły. Kolumna jednak jest nie tylko elementem nośnym, ale również ma za zadanie kontrastować z rozwichrzonym elementem brązowych orłów. Pomnik szczeciński jest niejako kontynuacją pomnika katowickiego w sensie formalnym. Z tą jednak różnicą, że tamten wyrastał z ziemi, natomiast pomnik szczeciński jest jakby zawieszony w przestrzeni. Orły wzbijają się na wysokość 25 metrów. A więc są do pokonania trudności techniczne związane z udźwigiem tej masy. W końcu te skrzydła są jak żagle, w które ciągle będzie dmuchał wiatr. Trudny orzech do zgryzienia będą mieli więc stoczniowcy, dokonujący obliczeń wytrzymałościowych. Chciałbym tym pomnikiem zamknąć niejako cykl uskrzydlonych form, rozciągających się od południa do północy Polski. Ciągle jest to bowiem jedna i ta sama sprawa: naszego romantyzmu, naszych losów Polaków.

Mówiłem wcześniej o poszukiwaniach formy dla pomnika. Myślę, że orły będą dość czytelnym symbolem. Wątpliwości moje budziło zetknięcie dwóch materiałów o różnej kolorystyce i fakturze. Orły będą bowiem z lanego brązu, natomiast kolumna z walcowanej, srebrzystej blachy stalowej. Dojdzie do tego zieleń, błękit nieba. Muszę powiedzieć, że zastanawialiśmy się, czy kolumny również nie wyłożyć granitem, bardzo pięknym zresztą materiałem, który tradycyjnie zwykło się łączyć z brązem. Dla mnie jednak kolumna wyłożona stalą nierdzewną wiąże się integralnie z symboliczną wymową pomnika. Spięcie krystalicznie czystego prostopadłościanu kolumny z romantyczną, rozwichrzoną formą orłów jest spięciem nie tylko formalnym. Prostota i nowoczesność materiału, z jakiego będzie wykonana kolumna, współtworzy treść Pomnika Czynu Polaków. Również nie bez znaczenia jest koło o średnicy 20 metrów wyłożone granitem, stanowiące podstawę, pomnika, a będące symbolicznym Gniazdem Orłów."

Audycja PR. z 22 VII 78 r.

Zakłady Mechaniczne im. M. Nowotki w Warszawie. 24 listopada 1978 r. nastąpił tu komisyjny odbiór przez rzeczoznawców z Pracowni Sztuk Plastycznych ostatniego elementu pomnika, czyli gipsowego modelu trzeciego orła w skali 1:1. Jako rzeczoznawcy przybyli szczecińscy rzeźbiarze: Leonia Chmielnik i Stanisław Biżek. Obecni też byli przedstawiciele szczecińskiej i naczelnej dyrekcji PSP. Wśród zebranych znaleźli się także: wojewoda szczeciński — Jerzy Kuczyński i prezydent miasta Szczecina — Jan Stopyra.

Prof. GUSTAW ZEMŁA:

„Jest to już ostatni etap pracy twórczej, rzeźbiarskiej nad budową pomnika. Oczywiście, nie jest to w ogóle końcowy etp pracy. Ostatni, górny orzeł został wyrzeźbiony i jest przygotowany do odlewu w brązie. To znaczy musi jeszcze zostać dokonany podział giserski. Cięcie formy na poszczególne elementy, które z kolei powędrują do giserni, gdzie zostaną utrwalone w brązie. Ostatnim etapem będzie montaż. Każdy orzeł jest montowany z ponad 120 części. Po zmontowaniu wszystkich orłów nastąpi bardzo trudny moment przewiezienia ich z Warszawy do Szczecina. I na ten temat trwają w tej chwili dyskusje: w jaki sposób i jaką trasą orły winny zostać przewiezione.

Chciałem powiedzieć, że dopóki nie ujrzę pomnika w tym miejscu, gdzie powinien stanąć i w pełnym świetle to problemy, które mnie nurtują w związku z realizacją pomnika opadają mnie czasem jak jakieś „zmory". Nie znaczy to, że moje życie jest z powodu pomnika „okrutne". Wprost przeciwnie, muszę powiedzieć, że jest to coś wspaniałego, iż istnieje jakaś wartość, jakiś problem, któremu człowiek może się oddać bez reszty. To jest taka trochę i sportowa gra: jak to wyjdzie, jak się zderzy z przestrzenią, jakie to będzie miało oddziaływanie na ludzi, na pejzaż...? Jak sprawdzą się wszystkie moje przewidywania? A więc tych znaków zapytania jest bardzo wiele, bo co innego jest oglądać pomnik w skali 1:1 (ale we fragmencie, i w pracowni), a co innego zobaczyć go w przestrzeni. Są to problemy twórcze. Czasem się ludziom wydaje, że jak już jest projekt to wystarczy go tylko sposobami technicznymi przenieść w odpowiednią skalę. Otóż nie jest tak. Chciałbym tu bardzo wyraźnie podkreślić, że przeniesienie na większy format to jest nowy akt twórczy.

Audycja PR. z dnia 30 XI 78 r.

JAN STOPYRA:

„Oprócz podstawowych prac — rzeźbiarskich, odlewniczych, montażowych — które tu trwają, w Szczecinie również intensywnie się pracuje. Gotowy jest fundament, kanalizacja, instalacje oświetleniowe. Wokół miejsca, gdzie stanie pomnik, prowadzi się szeroko zakrojone roboty porządkowe, kosmetyczne — dróg, budynków. Czekamy więc na moment, gdy wszystkie orły, drogą przez Wisłę i Bałtyk, zjawią się w Szczecinie.

Audycja PR z 30 XI 78 r.

JERZY KUCZYŃSKI:

„To chyba nie miejsce na przemówienie, ale miejsce na osobiste refleksje i odczucia. Po raz pierwszy zetknąłem się z ideą budowy Pomnika Czynu Polaków niemal w drugim tygodniu po objęciu funkcji wojewody szczecińskiego, sześć lat temu. Na początku kwietnia 1973 roku spotkałem się po raz pierwszy z prof. Zemłą na rozmowie w sprawie pomnika, który był wówczas jeszcze na etapie pomysłu. Muszę powiedzieć, że nie bardzo wierzyłem w możliwość realizacji tak gigantycznego zamierzenia. Zwłaszcza, że niewielu było sojuszników dla tej sprawy. Wydawało się, że ogrom technicznych trudności, który wiąże się z realizacją takiego zadania, po prostu uniemożliwi jego wykonanie. Nie da się chyba ukryć, że w miarę upływu czasu sytuacja gospodarcza coraz mniej sprzyjała tego rodzaju przedsięwzięciu. Nadszedł okres, gdy trzeba było zacząć przeradzać piękną ideę, piękny pomysł, w czyn. I wtedy, jak mówił Jan Stopyra, zaczęły piętrzyć się ogromne techniczne trudności. Byłem przy odbiorze pierwszego orła i teraz jestem przy końcowym etapie pracy rzeźbiarskiej. Sądzę, że odzisiaj nie ma już nikogo, kto by wątpił, że pomnik ten zostanie w całości zmontowany na Jasnych Błoniach w Szczecinie.

Wydaje mi się, że pomnik ten będzie miał jeszcze jedną niepowtarzalną zaletę: będzie to pomnik, jak sama nazwa wskazuje, pomnik czynu Polaków. Czynu naszego pokolenia, które podczas 35 lat, co by nie powiedzieć, zrobiło ogromną, gigantyczną pracę. Zarzucają nam, a i my sami jesteśmy w pełni świadomi, że zrobiliśmy znacznie mniej, niż moglibyśmy zrobić, że popełniliśmy po drodze tysięczne błędy, ale jednak ogrom pracy, która została zrobiona, zasługuje chyba na to, aby została upamiętniona. Jest to pokolenie, które rozpoczynało pracę od samego tylko entuzjazmu i także chyba nie bardzo zdawało sobie sprawę z tego, na jakie dzieło się porywa. I w sumie jakiś efekt jednak osiągnęło. W pierwszym etapie pracy nad tym pomnikiem byli ludzie, którzy nam mówili: na co się porywacie, po co nam pomnik, zróbmy jeszcze jedno przedszole, jeszcze jeden żłobek, czy jakąś inwestycję bardziej odczuwalną dla społeczeństwa? Muszę powiedzieć, że były to może i trzeźwe głosy, ale jeszcze jedno przedszkole w tej — co by nie powiedzieć — ogromnej fali inwestycji, które zrobiliśmy, po prostu by „zginęło w tłumie".
A to dzieło, mam nadzieję, przetrwa wieki i będzie zawsze świadectwem pracy pokolenia pracującego w najtrudniejszych warunkach.

Dyrektor Kajka i cały kolektyw pracowniczy Zakładów „Nowotki" bardzo pięknie do tej akcji się włączył, dając jeszcze raz dowód, że nie korzyści materialne, nie doraźna pogoń za premią, za wykonaniem zadań kwartalnych jest solą naszego życia. Dowiedli, że oprócz normalnych, codziennych zadań powinniśmy jeszcze pamiętać i o innych rzeczach, zgodnie z zasadą, iż nie samym chlebem Polak żyje".

Audycja PR. z 30 XI 78 r.

PRZEDSTAWICIEL TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ SZCZECINA

„Pomnik będzie miał około 30 metrów wysokości. Składać się będzie z 3 orłów (waga — 15 ton, wysokość — 8 metrów, rozpiętość skrzydeł — 8 metrów). Tak olbrzymich orłów nie ma nigdzie na świecie. Nie ma jednego takiego orła. My będziemy mieli aż trzy".

Audycja PR. z dnia 22 VII 78 r.

Fot. S. Pleśniarowicz; EWA JĘDRZEJEWSKA-DRYGAS — Tratwa „Meduzy" — *olej*, obraz namalowany podczas pleneru „Opus '78" w Kamieniu Pomorskim

Fot. W. Termanowski; HENRYK WANIEK — P r z e j ś c i e — *olej*, obraz namalowany w 1975 r. na III Międzynarodowym Plenerze Bałtyckim Malarzy w Świnoujściu

Perłowy odcień powietrza

HANNA KRALL

— Słuchaj, na Wojska Polskiego są przecenione dżinsy. Były po dwieście siedemdziesiąt, Hania kupiła dla małego za sto, wziąć dla ciebie?

— Dostałam knyszyńską, będą mieli na parę dni. Wiesz, ilu miałam pacjentów dzisiaj? Czterdziestu. Same górne drogi oddechowe.

— Mnie się trafia coraz więcej bronchopneumonii.

— Ja miałam jedną.

— Wspaniałe pikle. Jak ty to robisz, że się tego octu nigdy nie czuje. U mnie w piklach zawsze czuje się ocet.

Siedzą wciśnięte między wersalkę a stół przykryty ręcznie mereżkowaną serwetą, pod regałem z książkami, wśród których nie tylko jest Fromm, ale jeszcze „Podżegacze" Szpanowa, naprzeciw telewizora, który wnuk co chwilę próbuje otworzyć, ale go przeganiają, bo pani z Warszawy przyjechała, żeby z babcią porozmawiać, przecież obiecał, że będzie przy pani bardzo grzeczny. Osobliwe mieszkanie szczecińskie: niby pokój, a tak naprawdę to hol, przechodzi się tędy do kuchni i do WC, ale liczy się za pokój i w dodatku największy, więc należy do babci, czy babcia — pionierka — doprawdy nie mogła sobie czego lepszego w tym Szczecinie znaleźć? Ale mogła, mogła, miała na przykład przydział na dwadzieścia pokoi, całe trzecie piętro (na blankiecie z niecałkiem aktualnym nadrukiem na odwrocie „Heil Hitler! Der Leiter des Amtes Für Rassenpolitik dr. Eimer" — tyle, że w nieistniejącym domu... Córki nie ma, córka z terenu nie wróciła jeszcze, bo społecznie musi popracować, a te przecenione dżinsy to na zimę mogą być? Więc ta pani przyjechała z Warszawy, żeby o nas napisać — o nas trzech — babci Bronce, babci Ince i babci Ninie, jak to — specjalnie po to przyjechała? Ale kto właściwie zna tę panią? Co to za człowiek jest? Na szczęście przyjaciele babci Inki z Łodzi znają ją, sama babcia Inka nie bardzo, ale ci przyjaciele z Łodzi mówią, że można z nią rozmawiać — no to może tołpygi kawałeczek? Prawda, że jak karp? Ja zawsze tołpygę faszeruję jak karpia i nawet wolę, bo mniej tłusta. Ta pani chciałaby od początku — wszystko po kolei i od początku, ładna historia. Więc babcia Bronka najpierw, bo jest najstarsza, dziewięćset drugi rocznik, z Orszy pod Smoleńskiem i rewolucję jeszcze pamięta. W takim małym domku żyła wtedy babcia Bronka, w Georgiewskim Pierieułku, i co dzień domek był w innych rękach. Rano nigdy nie wiedzieli w czyich dziś jest, więc się od razu patrzyło, kogo wyciągają z mieszkań. Pułkownika carskiego wyciągają — znaczy czerwoni przyszli. Kolejarza wyciągają — biali, znaczy. A mąż babci Bronki, nieboszczyk Wiesław, był komunistą. Nawet Maksym Tank napisał o nim w pamiętniku: „Żurnał dla wsiech" robił nasz redaktor, W. Szyran... i to był właśnie babci Bronki mąż. Jak Jurek Sztachelski, jeszcze ministrem będąc, przyjechał i pyta: — „Gdzie Szyranowa?" to zaczęli w aktach szybko szukać, o kogo chodzi, a Sztachelski w śmiech: — „Dyrektora przychodni wojewódzkiej nie znacie?" I dopiero wtedy połapali się, że Szyranowa to babcia Bronka właśnie.

Mąż babci Bronki zajmował się jeszcze — poza komunizmem i medycyną, (a pacjentów to miał, nie przymierzając, jak sam Harris) — polowaniami i hodowlą arbuzów. Przywoził arbuzy z Wilna, zapylał ogórkiem albo dynią i mówił, że w Łużkach wyhoduje takie same, a Łużki to było dwieście kilometrów na północ od Wilna, bo to już była polska Syberia tak zwana. Z początku nie mógł, jako komunista, dostać pozwolenia na broń myśliwską i bardzo bolał z tego powodu, ale babci Bronki brat przyjaźnił się, na szczęście, z czasów legionów jeszcze, z Kostkiem-Biernackim, tym co Berezę Kartuzką zorganizował, i ten Kostek od Berezy załatwił mężowi-komuniście pozwolenie na broń. Ciotka Bronka i jej mąż wzięli wtedy nasiona arbuzów i psy (a psów mieli dziewięć — cztery myśliwskie i pięć owczarków pilnujących pola) i przenieśli się do Wysokiego Litewskiego, gdzie były lepsze lasy do polowań i lepsza ziemia dla arbuzów i te arbuzy zaczęły dochodzić już do dwunastu kilogramów sztuka. W trzydziestym dziewiątym roku mieli właśnie patent na nasiona sobie wyrobić i obliczali, że wyciągną sto tysięcy z jednego zbioru i te nasiona i te arbuzy już im dojrzewają, a tu akurat wybucha wojna i na polu arbuzowym siadają samoloty. Zaraz potem zginął mąż ciotki Bronki, a ciotka Bronka została sama z dzieckiem, i jako jedyny lekarz w okolicy odbierała porody, opatrywała rany, operowała brzuchy i jeździła do Wilna z samogonem, za który dostawało się sulfonamidy, a czasami nawet nowokainę do znieczulania. W tych operacjach babcia Bronka nie była z początku za dobra, bo ich nigdy nie robiła przedtem, tylko widziała jak mąż robił, co, ale myśli sobie logicznie — śledziona pęknięta, to trzeba usunąć, tylko, żeby pamiętać o obszyciu naczyń... — Kończę operację — mówi babcia Bronka — i sprawdzam w podręczniku czy dobrze, a tu cholera, czytam, że otrzewną trzeba było obszyć! — No i co? — pyta babcia Inka — i otworzyłaś z powrotem brzuch? — A co ty — mówi babcia Bronka — sama się pewnie okręciła... — Na pewno — zgadza się babcia Inka. — Otrzewna często się okręca sama. Z kolei babcia Bronka opowiada o tym, jak na polecenie AK jeździła pod wskazane adresy, żeby opatrzyć rannych partyzantów i jak w związku z tym nauczyła się w każdej wolnej chwili zasypiać. Przysłali po nią furmankę albo sanie, trzeba było jechać w jedną stronę po sześć—siedem godzin nocą, i babcia Bronka zagrzebywała się wtedy w słomę, natychmiast zasypiała i spała tak aż do momentu, kiedy rozległ się okrzyk: — „Stój, kto idzie?!" Polecenia organizacji przekazywała jej dr Suszyńska z Wilna, lekarz AK, i oczywiście nie zawsze był to las, czasem trzeba było iść do prywatnych mieszkań, gdzie leżeli ranni, a czasem należało ich natychmiast umieścić w szpitalu, pozorując wyrostek, z tym, że jednak atmosfera lasu i ogniska nocą i oparów oddechu w mroźnym powietrzu i krótkich, powściągliwych słów w szałasie albo domku leśnika — tę atmosferę babcia Bronka lubiła najbardziej.

Z kolei babcia Bronka przechodzi do czasów współczesnych które się zaczynają w dniu, kiedy doktor Orłowski, lekarz z Wilna, pokazał jej jakąś gazetkę z tytułem — „Szczecin otwarty!" i powiedział: „Koleżanko, to jednak jest okno na świat..." W związku z czym dnia 27 lipca 1945 babcia Bronka znalazła się w Szczecinie.

Następuje epizod heroiczny: bandy, trupy, pięciogodzinna codzienna wędrówka piechotą do szpitala na Ar-

końskiej (który sami, to jest babcia Bronka i jej czterech kolegów, otworzyli), żurek dwa razy dziennie i dwieście gram chleba, komendant, który twardymi metodami przywracał porządek — i pierwsi pacjenci. Pierwszymi pacjentami babci Bronki po wojnie byli Niemcy. Przychodził człowiek z panaricium i mówił: — Jestem Niemcem, czy zoperuje mnie pani? A babcia Bronka odpowiadała na to: — Naturalnie, przecież jestem lekarzem, a pan człowiekiem cierpiącym. Ci powojenni Niemcy, mówi babcia Bronka, strasznie chorowali na tyfus i w ogóle nie wychodzili z niego. Dziwna historia: Polacy też chorowali, ale jakoś można ich było wyleczyć, a Niemcy mają jakby genetycznie obniżoną odporność... Sprawa z tyfusem przypomina zaraz babci Ninie jak ona sama chorowała, w Rubcowsku, w Kraju Ałtajskim. Była tam lekarzem w szpitalu, do którego przywożono codziennie po czterdzieści, pięćdziesiąt tyfusów i kiedy sama zachorowała, to tak ciężko że nawet włosów jej nie obcięli, bo jak będzie bez włosów wyglądać w trumnie, matkę zaś uspokoili, żeby o pogrzeb się absolutnie nie martwiła, bo odbędzie się na koszt szpitala. Jeszcze a propos tyfusu, wtrąca babcia Inka. Dzieci też zupełnie dobrze z niego wychodziły, nawet dzieci w getcie. Właściwie na tyfus umierały bardzo rzadko, dopiero potem, po wyleczeniu, jak łamała się odporność, łapały gruźlicę i od niej ginęły. Ale to wszystko działo się jeszcze w tym normalnym szpitalu, na rogu Śliskiej i Siennej, w którym była chirurgia i interna i choroby zakaźne i w którym taki początkujący pediatra mógł się sporo nauczyć. Babcia Inka nazywa ten szpital normalnym, ponieważ walczyło się w nim o zdrowie dzieci. Potem zaczął się w getcie głód i przywożono dzieci spuchnięte z głodu, którym dawano dziennie po pół jajka w proszku i pastylce cebionu, a dawali to sami lekarze, bo pielęgniarki też miały obrzęki głodowe i nie można je było narażać na mękę podawania dzieciom jajek, gdy same miały po trzysta gram zupy i cztery deko chleba na osobę w ciągu dnia. Przywożono także dzieci z gruźlicą albo ranne przy próbie przechodzenia przez mur i nie było dla nich nic, tylko żelazne łóżka, na których leżało po dwoje, troje pacjentów przykrytych papierowymi materacami. Wtedy nie chodziło już w ich szpitalu o leczenie. Chodziło o spokojne chorowanie wśród przyjaznych twarzy. — Na dole była informacja lekarska — mówi babcia Inka — i przyjmowanie paczek. Przynoszono w tych paczkach skórki od chleba, czasami cebulę... Przychodziła tam taka ośmioletnia Rywka, która już nie miała rodziców, Leżała u nas jej młodsza siostra i któregoś dnia Rywka przynosi dla niej paczkę. Mówię jej: — zabierz to, twoja siostrzyczka nie żyje... Wtedy tamta popatrzyła na mnie i powiada: — Widzi pani, jak człowiek musi uprać, sprzątnąć i przeszmuglować coś do zjedzenia, to już nie ma czasu upilnować dziecka, żeby nie chorowało... Te dzieci w naszym szpitalu były straszliwie dorosłe. Słyszałam kiedyś jak rozmawiały o nas, lekarzach między sobą: oni nic nie rozumieją — mówiły. Oni nas pytają o rodziców, o dom. Oni są jak małe dzieci — pewnie nigdy naprawdę głodni nie byli...

No, a potem już był Umschlagplatz, z którego wywożono ludzi do Treblinki i szpital, w którym pracowała babcia Inka, przeniesiono do budynku na tym placu. Byli tam trzy tygodnie. W ich szpitalu nie chodziło już ani o wyzdrowienie ani o spokojne chorowanie. Chodziło jedynie o spokojną śmierć: bez wrzasku gestapowców, bez wagonów, bez komory gazowej — o cichą, dobrą śmierć w szpitalnym łóżku.

Kiedy już zlikwidowano i Umschlagplatz i szpital i czterysta tysięcy ludzi wywieziono do gazu, któregoś dnia powiedziano babci Ince tak: masz niebieskie oczy i jesteś blondynką; przejdziesz na aryjską stronę, zgłosisz się na Senatorską i tam powiedzą ci, co masz robić. I babcia Inka zgłosiła się na Senatorską i odtąd na polecenie Żydowskiej Organizacji Bojowej nosiła paczki z bronią, które dawał jej Jurek albo towarzysz Krzaczek z PPR, i które trzeba było doręczyć komuś, kto wracał przez mur, odbierała też fałszywe dokumenty, przygotowane przez pana Tretiakowskiego z magistratu dla ludzi z getta, szukała z Marysią Sawicką mieszkań dla tych, co wychodzili — i tak trwało do 19 kwietnia, to jest do wybuchu powstania w getcie warszawskim.

Po opowieści babci Inki rozmowa toczy się przez chwilę wokół spokojnej śmierci, więc schodzi na Hankę, na ich czwartą przyjaciółkę, która umarła trzy lata temu.

Hanka była więźniarką Rawensbrück, umarła we śnie, więc śmiercią najlepszą, bo wolną od strachu i poniżenia. Taką dokładnie na jaką zasłużyła sobie. No dobrze, a co z nianią? Nie przyszła? Nie może być. Dwa tysiące za samą tylko opiekę nad dzieckiem — i nie przyszła? Wśród babć konsternacja: Basia, córka Hanki musi już wracać do pracy, a nie ma kto zostać z Krzysiem. Ale babcia Inka ma dobrą wiadomość: Krzyś waży osiem trzysta. Od razu, jak tylko Basia zadzwoniła, że waży siedem, babcia Inka powiedziała — o, nie, dziecko siedmiomiesięczne przeze mnie prowadzone od urodzenia, nie waży siedmiu kilogramów, sprawdź jeszcze raz — i co się okazało? że waga była nie w porządku. No, dobrze, ale co z tą nianią? Babcia Nina jeszcze rozpyta u siebie w przychodni, bo jak długo Basia, elektronik od maszyn cyfrowych może tak siedzieć w domu? Babcia Nina — kiedy tak wspominają sobie (na użytek gościa z Warszawy naturalnie, bo same już znają te historie ze szczegółami) mówi nagle tak: czy wy naprawdę wierzycie, że wszystko to się nam przytrafiło? Że mogłyśmy to przeżyć? Przecież to w ogóle nie było do przeżycia. Zapada cisza, bo babcia Bronka oraz babcia Inka zaczynają się zastanawiać czy to było do przeżycia. Nie, nie było, i dzisiaj nie dałyby rady przeżyć, więc jak się to dzieje, że człowiek potrafi przejść przez wszystko? Babcia Nina, na przykład, potrafiła dziesięć kilometrów lecieć pod nieustającym ogniem, żeby wyrwać się z okrążenia. Było to pod Budziszynem, w kwietniu 1945 r. Babcia Bronka wyruszała właśnie w drogę do Polski i myślała sobie — skoro to ta Polska jest, jakiej chciał Jurek Sztachelski i nieboszczyk Wiesio, to nie może to być Polska niedobra, babcia Inka kładła właśnie kwiaty na grobie osiemdziesięciu chłopców na Miłej, bo mijał rok od ich samobójczej śmierci (jeszcze tylko jeden raz tam poszła, jak były ruiny; kiedy uprzątnięto plac i postawiono pomnik i zaczęto bić w werble, i kłaść wieńce, i wygłaszać przemówienia — babcia Inka przestała w to miejsce przychodzić, bo przestało być jej miejscem), otóż kiedy wszystko to się z babcią Bronką i babcią Inką działo — babcia Nina zbliżała się do dolinki w pobliżu Budziszyna, na której stał klasztor żeński. Babcia Nina, jako lekarz pułkowy skierowana przez rajwojenkomat Kraju Ałtajskiego do II Armii WP (trzydziesty pułk piechoty, dziewiąta dywizja) obeszła już wszystkie bataliony i sprawdziła czy każdy żołnierz ma pod mundurem kartkę z imieniem, nazwiskiem i wypełnioną rubryką — „kogo zawiadomić", sprawdziła także czy w lewej kieszeni munduru znajduje się opatrunek osobisty i wtedy to zdała sobie sprawę, że niemiecką artylerię słychać nie tylko przed, ale i za nimi, a właściwie to słychać ją dookoła, i nim jeszcze dotarła do niej myśl co to oznacza — usłyszała okrzyk pułkownika Żuka —

jesteśmy okrążeni, biegnijcie! Biegli przed siebie dziesięć kilometrów. Przez cały czas strzelano do nich ze wszystkich stron i chodziło o to, żeby nie dać się zabić. Próbowali na chwilę schronić się w lesie, ale siedzieli tam snajperzy, dopadali ogródków, ale wtedy widziano ich z czołgu — dookoła były czołgi, wybuchy i ogień, a oni biegli dokładnie w chwili, gdy babcia Nina powiedziała sobie, że właściwie jest jej wszystko jedno i nie ma po co biec — pojawił się na koniu człowiek, który krzyczał — dawaj siuda, dawaj siuda! i okazało się, że są już poza okrążeniem. Wtedy policzyli, ilu ich jest i okazało się, że jest siedmiuset, z dwóch i półtysiąca, a jak skończyli liczyć, nadszedł jakiś oficer, który pogratulował im, bo dywizja feldmarszałka Schredera, która ich okrążyła, nie mogła przez to iść z pomocą Berlinowi. Gratuluję wam, dzięki wam Berlin padł o kilka godzin wcześniej, mówił ten oficer, a babcia Nina zamiast cieszyć się, że przyczyniła się do wcześniejszego zdobycia Berlina, pomyślała sobie — więc to byłam ja, która biegłam z dyplomem lekarskim w ręku? (Bo babcia Nina zniszczyła, biegnąc, wszystkie dokumenty, i legitymację oficerską i legitymację Związku Patriotów Polskich i tylko dyplom lekarski trzymała w ręce czekając ze zniszczeniem go na ostatnią chwilę).

Pora teraz niewątpliwie na chwilę wytchnienia, a nic tak dobrze nie wpływa na człowieka i przywołuje go do porządku, jak wnuk, któremu należy dać kolację. Więc będzie przez chwilę o wnukach, tym bardziej, że córka babci Niny nie wróciła jeszcze ze swojej pracy społecznej. Córka jest inżynierem-chemikiem, a teraz działa w ZSMP i właśnie prowadzi w Kamieniu szkolenie w związku z pociągiem przyjaźni. Zatem — kolacja dla wnuka i stosowna rozmowa o marynowaniu śliwek, tym razem — że zawsze lepiej wyjąć z nich pestkę, a wnuk babci Bronki dostał w tych dniach mieszkanie, w związku z czym odbył się tam uroczysty brydż. Właściwie nie jest to rodzony wnuk, tylko syn bratanka Kazika, ale się do babci Bronki przyznaje. Ten wnuk pływa, zaś bratanek Kazik jest głównym dyspozytorem portu, jeżeli chcę, to babcia Bronka poprosi, żeby mi poopowiadał. Ależ naturalnie że chcę, więc nazajutrz bratanek Kazik opowie mi, na czym polega praca dyspozytora portu. Polega mianowicie na tym, że bratanek Kazik decyduje o wejściach i wyjściach wszystkich statków w porcie szczecińskim. Jest, powiedzmy, telefon czy przyjmą statek z makuchami, albo z tarcicą z NRD, pod warunkiem, że w dwa dni skończy się Wyładunek i bratanek Kazik musi natychmiast udzielić odpowiedzi — przyjmą czy nie przyjmą. Oto właśnie wiadomość, że dwudziestego drugiego chce wejść statek z rudą i pyta, jakie ma szanse. A bratanek Kazik mówi, że szanse są minimalne, bo już dziś, ósmego listopada, zajęte są miejsca na Nabrzeżu Portowców w Świnoujściu aż do dwudziestego dziewiątego. Pytam bratanka Kazika czy pamięta, kto zajmie te miejsca i bratanek Kazik mówi: — Naturalnie, że pamiętam: w tej chwili jest „Agios Nikolaos", który musi wyładować 12 tysięcy ton rudy, potem idzie „Chemik", który ma odlichtować dwa tysiące ton rudy, żeby wejść do Szczecina, za nim „Politechnika Śląska" — zdejmie dwanaście tysięcy ton i pójdzie do Gdańska, potem „Obrońcy Poczty" — trzynaście tysięcy ton przed wejściem do Szczecina potem „Mary Lisa", dziesięć tysięcy „Politechnika Szczecińska". — Już była — mówię z triumfem, jak widz, który przyłapuje sztukmistrza na zgubieniu królika, ale bratanek Kazik odpowiada: — Nie, była „Politechnika Śląska", a teraz o „Szczecińskiej" mówię, zdejmie dwanaście tysięcy ton i pójdzie do Gdańska, potem „Huta Lenina". — Dobrze już, dobrze — przerywam bratankowi Kazikowi, który to wszystko mówi z głowy i jeszcze pyta czy interesuje mnie, co będzie i w jakiej kolejności na nabrzeżu Czechosłowackim, albo na Starówce. Nie, mówię, nie interesuje, tylko chciałabym wiedzieć, jak się dochodzi do takiej wprawy. Stopniowo — mówi na to bratanek Kazik. — Przyjmuje się szóstego września 1946 transport stu sześciu koni z UNRRA, przywieziony przez duński statek „Zonderyland" na nabrzeżu „Mak", a potem przez trzydzieści dwa lata ta wprawa stopniowo się zwiększa. Umowa bratanka Kazika z babcią Bronką była taka, że rozmawiamy tylko o dniu dzisiejszym, a nie o wojnie, więc nie pytam ani o skok spadochroniarzy z samolotu Halifax, ani o organizację „Wachlarz" (porozumienie Stalina z Sikorskim o działaniach polskich dywersantów na tyłach wroga), ani o przesłuchaniach na Gestapo, ani o Oświęcim, nic z tych rzeczy, absolutnie nic, dzień dzisiejszy jedynie — synowie, którzy pływają, mieszkanie, które niedawno oblewali, statki, które się wpuszcza, ewentualnie — przyjęcie na radzieckim statku, które wydaje dziś kapitan z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej — to wszystko tak, z przyjemnością, ale przecież nie historia Michałowskiego, pseudonim „Ryba", który w celi gestapo wyjął zaszyty w kamizelce cjanek i połknął, ponieważ bał się, że nie wytrzyma ani jednego dnia tortur więcej. Bratanek Kazik stał i patrzał jak Michałowski, przyjaciel bratanka Kazika, podnosi do ust ampułkę — stał i nie uczynił najmniejszego gestu, bo rozumiał, że jak człowiek uważa, że nie wytrzyma ani jednego dnia tortur więcej, to nie należy mu w niczym przeszkadzać... Ale o tym wszystkim — jak mówią — będzie nazajutrz, w porcie, dzięki wstawiennictwu babci Bronki. Dziś wciąż jeszcze siedzimy, rozmawiając o wnukach, nianiach i pacjentach babci Inki, babci Bronki i babci Niny, bo wszystkie babcie pracują nadal na pół etatu — babcia Inka u kolejarzy, babcia Nina u dzieci, a babcia Bronka w szpitalu na Arkońskiej, w tym samym dokładnie, który zakładała przed trzydziestoma trzema lata. Miejsce pracy nie zmienia się, lecz zmienia się rzadko, zmieniają się jedynie choroby i one to wyznaczają upływ czasu. Kiedy jest tężec od zanieczyszczonych ran, albo wścieklizna od bezpańskich, zdziczałych psów, to znak, że wojna skończyła się przed chwilą. Kiedy są pierwsze szklarlatyny i odra, to znaczy, że przebywają już rodziny z dziećmi. Kiedy zaczynają się choroby weneryczne, to znaczy, że jest masowa migracja ludzi oraz że ruszył port. Kiedy kończy się gruźlica, to znak, że zorganizowano już sprawnie sieć poradni D i objęto masowymi szczepieniami wszystkie dzieci. W każdej z tych spraw uczestniczyły wszystkie trzy babcie. Babcia Nina w zwalczaniu chorób wenerycznych (była dyrektorem Poradni Wojewódzkiej W), a babcia Inka i babcia Nina w zwalczaniu gruźlicy dziecięcej. Mówią o tym jak pojawiły się antybiotyki — najpierw penicylina, której jedynym dysponentem w Szczecinie była babcia Bronka właśnie, i kazała znaczyć nocami wszystkie ampułki, a pacjenci kwitowali odbiór lekarstwa, potem streptomycyna, która była na wagę złota... Jak babcia Inka z doktorem Fudalą otwierali oddziały gruźlicy dziecięcej na Janosika i na Piotra Skargi, to sto trzydzieści łóżek zapełniło się w ciągu kilku dni (nie było szczepień, mieszkania ciasne, marne odżywianie i brak lekarstw). W tej chwili jest trzydzieści łóżek w Szczecinie, a i to dla wszystkich chorób płucnych, bo gruźlicy praktycznie nie ma. Dziś w Szczecinie — jak wszędzie — trochę żółtaczki, a przede wszystkim górne drogi oddechowe... „Pokojowe" choroby okresu stabilizacji: przegrzanych, przechuchanych dzieci z obniżoną odpornością na przeziębienie.

Najwyższy już czas, żeby wróciła córka babci Niny i wniosła akcent młodzieżowy: pociąg przyjaźni, szkolenie o technice propagandy, plany wzrostu organizacji ZSM w Szczecinie... Babcie słuchają o tym jak rośnie młodzieżowa organizacja, a babcia Nina podgrzewa swojej córce — działaczce obiad. Babcia Nina bardzo dba o to, żeby tu był prawdziwy dom. I babcia Bronka dba, i babcia Inka... Więc marynują pikle i pieką ciasto w niedzielę... Tak, to bardzo ważne, żeby było ciasto w niedzielę, to bardzo ociepla atmosferę domu. To tym ważniejsze, że córka babci Niny rozwiodła się ze swoim mężem, i córka babci Inki rozwiodła się z mężem i Basia, córka ich nieżyjącej przyjaciółki sama dziecko wychowuje... A babcie pytają same siebie — czy to przypadek, czy też może w atmosferze domu było coś, co wpłynęło na te kłopoty rodzinne. Tak, babcie przejmują tę sprawę na swoje sumienie: one, jako matki bardzo starały się być normalne, ale przecież tak do końca nie były i to się musiało jakoś odbić na domu i na ich własnych małżeństwach.

* I nagroda w konkursie ogłoszonym przez redakcję Głosu Szczecińskiego na reportaż pod hasłem „Morze i Ziemia".

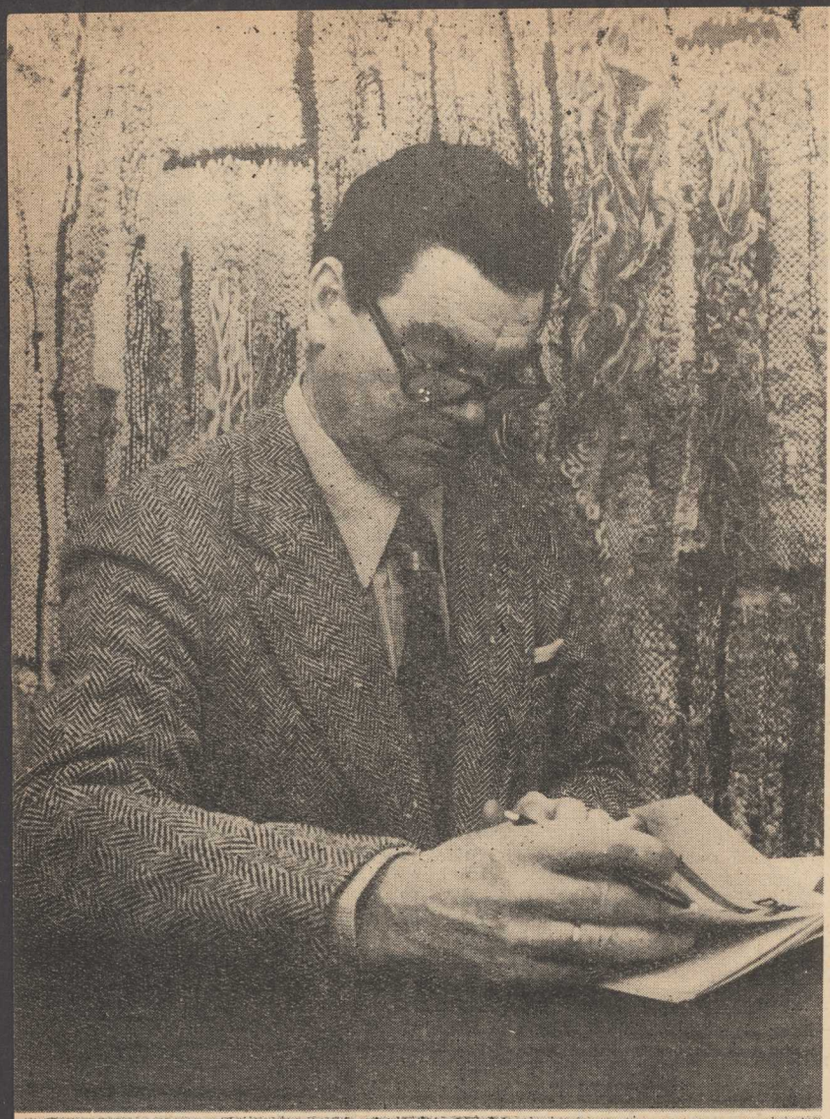

Józef

Moja droga na morze wydaje mi się dość typowa dla rodaków, przynajmniej tych z mego pokolenia. Ilu z nas urodziło się nad morzem czy przynajmniej w wieku dziecięcym widziało morze? Urodziłem się daleko od wybrzeża, bo aż w Bochni. Ale właśnie tam rosłem na marynarza. Lubiłem sport, nigdy nie zakrywałem szyi zapiętym kołnierzykiem, bo chciałem oddychać pełną piersią, szeroko. Miałem też kolegę, który jako junga opłynął kulę ziemską. To on rozbudził we mnie zainteresowania morzem, moją fizyczną tężyznę począł przymierzać do marynarskiego zawodu.

Zgłosiłem się do Rejonowej Komendy Uzupełnień, która przeprowadzała nabór do wojska. Po lekarskich badaniach skierowano mnie do Polskiej Marynarki Wojennej w Gdyni. Po trzech miesiącach przeszkolenia zaokrętowano mnie na ORP „Wilia", transportowcu Polskiej Marynarki Wojennej, na którym był kurs podchorążych i marynarzy sygnalistów. Mieliśmy płynąć na Morze Śródziemne, ale pierwszy sztorm na Morzu Północnym uszkodził maszyny. Musieliśmy zawinąć do Casablanki. Z dużym zapasem węgla i żywności, z ukrytymi w ładowniach armatami staliśmy w Casablance w oczekiwaniu na zakończenie remontu. Tam doszła do nas wiadomość o napaści hitlerowców na Polskę.

W październiku wypłynęliśmy z Casablanki do portu Lautey. Spotkaliśmy się z załogą szkunera „Iskra". Sprzedaliśmy nasze zapasy węgla i 170 marynarzy pasażerskim statkiem popłynęło do Bordeaux, a stamtąd do Brestu. Szkolenie wojskowe przeszliśmy w Laundernaux. W Anglii na uzupełnienie załóg czekały: „Błyskawica", „Burza", „Grom", „Wilk". Angielską kanonierką przedostaliśmy się do Plymouth. Zaokrętowano mnie na s/s „Kościuszko", który został zamieniony na bazę wojskową ze zmienioną nazwą ORP „Gdynia". Po przeszkoleniu jako sygnalistę zamustrowano mnie na ORP „Wilk".

Naszym zadaniem było chronić konwoje. Statki zbierały się u ujścia rzek, formowały się w konwoje. My prowadziliśmy nieustanny nasłuch, obserwacje widnokręgu, w razie potrzeby atakowaliśmy. Były to zadania męczące. Cały czas obowiązywało nas alarmowe pogotowie: spaliśmy, jedliśmy nie rozstając się ze sprzętem bojowym. W długich przelotach prowiant i paliwo braliśmy w morzu, a więc na odpoczynek nigdy nie było czasu.

Na „Wilku", „Kujawiaku", Krakowiaku" ścigaczach S I, S 3, S IO i „Piorunie" przepływałem pięćdziesiąt jeden miesięcy. Na ORP „Krakowiak"

Fot. W. Termanowski

Kaczanowicz

byłem w pierwszej linii okrętów wspierających ogniem lądowanie wojsk alianckich na plażach Normandii. Jako działowy czterech sprzężonych czterdziestek kierowałem ogniem przeciwko atakującym ścigaczom i samolotom, osłaniałem ogniem swych dział desant, składający się z obsady trzeciego działa, a który ORP „Krakowiak" wysłał z pomocą angielskim komandosom zajmującym niewielki port między Hawrem a Caen.

Z tych licznych akcji zostały wspomnienia, do których niechętnie powracam. I odznaczenia, medale za udział w II wojnie światowej, Medal Morski z potrójnym okuciem.

Po wojnie zgłosiłem się do Polskiej Misji Wojskowej i zostałem skierowany na statek z reparacji wojennych s/s „Beniowski". Do kraju wróciłem w październiku 1947 r. jako starszy marynarz. Na statku podpisałem deklarację o wstąpieniu do PPR. Po przybyciu do kraju zgłosiłem się do pracy w Urzędzie Morskim w Szczecinie i po kursie zostałem pilotem portowym. Na własną prośbę oddelegowano mnie do Darłowa.Zostałem wykładowcą w Zasadniczej Szkole Rybołówstwa Morskiego i kapitanem statku szkolnego m/s „Franek Zubrzycki". Chcąc podnieść swoje kwalifikacje — w 1959 przeszedłem do pracy w Polskiej Żegludze Morskiej, gdzie w 1967 r. uzyskałem dyplom kapitana żeglugi morskiej. Jako kapitan pływałem na „Prośnie", „Wodnicy", „Hucie Łabędy", „Stawnie", „Kolejarzu", „Kielcach", „Piotrkowie Trybunalskim", „Szczecinie". Wiek emerytalny osiągnąłem na „Eugenie Cotton".

Na moje życie ogromny wpływ wywarła matka. Ojciec umarł nam wcześnie, wychowaniem pięciorga dzieci zajmowała się matka.To ona wszczepiła w nas pierwsze zasady uczciwości, rzetelności, szacunku do innych. I o tych zasadach nie zapomina się przez całe życie, nawet w najtrudniejszych chwilach. Przede wszystkim przez pamięć o matce.

Chciałem mieć dom, w którym moja żona spełniałaby wobec moich dzieci podobną rolę, jaką odegrała matka wobec mnie i mego rodzeństwa. I osiągnąłem to. Dzięki mej żonie z tęsknotą wracałem do domu z morza, jej zawdzięczałem, że czekał na mnie ład, porządek, dobre wyniki w nauce naszych dzieci. Najstarsza córka ukończyła już w szczecińskiej Akademii Rolniczej ichtiologię z wyróżnieniem, pracuje w tej uczelni, syn po Wyższej Szkole Morskiej w Szczecinie pływa jako II oficer na „Warnie", a najmłodsza córka kończy IV rok medycyny w Szczecinie.

Wolę mówić o tym niż o udziale w czasie II wojny światowej. Bo co pozostaje w człowieku z wojny? Świadomość spełnienia obowiązku narzuconego przez wydarzenia historyczne. I to przechodzi do przeszłości jako akt martwy, zamknięty. Inaczej rzecz się ma z obowiązkiem ojcowskim. Tu niczego nie można zamknąć, to wszystko wciąż jest żywe, nagradza nas albo odbiera na stare lata spokój ducha.

Jako oficer miałem sposobność do przeprowadzania podczas wacht rozmów z marynarzami. Niestety wiele, za wiele jest w rodzinach nieporozumień, które odbierają spokój ducha, wywołują potrzebę ucieczki od rzeczywistości.

To źle, że porty coraz bardziej izolują marynarza od normalnego życia. Bliskość codziennej rzeczywistości jest marynarzowi bardzo potrzebna, łagodzi ona poczucie jego samotności, odosobnienia, wyobcowania.

Porty morskie w chwili obecnej wiele straciły ze swej atrakcyjności, coraz częściej stają się ogrodzonymi miejscami przeładunków, gdzie robi się wszystko, aby statek był jak najszybciej obsłużony i znalazł się w morzu. Niewiele jest na świecie takich portów jak Leningrad, gdzie zapewnia się marynarzom zwiedzanie miasta, zabytków. A niestety zaspokajanie turystycznych potrzeb na ogół jest za drogie na marynarską kieszeń. I to jest jeszcze jeden powód do stressów.

Dzisiejszy człowiek morza to wykwalifikowany robotnik albo oficer, mechanik. Rosną kwalifikacje zawodowe, ale rosną też i wymagania wobec ludzi. Zagęszczenie na torach wodnych i w portach jest tak ogromne, że wymaga to zwiększenia aktywności ludzkiej, a to z kolei powoduje zmęczenie i często niechęć ludzi do zawodu. Człowiek na statku jest kółeczkiem w trybie maszyny eksploatacyjnej i najmniejsza niesprawność tego kółeczka powoduje awarie, poważne straty materialne. Stąd stała kontrola kierownictwa statku nad czynnościami powierzonymi marynarzom. Ale załoga musi wiedzieć, że nie tylko ma czujnego kapitana. Ona chce mieć w kapitanie kogoś, kto przyjdzie jej z pomocą i radą w sprawach dalekich od czynności zawodowych.

Kapitan najczęściej jest w opozycji do załogi, ponieważ wymaga od członków załogi dyscypliny, rzetelności w pracy, a przecież są to walory, którym nie zawsze pozostaje się wiernym dla samej zasady. W takich sytuacjach często nie wystarczy już doświadczenie własne, znajomość psychiki ludzkiej, kapitan musi przestać być pierwszym po Bogu i odwołać się do czynnika społecznego, organizacji partyjnej, delegata załogowego. Sądzę, że udało mi się pozyskać życzliwość załóg, z którymi pływałem i ten fakt dla człowieka, który spędził czterdzieści lat życia na morzu, nie jest obojętny.

MARIAN KOWALSKI

W Teatrze 13 Muz

I

15 IX 1958 r. szczecińscy aktorzy w Klubie Związków i Stowarzyszeń Twórczych, w Klubie „13 Muz", odczytali traktat A. Gide'a „Powrót syna marnotrawnego". Tę scenę lektur nazwano „Teatrem Propozycji". Powstała z inicjatywy ówczesnego dyrektora i kierownika artystycznego Teatrów Dramatycznych, Aleksandra Rodziewicza, który w sali Międzynarodowej Prasy i Książki odczytaniem przez aktorów fragmentów „Pamiętnika Anny Frank" otwierał w dziejach ruchu teatralnego na Pomorzu Zachodnim nową kartę. Pierwszym kierownikiem „Teatru Propozycji" był Lesław Mazurkiewicz.

Intelektualne ambicje tego teatru określały takie nazwiska autorów odczytywanych dzieł, jak: A. Gide, E. Ionesco, J. Giraudoux, J. P. Sartre, S. Beckett, F. Dürrenmatt, M. de Ghelderode. Ambicje artystyczne były znacznie skromniejsze, nie wykraczały poza ramy teatru lektoralnego.

Aktorskie i reżyserskie poszukiwania w doborze środków mogących wzbogacić lektoralne wieczory zaczęły się od nieśmiałego podreżyserowywania i podinscenizowywania — jak to określił M. Misiorny — bardzo wcześnie, bo już w 1959 r. „Orfeusz" A. Świrszczyńskiej oprócz ilustracji muzycznej miał już oprawę plastyczną, w miesiąc później w „Czerwonej magii" i „Escurialu" doszły rekwizyty, pewne elementy strojów.

Ale ziszczenie marzeń o prawdziwych spektaklach kameralnych nastąpiło dopiero w kilka lat później, gdy w 1964 r. kierownictwo artystyczne Teatru „13 Muz" objął Janusz Marzec. Pierwszym granym utworem w teatrze, przy placu Żołnierza Polskiego, były „Pieśni nad pieśniami" J. Giraudoux, które nie zamykając jeszcze teatru lektoralnego (bowiem wciąż czytano niektóre utwory), stanowiły kolejny etap w rozwoju małego teatru.

II

W dwudziestoleciu międzywojennym z małą sceną nadzieje wiązali reformatorzy teatralni. W pracy nad utworem przeznaczonym dla małego kręgu odbiorców miał się przygotowywać reżyser, aktor a także widz do przyjęcia sztuki awangardowej. Po 1956 r. scenę opanowały najpierw studenckie zespoły amatorskie, by upowszechniać prawdy odkrywane przez innych, dokonywać szybkich porachunków z epoką, światem, historią. Wkrótce funkcję tę przejęli także zawodowi aktorzy, nie zawsze myśląc o teatrze eksperymentującym, częściej o teatrze intelektualnym.

Ożywienie umysłowe po 1956 r. — szczególnie uchwytne w wydawnictwach, prasie, filmie — nie ominęło także scen polskich. Jednak w przekonaniu wielu osób związanych z teatrem instytucja ta nie nadążała za zaspokajaniem społecznych potrzeb intelektualnych i estetycznych. Na półkach księgarskich, w „Dialogu", „Twórczości" w szybkim tempie ukazywały się utwory, wobec których teatr często pozostawał bezsilny. Szczególnie na prowincji. Z poczucia instytucjonalnej bezradności, z prowincjonalnego buntu przeciw zaściankom w kulturze, z chęcią popularyzowania myśli europejskiej i prezentowania nowych form artystycznych powstawały małe scenki przy klubach książki i prasy, przy klubach związków i stowarzyszeń twórczych. Ich społeczny charakter w formie organizacji, poparcie entuzjazmem wielu indywidualności, szybko przełamały biurokratyczne zapory odgradzające odbiorcę od sztuki wywołującej świeże emocje.

W szczecińskim środowisku myślano o bardziej ambitnych planach: o scenie eksperymentalnej. Czytane teksty wprowadzały do bezpośrednich pospektaklowych dyskusji, najczęściej ukierunkowywanych, mających na celu weryfikowanie pierwszych opinii, kształtowanie intelektualno-estetycznych postaw. Temperatura owych dyskusji równoważyła się z temperaturą, w jakiej dokonywała się odnowa kulturalna po 1956 r., poznawczą niecierpliwość usprawiedliwiało pragnienie nadrabiania zaległości. Jednak myśl o teatrze laboratorium nie dawała niektórym spokoju. Kolejny kierownik „Teatru Propozycji", Jan Zdrojewski, formułuje nowy program działania: „chcemy zerwać z dotychczasową praktyką reżyserowania wszystkich spektakli przez jedną osobę. Sądzę, że tego rodzaju scena powinna stworzyć możliwości reżyserskiego wypowiadania się wielu aktorom".

Niestety próba stworzenia warsztatu reżyserskiego dla szczecińskiego środowiska aktorskiego nie powiodła się. Złożyły się na to różne przyczyny, jednak najbardziej zawiedli doświadczający roli reżyserskiej główni realizatorzy.

Doszło w końcu do tego, że mała scena przestała zaskakiwać widza nowymi propozycjajmi. Spoza Szczecina zaczęto więc sprowadzać aktorów nie dla ich repertuaru, a warsztatu aktorskiego, reżyser-

Fot. S. Pleśniarowicz; TERESA SAWICKA i BOGUSŁAW KIERC — Jego mała dziewczynka

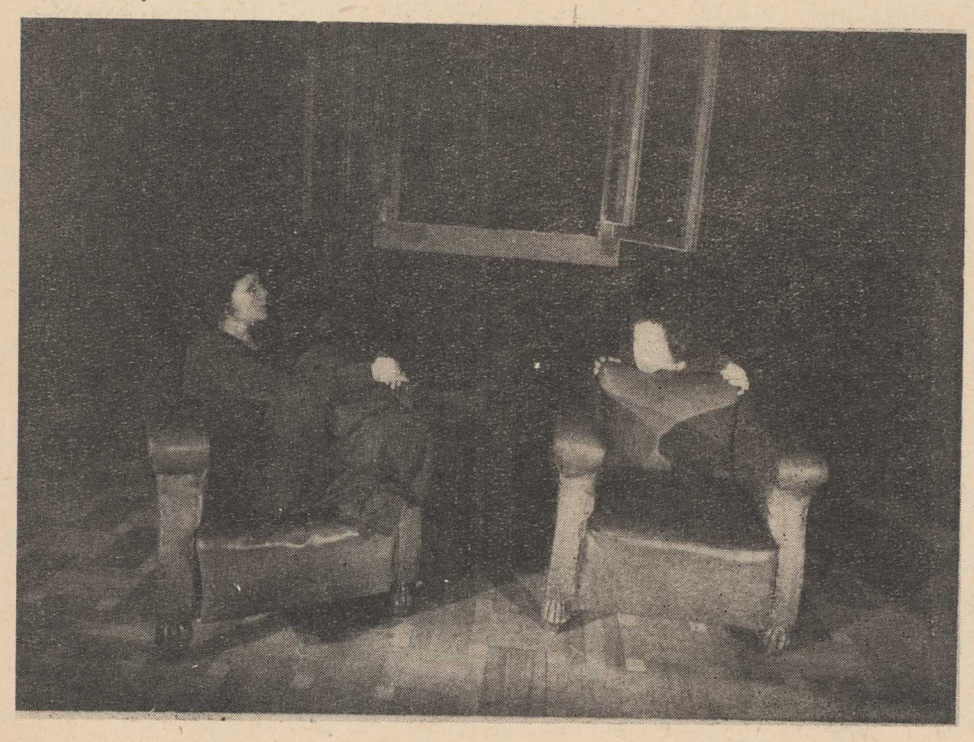

Fot. S. Pleśniarowicz; EWA WAWRZOŃ — Portret z ram wyjęty

Fot. S. Pleśniarowicz; ELŻBIETA KARKOSZKA, JERZY TRELA, JERZY FEDOROWICZ, JACEK PISKORZ — Przeszłość to dziś, tylko cokolwiek dalej

skiego. Brak odważniejszej koncepcji reżyserskiej, zdecydowania czym powinien być klubowy teatr, jaki powinien być jego model, wywarły wyraźne piętno na jego działalności.

Nic więc dziwnego, że poczynania nowego kierownika teatru, Janusza Marca, zaczęły się od zaproponowania zmian organizacyjnych. Przede wszystkim odnotować należy dążenie do autonomii sceny, uniezależnienie jej od Państwowych Teatrów Dramatycznych finansowo i programowo. W udzielonym dla lokalnego dziennika wywiadzie informuje: „...wprowadziłem dwa odrębne pojęcia: „Teatr Propozycji" — czytany oraz novum — „Teatr 13 Muz", w którym wystawiane będą sztuki w umownej scenografii, z tekstem wygłaszanym z pamięci." A więc kontynuacją dotychczasowych form miała być tzw. scena autora; zespół aktorski przyjmował obowiązki prezentowania tekstów współczesnej dramaturgii. Natomiast na tzw. scenie aktora miały się dokonywać próbne inscenizacje bez tekstów w rękach.

Po raz pierwszy większość spektakli otrzymała swoje programy wydawane drukiem albo techniką małej poligrafii. Sprawa to może nie najistotniejsza, ale ważna dla pełnego obrazu organizacyjnej działalności teatru. Stały się one wizytówką zespołu, który coraz częściej zaczął występować poza swoją siedzibą, w różnych środowiskach. Teatr przestał być imprezą koleżeńską, przestał też być imprezą elitarną. I tak np. „Grupę Laokoona" T. Różewicza, która 23 IX 1963 r. otwierała sezon nowej działalności, oglądano w Klubie Spółdzielców, w klubie studenckim „Pinokio", w Resku, w Nowogardzie, w Maszewie. Teatr ten stawał się partnerem w upowszechnianiu kultury teatralnej.

„Nasze zamierzenia repertuarowe — pisał J. Marzec w programie do premiery w dniu 11 XI 1965 r. — chcemy ująć w trzy nurty: prezentacje sztuk autorów polskich, usiłowanie eksperymentu teatralnego oraz inscenizacje arcydzieł (nie znanych, nie wystawianych) dramaturgii światowej".

Większość utworów reżyserował J. Marzec, lecz do współpracy zapraszał także reżyserów i aktorów Państwowych Teatrów Dramatycznych. W „Teatrze 13 Muz" swych sił próbowali: Andrzej Ziębiński, Zdzisław Krauze, Zbigniew Bogdański. Sukcesy odnosił Jan Maciejowski w „Listach do pani Z." K. Brandysa, w „Śmiertelnym tańcu" A. Strindberga, w „Mimice czyli nauce sztuki scenicznej" W. Bogusławskiego. Poszerzony został krąg aktorów i personelu technicznego. Wśród scenografów nazwiska: Julitty Fedorowicz, Jerzego Kołacza, Ludwika Piosickiego, Michała Tuszyńskiego.

III

W Klubie „13 Muz" nigdy nie udało się stworzyć teatru eksperymentującego, choć próby takie były. Jan Maciejowski wraz z Ludwikiem Piosickim przygotowali „Śmiertelny taniec" A. Strindberga, o którym J. S. pisał: „Maciejowski popatrzył na sztukę z perspektywy wszystkich późniejszych doświadczeń, z perspektywy następców. Miast dochodzić do „czarnej" konkluzji w rezultacie całego przedstawienia — rozszyfrował metaforę, posadził aktorów w trumnach, odebrał im założone w scenariuszu działanie, zniweczył niemal całe zaplecze psychologiczne dialogu. Że jednak sytuacje dramatu wymagały ruchu — trumny umieścił na kółkach, jak inwalidzkie fotele".

Inni reżyserzy eksperymentujący szli w kierunku wykorzystania nadekspresji środków scenicznych, tworząc blade naśladownictwa teatrów studenckich.

Artystyczne ambicje szczecinian zaspokoiło co innego — wyrosłe z Festiwali im. K. I. Gałczyńskiego ogólnopolskie przeglądy zawodowych teatrów małych form. Pogodzono się, że Szczecin nie ma sceny eksperymentalnej, za to w Szczecinie można będzie obejrzeć najciekawsze zawodo-

W Teatrze 13 Muz

we teatry uprawiające małe formy, często teatry eksperymentujące. W końcu jednak nie to ostatnie kryterium decydowało o udziale w Szczecińskim Tygodniu Teatralnym. Do Szczecina przyjeżdżały teatry z dobrymi spektaklami, wybranymi spośród wielu innych zgłoszonych do Przeglądu.

W kameralnej sali Klubu „13 Muz" widzowie mogli obejrzeć R. Hanin z J. Matyjaszkiewiczem w „Radosnych dniach" S. Becketta, I. Eichlerówną w listach Chopina, I. Jun w „Pastorałkach polskich" J. Harasymowicza, M. Stebnicką, L. Zamkow oraz wielu innych wybitnych aktorów. Szczecin stał się miejscem swoistej rywalizacji zespołów teatrów Ochoty, Adekwatnego, Eref. Każdy z tych kameralnych teatrów proponował inne treści, inne style, publiczności pozostawiając prawo wyboru najbardziej odpowiadających. Wybór rzeczywiście był trudny. Teatr Ochoty ujmował widownię dyskursywnością, namacalnymi dowodami szukania jak najbliższego kontaktu z widownią (np. „Montserrat" E. Roblesa, „Czarownice z Salem" A. Millera, „Homo Mollis czyli człowiek wrażliwy" wg W. Ruyslincka, „Egzamin" J. P. Gawlika). Teatr Adekwatny zjednywał sobie widownię aktorskimi kreacjami, np. M. T. Wójcik w „Mewie", w „Joannie d'Arc", w „Annie". Natomiast Teatr „Eref" — społeczno-polityczną żarliwość takich przedstawień, jak: „Co jest za tym murem", „Przed grudniem", „Nakaz aresztowania", „Ciuchy historii", „Ostrożnie z ogniem".

IV

Teatr Klubu „13 Muz" w ostatnich latach nie może się poszczycić większymi sukcesami. Zmalała ilość premier. Wymarły niektóre formy widowiskowe jak kabaret, scena poezji. Brak scenicznych wydarzeń, które w sposób trwalszy wpisywałyby się w pamięć widzów. Na pewno zaufanie publiczności do kameralnej sceny nie można budować na aktorstwie z „Rozmów uchodźców", ani na treściach prozy F. Kafki czy Z. Posmysz. Najciekawszą propozycją ostatniego sezonu był „Portret z ram wyjęty" wg B. Wuttke „Homunculus z tryptyku" w wykonaniu E. Wawrzoń. Stanowczo za mało jak na organizatorów ogólnopolskiej imprezy.

Szczeciński przegląd traci naturalne zaplecze, z zainteresowania środowiska aktorskiego przenosi się w zainteresowania działaczy kultury. U swych początków zyskujący na sprzyjaniu teatrom o charakterze antyinstytucjonalnym, od kilku lat daje nagrody teatrom przypisanym do państwowych impresariatów, teatrom z etatami dla aktorów, reżyserów.

Kiedy w kraju żywo rozwijała się działalność małych teatrów, Szczecin w tym ruchu miał swe wielkie zasługi. Szczeciński Przegląd inspirował, wielu spektaklom, teatrom i aktorom nadawał rozgłos, lansował pewne mody. Później stał się miejscem spotkań na ogół tych samych teatrzyków, tych samych ludzi, często dla tych samych sztuk. Bywało, że już przed rozpoczęciem Przeglądu można było rozdać laury jeśli nie z rąk członków jury imprezy, to w imieniu publiczności.

Impreza spowszechniała, straciła wiele barw życia.

Na tegoroczny XIV Przegląd komisja artystyczna dopuściła 10 spektakli konkursowych, które obejrzeć było można w Klubie „13 Muz" i w domach kultury: Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego, Polic, Gryfina, Świnoujścia, Stargardu.

W repertuarze Przeglądu dominowała publicystyka i literatura współczesna. Teatr im. St. Jaracza z Łodzi przedstawił „Cesarza" R. Kapuścińskieo, Teatr Publicystyki na Przymorzu — „Rozmowę z ojcem" R. Wojny, a zespół Młodzieżowego Centrum Kultury w Krakowie „Remember Angola" wg Valdesa Vivo, relację autentycznych najemników w wojnie angolskiej w 1976 r.

Z literatury współczesnej prezentowane były utwory T. Karpowicza („Jego mała dziewczynka"), J. Krasińskiego („Czapa czyli śmierć na raty"), H. Kajzara („Koniec półświni"), B. Wuttke („Portret z ram wyjęty"), W. Dymny („Oskarżony Wilem Rusin"). Nurt poetycki wprowadzały teatry krakowskie: im. J. Słowackiego i Młodzieżowego Centrum Kultury.

Fot. S. Pleśniarowicz; ANNA LUTOSŁAWSKA — Kim ona była?

Zespoły na ogół wchodziły ze świeżymi, interesującymi materiałami literackimi. To niewątpliwie zaleta tegorocznego Przeglądu. Niestety nie obyło się i bez grzechów.

Od lat śledząc małe formy teatralne nie mogę się oprzeć podejrzeniu, że zbyt wiele przedstawień rodzi się z nie najszlachetniejszych pobudek, że niektóre nie pasują do konwencji małych form, że wiele jest takich, których ani treść, ani wykonanie nie są godne uwagi widza, wreszcie w okresie zinstytucjonalizowania się nadscenek coraz częściej oglądamy spektakle z wielkiej sceny wciskane na scenę kameralną. Z tej listy grzechów sporo powtarzało się w XIV Przeglądzie. Przed komisją kwalifikacyjną będzie więc stało coraz trudniejsze zadanie selekcji zespołów, by idea przeglądów małych form nie została naruszona przez takie widowiska teatralne, jak: „Czapa czyli śmierć na raty" (Teatr Dramatyczny z Elbląga), przedstawienie dobre, z interesującą realizacją aktorską, lecz nie mieszczące się w konwencji małych form; „Cesarz" (Teatr im. St. Jaracza z Łodzi), również bardzo ciekawe z uwagi na treści w nim zawarte jak i reżyserską pracę, ale zasługujące na normalną scenę teatralną nie tylko grzecznościowo, lecz przede wszystkim dlatego, że przemawia środkami typowymi dla teatru oficjalnego. Ramy konwencji małych form rozpychało także przedstawienie wrocławskie „Jego mała dziewczynka", krakowskie „Remember Angola". Wielki zawód sprawiła swym sympatykom A. Lutosławska programem rzekomo o Annie Achmatowej. W tym montażu poetyckim raziły przypadkowo dobrane teksty, brak wyrazistego rysunku poetki, o której zobowiązała się nam coś powiedzieć. Z grupy monodramów najbardziej warunkom festiwalu odpowiadał „Portret z ram wyjęty". Przemawiała za nim świeżość tekstu i duży stopień trudności, jaki stanął przed wykonawczynią oraz waga zawartej problematyki. Ze sztuk poetyckich — „Przeszłość — to dziś, tylko cokolwiek dalej" wg scenariusza K. Miklaszewskiego. Spośród aktorów opanowaniem warsztatu osobowością wyróżnili się: E. Wawrzoń z Teatru „13 Muz", J. Osławski z Teatru Dramatycznego z Elbląga, J. Kopczewski z Młodzieżowego Centrum Kultury w Krakowie i występujący poza konkursem J. Korwin-Kochanowski z PWST w Krakowie.

Sympatyków małych form teatralnych XIV Przegląd jeszcze bardziej utwierdził w przekonaniu, że w tej dziedzinie sztuki ważne jest nie tylko to jak się przekazuje, ale i co się przekazuje. Tymczasem treści wielu utworów przedstawianych na małej scenie nie przypominały temperaturą tych z lat pięćdziesiątych, które dały dobry początek teatrom przenośnym.

Zdają sobie z tego sprawę gospodarze przeglądów. Usiłują wyjść z impasu inspirowaniem twórców poprzez konkursy, organizują seminaria na temat społecznej funkcji małych form; niestety nie przynosi to jeszcze oczekiwanych rezultatów.

Miejmy jednak nadzieję, że Klubowi „13 Muz", najbardziej zasłużonemu dla kultury w Szczecinie klubowi, który integruje działalność wszystkich środowisk artystycznych, uda się znaleźć odpowiednią formułę na tę imprezę. Zasługuje ona na to nie tylko z uwagi na długoletnią tradycję, ale przede wszystkim dlatego, że jest społecznie potrzebna w Szczecinie i w kraju.

Fot. S. Pleśniarowicz; szkoła flamandzka, I poł. XVIII w. — Połów wielorybów — *olej, płótno* — 67×85

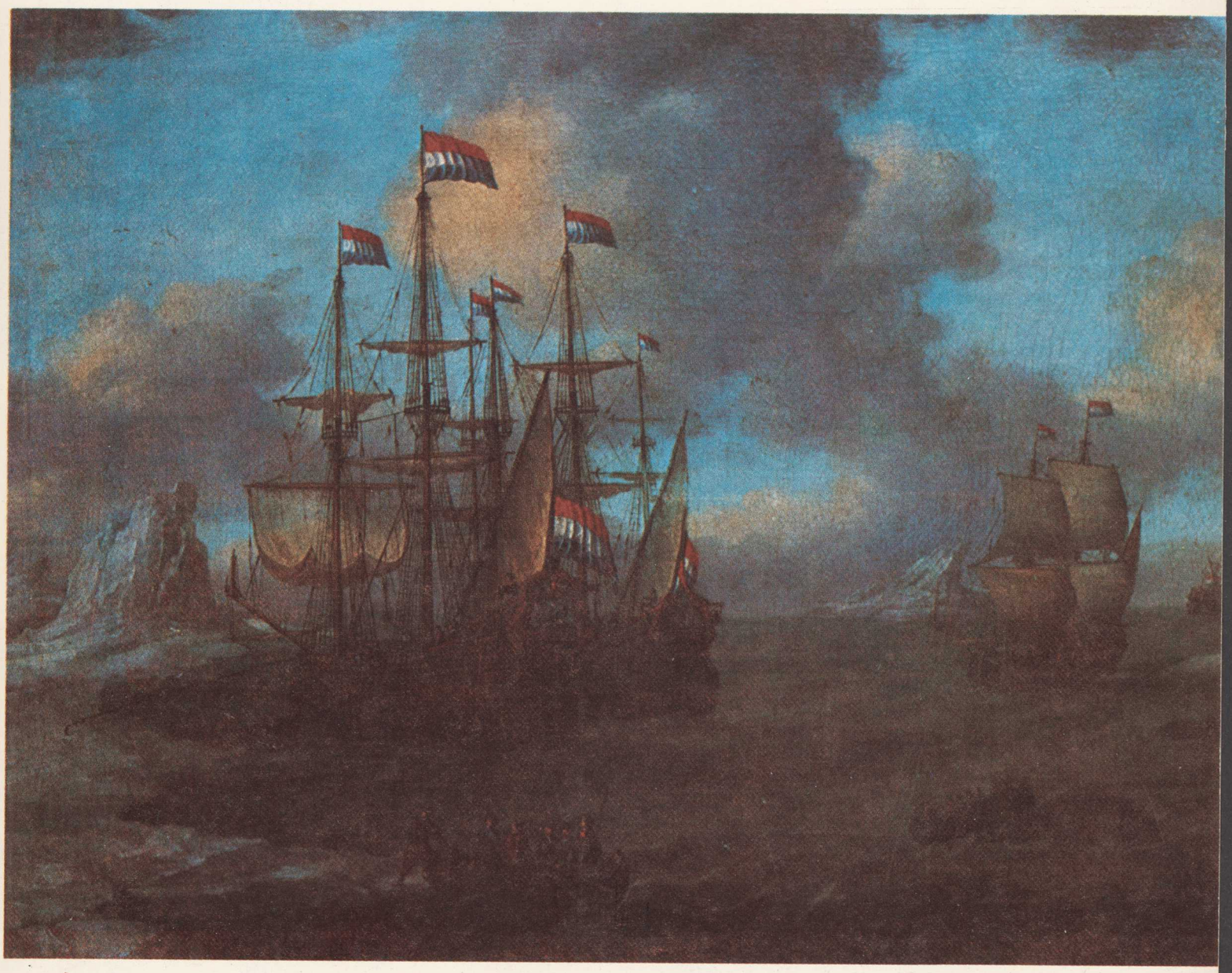

Fot. S. Pleśniarowicz; szkoła flamandzka, XVII w — Burza na morzu — *olej, deska dębowa* — 52×92

Fot. S. Pleśniarowicz; szkoła flamandzka, XVII—XVIII w. — Scena portowa — *olej płótno* — 55×91

WOJCIECH BAJEROWICZ

moje morze

Morze. Opowiadał o nim zawsze ojciec, ilekroć oglądaliśmy rodzinny album ze zdjęciami. Ojciec upozowany do fotografii stał po kostki w nadbiegającej wodzie, podparty staroświecko rękoma o biodra. Widocznie musiał się naprawdę zanurzyć w tym morzu, bo czuprynę na codzień taką zawsze bujną miał na zdjęciu przylizaną na mokro. Nas nie było jeszcze na świecie, gdy robiono tę fotografię, to było wtedy, kiedy rozpoczynano przed wojną budowę Gdyni. Tata został tam zaproszony jako dekorator na Święto Morza. Dał się poznać w tym fachu na już wówczas funkcjonujących w Poznaniu wystawach, słynnych pewukach. Ci, co zaczynali wtedy Gdynię, mieli słuszne poczucie wielkości tego, do czego się zabierali i nadali wówczas całej imprezie wielki propagandowy rozmach i pompę. Więc ojca sprowadzili, żeby przystroił trybuny, ustawił kwiaty i drzewka laurowe specjalnie przywiezione na tę okazję z Poznania. Na innym zdjęciu właśnie widać owe trybuny na tle morza, na nich oficjele, jakieś wojsko historyczne, stylizowany lud. Lekka bryza napięła chorągwie. Drzewka laurowe trzymają się sztywno. Swojskich drzew tam jeszcze nie było w tle, nie zdążyły urosnąć.

Dziwiliśmy się, że woda w morzu jest słona, a piasek na plaży jak krochmal i słuchaliśmy, jak ono samo szumi w muszli przywiezionej przez ojca z tej egzotycznej podróży. Wiele lat potem spostrzegłem, że to nie była żadna muszla bałtycka, ale zanim to nastąpiło — szczególnie chętnie przykładałem ją do ucha, gdy nikogo nie było w pobliżu. Szumiało w niej marzenie o czymś wielkim i tajemniczym. Mieliśmy nawet pojechać nad to morze, bo zamieniło się ono w naszym domu z wolna w legendę, ale oto wybuchła wielka wojna i do wyprawy nie doszło. Legenda ta żyła potem wśród nas przez ciężkie lata niewoli, pulsowała w czytanych po kryjomu książkach, była nadzieją na coś pięknego i niezwykłego. Tak, to była cząstka lepszego świata, szczęścia konkretnego, dotykalnego, które było tak blisko i tak daleko.

Morze przecież, ale to wiem dopiero dzisiaj, bo wtedy dochodziło to do mnie, dziecka, podświadomie, jest cichym elementem naszego narodowego trwania. Przekonanie o tym, że bez niego nie ma Polski tak mocno weszło w nasze myślenie jak to, że nie ma tej Polski bez Piasta Kołodzieja, Gniezna, Krakowa, Wandy, tysiącletnich zmagań z Niemcami, Kościuszki, powstań narodowych. Nie, nie ma Polski bez Gdyni, Gdańska, bez Szczecina bardziej niż bez tamtych symboli.

Kto to zaczął, kto to mi wpoił? Kto kazał ojcu, potomkowi wielkopolskich fornali, pieczołowicie przechowywać zdjęcia i muszle — wspomnienia z Gdyni — a potem uczyć nas wieczorami w godzinach policyjnych alfabetu morza, wkładać nam w ręce wyniesione z narażeniem chyba życia, a co najmniej groźbą obozu, niedopalone egzemplarze polskich książek, między którymi żarzył się dogasającym, rozpaczliwym pełganiem, to świeżym płomykiem nadziei szlachetny i wstrząsający „Wiatr od morza". Nie zdążyłem o to zapytać ojca, nie żyje już od wielu lat — co czuł, zagnany z innymi Polakami do znoszenia na stosy zawartości poznańskich bibliotek i palenia ich. Może to właśnie, że jestem dzieckiem tej ciągle palonej cywilizacji, może to, że wszyscy Polacy nimi właściwie jesteśmy, każe nam tak tkliwie żyć tym, co dla innych narodów jest zwykłą rzeczywistością, której się nie zauważa po prostu, bo nie trzeba się o nie bać. Bo dla nas za tą wielką wodą jest ciągle coś do odkrycia, są ciągle jakieś nowe przeczuwane widoki. Czasem jest to pewnie i śmieszne, gdy na to spojrzeć z boku.

A może zostawił mi tę pamięć także pan Martyna? On też nie żyje już od kilkudziesięciu lat, ale był naszym sąsiadem i wypiastował mnie na swych żylastych rękach. Pierwszą syrenę zobaczyłem właśnie na jego przedramieniu, pierwszego Neptuna pokazał mi on na swoim bicepsie. Gdy go napinał, Neptun potężniał, jego srogie oblicze ożywało, a groźny trójząb drgał w ręce boga ostrzegawczo. Zaś na piersiach miał pan Martyna, co ujawniało się, gdy zdjął podkoszulek, wstydź się, stary, co ty dziecku pokazujesz, strofowała go Martyniowa, na piersiach miał dwie nagusieńkie, dlatego tak niepodobne do normalnych kobiet jakie znałem, panny. W ogóle nie było na panu Martynie chyba skrawka skóry, na której by coś nie było na zawsze utrwalone. Imiona żeńskie, nazwy odwiedzanych portów, całe talie kart, wąż morski, a nade wszystko te piersiaste kobiety z czerwonymi ustami — jakże inny był pan Martyna, gdy z nabożeństwem podglądałem go przy goleniu, w upały, gdy paradował w mieszkaniu bez koszuli albo gdy siadał latem w niedzielne popołudnie na łączce za domem z kumplami do oka i litra.

Bo też i był to najprawdziwszy marynarz, matros starej daty. Zły los rzucił go w chude dwudziestolecie z czasów bohaterskich: Naprzód on, miejski, poznański wybijokno i cwaniak wcielony został przed tamtą pierwszą wojną do wielkiej i groźnej wówczas pruskiej marynarki wojennej i opłynął na krążowniku „Prinz Eugen" właściwie cały świat. I Afrykę widział, na Oceanii był, o Buenos Aires zahaczył, Morze Śródziemne przemierzył. Komu dzisiaj mówią coś te nazwy dawnych niemieckich kolonii, miast przemianowanych, porządków pozmienianych — wszędzie jest inaczej od czasów, kiedy bywał tam pan Martyna, palacz na potężnym okręcie dumnej i zaborczej pruskiej floty? Musiała to być młodość tak czy owak górna, bo zanosiło się rzeczywiście wtedy na to, że prusactwo opanuje świat. Uczyło ono tego swych żołnierzy. O tej pewności zaświadczały dumnie powiewające bandery z czarnym orłem i krzyżem na

tych wszystkich popielniczkach, widoczkach i innych jarmarcznych bibelotach, które dekorowały dom Martynów. Potem była wielka wojna i straszna niepewność w czeluściach kotłowni krążownika. To od pana Martyny usłyszałem po raz pierwszy nazwy Skagerrak, Kattegat, Scapa Flow i Dogger Bank i wiem teraz, gdy oglądam filmy na ten temat, jak czuć i słychać wagę salwy okrętowej oddanej od dalekich, niewidocznych Anglików. Wiem też, że czeka na nią w każdej chwili nieznany niemiecki marynarz, że zaczyna wtedy szybko myśleć o sensie życia.

Marynarz Martyna został wtedy członkiem SPD, rozpoczął niemiecką rewolucją w Kilonii, tłumił pucz Kappa w Berlinie i przed Stahlhelmem uciekł do Poznania, ale do powstania wielkopolskiego się już nie mieszał. Bo potem przyszły złe czasy na socjalistów.

I życie pana Martyny trochę się poplątało. Przygasiła je codzienność, międzywojenna bieda, swary w domu i jakieś choroby, na które czasem zapadał razem z żoną, szczególnie po wypłacie. Wychodzili z nich podrapani, z siniakami i plastrami. Rodzice w takie dnie nie pozwalali mi sąsiadom przeszkadzać, zresztą oni sami wtedy zamykali drzwi na klucz.

Kochałem pana Martynę za to, że był inny niż wszyscy ludzie. Siadywaliśmy w mizernej kuchni Martynów przy piecu po ciemku w zimowe wieczory. Przez otwory w drzwiczkach mrugał ogień, trochę poświaty szło przez okno od gazowej latarni na ulicy. Pytałem o węża morskiego, o syrenę, wieloryby. Opowieść o rybiepile była najbardziej podniecająca, przepiłowywała przecież jak masło łodzie. Szły na mnie olbrzymie sztormy i fale, wieloryby połykały marynarzy, wywijały potężnymi ramionami ośmiornice, rekiny wychylały z otchłani zębate paszcze.

A może to już była wojna, godzina policyjna, zaciemnienie, smutny czas tych pierwszych lat wojennych, kiedy wszystko zdawało się walić, kiedy bliscy przestali się uśmiechać? I te opowieści były jak lot w lepszy świat, w przestrzeń, w której jednak coś było możliwe, było piękne, niezwykłe, wspanialsze ponad nędzę i pogardę.

Jednak było możliwe naprawdę. Jechaliśmy na Zachód i do morza było blisko. Jeszcze drogami szły kolumny niemieckich jeńców, jeszcze nasz transport musiał dawać pierwszeństwo wojskowym eszelonom, a już było wiadomo, że dojedziemy. Ojciec chciał nad morze. Dzisiaj wiem dlaczego. Nie tylko to, że za Gdynią, za Wejherowem wjechaliśmy na Ziemie Odzyskane, było takie wspaniałe. — Przejeżdżamy dawną granicę — wołał do nas, gdy pociąg mijał Strzebielino za Wejherowem, a my wygrzebawszy się ze słomy — jechaliśmy towarowym wagonem — wyglądaliśmy tego niezwykłego. Niczego takiego nie było. Zwyczajne pomorskie laski i pola. Ale twarzy ojca nie zapomnę — było na niej szczęście i dumna ekstaza. On przekraczał to, co w świadomości polskiej było zawsze tylko marzeniem, od tysiąca lat tylko marzeniem — szedł do przodu. Przecież przez tysiąc lat albo nasi bronili się albo cofali tu na Zachodzie. Nawet Grunwald był tylko obroną, nie zniszczył przecież obecności tamtych. Jednak nie tylko to było takie niezwykłe. O tym dowiedziałem się później.

Wspaniałe było jeszcze i to, że wszystko właściwie było teraz możliwe. Możliwe było przecież i to, że w pierwszym dniu niepodległości wylegliśmy na ulice i każdy mógł przypiąć sobie biało-czerwoną kokardę. Ludzie uśmiechali się do siebie na każdym kroku. Poszliśmy po raz pierwszy w życiu do polskiej szkoły. A potem przyszły wieści o obiecanej ziemi, o tym osiągalnym morzu, ojcowskiej i naszej legendzie. Podejrzewam, że była to trochę próba powrotu do ojcowskiego kraju lat dziecinnych, który cudownym zbiegiem okoliczności stał się możliwy po tych wszystkich złych chwilach po coraz to zwyczajniejszym życiu, które pędziliśmy w dwóch izbach czynszowego domu, w ciągłej trosce o coś do jedzenia, kłótniach o wspólny zlew, schody, wychodek, życie w przedwojennej codzienności wielkiego miasta i wojennego upokorzenia.

Zanim jednak zobaczyliśmy to morze, przeżyliśmy to, o czym nie mówią westerny, czego nie zobiektywizowała jeszcze w żadnej epopei a właściwie nawet i większej powieści nasza literatura czy w serialu telewizja — powstanie narodu z tej skołatanej zbieraniny ludzkiej, która zamiast kraju wiecznej szczęśliwości znalazła tu, na Pomorzu szarą rzeczywistość, robotę, jakiej nie przeczuwała, jakiej najczęściej nie umiała wykonywać, obowiązki, do których musiała się naginać, zadania częstokroć przerastające jej wyobraźnie i charaktery.

Na co dzień nie mamy dla siebie za wiele szacunku, lekceważąco mówimy o swoich i cudzych osiągnięciach, wyłączamy radia i telewizory, gdy nas „trują", nie czytamy wstępniaków, machamy ręką na zapewnienia, że jutro będzie lepiej, upowszechniamy złośliwe anegdoty o takich czy innych władzach, sami zrobilibyśmy wiele rzeczy lepiej — bo po prostu jesteśmy w transie, wiemy co można jeszcze zdziałać, co osiągnąć — a są to cechy zdrowego, dynamicznego społeczeństwa, ani zdeprawowanego sukcesami ani załamanego niepowodzeniami. Przecież w ciągu tych trzydziestu lat powstało tu nowe społeczeństwo jakościowo górujące nad tą zbieraniną, która tu, nie zawsze powodowana szlachetnymi intencjami przywędrowała i co tu dużo się czarować — często burzyła i paliła to, co mogło jeszcze służyć, niszczyła to, czego nie rozumiała, czego nie nauczyła się lubić, czym nie umiała się posługiwać.

W ciągu tych trzydziestu lat, sami o tym nie wiedząc, z koczowników niejako zamieniliśmy się w osiadłe, zażyłe środowisko, któremu przyszłość kojarzy się, przyjrzyjmy się sobie, zróbmy wreszcie i do cholery ten szczery rachunek sumienia — nie z szarzyzną, łataniną, szabrowaniem (młodzież już nie wie, co to słowo znaczy), ale zawsze z robieniem czegoś nowego, z budowaniem, burzeniem starych chałup, rozwalaniem „pruskich murów", które — co za ironia dziejów — kojarzyły się naszemu rodakowi jeszcze kilkadziesiąt lat temu z państwem opartym na trwałych, murowanych fundamentach, upartym, zaciętym, okrutnym niezrozumiałym, budzącym podziw, zazdrość i nienawiść — a dzisiaj stanowią symbol tandety, erzacu, zacofania, biedy. Aż się wierzyć nie chce, jak oni mogli w tym mieszkać — mówią dziś szczecinianie. Bo jeśli dzisiaj nasz rodak, stawia sobie dom lub buduje fabrykę, to robi to tak, że tego żaden kataklizm nie ruszy. Tak narzekają nasi architekci na te miłości do betonowych bunkrów. Ja się nie dziwię — jest to podświadoma i tłumiona od wieków w naszym narodzie tęsknota do solidności, która się właśnie na naszych oczach realizuje.

Więc zanim zobaczyłem to morze, tę legendę nadzieję i cel, upłynęły prawie dwa lata od naszego tu przyjazdu. Gdzie nam było do morza. Może inni czuli się jak owi wojownicy Bolesława Krzywoustego, co to za jednym marszem, ławą wparli na utrudzonych koniach prosto w fale Bałtyku, jak to ładnie na obrazie odrobił pan Bylina. Może! Pewnie czuli wielkość tego spotkania ci żołnierze I Armii, co to na filmach archiwalnych wchodzą paradnie i poetycko ze sztandarem w rozkołysane wody, żeby go symbolicznie zamoczyć i wbić drzewce w piach dna na wieczną sprawy pamiątkę. Myśmy musieli naprzód uporać się ze strasznym perzem, zmusić pomorską chudą ziemię, żeby przyjęła nasze ziarno, oswoić ją zaciekłą ręczną pracą od rana do nocy, żeby zechciała obrodzić ziemniakami, toporami okrzesywaliśmy ją z brzezin i osiczyn próbujących ją nam zagarnąć, gdyśmy choć na chwilę chcieli odpocząć. Potem trzeba było nawlec drewna na zimę, postawić piec chlebowy, karmić zwierzęta. I nareszcie pójść do szkoły, dorwać się do książek. I ulec na zawsze, na całe życie temu pędowi, który tak będzie zadziwiał przyszłych historyków, studiujących fenomen naszego awansu, przemiany i skoku, któryśmy wykonali w trzydzieści zaledwie lat, podczas gdy inni zużyli na to stulecia i pokolenia.

Stało się tak, że ojcec, mimo że zamieszkaliśmy dwadzieścia kilka kilometrów od tego morza, nigdy go do śmierci nie zobaczył, bo po prostu nie znalazł na to czasu. Umarł w 1970 roku, stanowczo za wcześnie, sterany pracą, o jakiej dzisiaj nie mamy na ogół pojęcia, ale cała piątka jego dzieci była już wtedy po wyższych studiach. Nawet go ono to morze specjalnie nie interesowało. Dziwiliśmy się temu, mógł przecież pojechać nad nie z pierwszą lepszą wycieczką zakładową. Ale on odmawiał. Nie umiał odpoczywać. Nie wyobrażał sobie bezczynnego leżenia w słońcu, a kąpał się po to, tylko żeby zmyć brud. Właściwie jest to nie do pojęcia — jednak on się wstydził odpoczywać poza snem, w który zapadł, jak żołnierze w marszu. Dlatego ze smutkiem czytałem onegdaj „Konopielkę", którą odebrałem nie jako cudowne objawienie nowego stylu i rzetelnego spojrzenia na naszą wieś, ale jako wyjątkowo niesprawiedliwy paszkwil i historię wydumaną ze złością graniczącą z

pogardą i z sadyzmem. Doprawdy daleko byśmy dziś byli, gdyby szeregowy Polak był rzeczywiście taki ciemny. A przecież to on, właściwie gołymi rękami szczególnie tu na Zachodzie, zbudował współczesną Polskę, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, przez jakie poświęcenie. To nie jest temat do żartów.

Pierwszy raz zobaczyłem morze, kiedy byłem już w liceum i kiedy uciułałem parę groszy na ciuchcię kursującą już wtedy między Gryficami a Trzebiatowem i zawadzającą o Rewal i Niechorze. Całymi niedzielami ciąłem na polu kapustę na poniedziałkowe targi, żeby zdobyć gotówkę na tę wyprawę. Gdzie mi tam było do Kolumba, gdzie mi tam było do Robinsona nawet!

Był skwarny sierpniowy dzień, kiedy wysiadłem na mizerniutkiej stacyjce z napisem „Niechorze" z tej komicznej ciuchci pamiętającej na pewno czasy sprzed pierwszej wojny światowej. Sielski świat Niechorza nie ma i dzisiaj nic ze zwiastowania wielkiej przygody, gdzieżby tu mogły przycumować pancerniki pana Martyny, gdzieżby tu znaleźli przystań zuchwali marynarze, czegożby tu mogli szukać brodaci wikingowie i niezwykłe, poetyckie syreny?

Małe domki, sosnowy lasek, szuwary na zarastającym jeziorze, duchota i miałki piach sypiący mi się natrętnie do butów, płaski krajobraz, kartoflisko, snujący się leniwie rozmemłani ludzie — oto w co wszedłem w swoim odświętnym granatowym garniturku, w wykrochmalonej i odprasowanej na sztywno koszulinie z teczką, w której miałem kawę w butelce, zawinięte w gazetę kromki chleba, kwaszonego ogórka i jajka na twardo.

A przecież powstrzymywałem się całą siłą ambicji i wstydu nowicjusza, żeby nie pobiec, nie ruszyć ku temu cudownemu, z dawna wyglądanemu morzu, żeby nie krzyczeć, że wreszcie do niego doszedłem. Było, na pewno było. Zaczęło się odzywać naprzód cicho, potem coraz głośniejszym szumem, gdy godnie kroczyłem ku wydmom. Było jak przyczajony olbrzym, który nie potrafi się ukryć, bo zdradza go i tak rytm pracy potężnych płuc, zdradza go pulsujące życie. Tak, tam za wydmami naprawdę oddychało żywe morze. W tamtej chwili zniknęły wszystkie zwykłości, przekroczyłem granicę między jawą a marzeniem, wszystko znowu stało się możliwe. Przyszedłem jak każdy pierwszy odkrywca na brzeg nieznanego, nęcącego. Za mną zostawała codzienność, jak odrzucona po wylince skóra.

Było! Pokazało się szare, stalowe, połyskujące w słońcu, podnoszące się ku horyzontowi, wcale nie takie śliczne jak na obrazkach pana Martyny. Ludzie wcale nie mieli dla niego nabożeństwa. Brzeg roił się od opalonych, pluskających wśród grzywaczy nagusów. Zdejmowałem ubranko powoli, żeby nie zdradzić się z rozsadzającej mnie ciekawości przed smażącymi się w piachu ludźmi. Złożyłem ubranko na teczuszce i krokiem bywalca poszedłem godnie ku wodzie. Byłem w morzu! Ukradkiem spróbowałem wody — była rzeczywiście słona. Więc to było morze. Każdy krok, każdy detal był tu niezwykły, prawdziwszy jak opowiadania pana Martyny — grzywki na falach, twardy, drobny piach pod stopami, wesoła pieszczota pulsującej wody.

Popłynąłem. Cóż oni mogli zrozumieć z tego wszystkiego, ci beztroscy, głupi ludzie na brzegu? Coś tam wrzeszczeli, ktoś gwizdał dziko. Ale morze było silniejsze. Szczęśliwy, jak korek chybotałem się w rozkołysanej wodzie.

Pchnięty czymś boleśnie w plecy, sparaliżowany strachem zobaczyłem nad sobą burtę szalupy. Popychany brutalnie drzewcem bosaka, łżony najgorszymi słowami musiałem się uczepić linek łódki i osłupiały, odarty ze szczęścia, jak jakiś śmieć byłem holowany do brzegu. Tam już robiło się zbiegowisko. Nagle, gdyśmy byli już na gruncie, jeden z ratowników znowu zabrał się do gwizdka. Kazali mi zaczekać na siebie przy czatowni, a sami klnąc ruszyli ku następnemu ryzykantowi.

Miałem ja wyjście na ten brzeg! Na ten wyśniony brzeg. Dzieci nabijały się ze mnie, gwizdały mi za plecami. Dorośli obrzucali mnie morałami. Dowiedziałem się, że jestem pętak, wsiowy baran. Zgarnąłem manatki, pokluczyłem po plaży, zapadłem w opuszczonym grajdole chowając w ramiona głowę, upokorzenie i chyba łzy. — Tu jest, tu jest — zawrzeszczeli nade mną mali chłopcy, pomagający ratownikowi w dopełnieniu sprawiedliwości. Przytrzymywany mocno za przegub, żebym znowu nie zwiał (ja miałbym zwiać znad morza), zaprowadzony zostałem na posterunek WOP-u, gdzie wylegitymowany i zapisany jak złoczyńca — ledwo obroniony zostałem przez chyba coś rozumiejącego kaprala dobrą radą, żebym spieprzał przed kopami, które mi chcieli zaaplikować żołnierze.

Powlokłem się więc ku przepięknym skądinąd klifom Rewala ze swoim nieszczęściem. Minąłem — prawie nie widząc go — niezwykły brzeg z latarnią i pod wieczór, czepiając się nowej nadziei, uprosiłem właściciela wycieczkowej motorówki, żeby mnie wziął na piętnaście minut przejażdżki pełną już łódką. Zabrał mi resztę z takim trudem zarobionych groszy i tak się dopełniła moja klęska. Jakoś tak się zdarzyło, że byłem jedynym chorującym w tej podróży. Przewieszony przez burtę brudnej, śmierdzącej łajby, truty spalinami, dobijany klekotem silnika, traciłem niemal przytomność przy każdym większym zjeździe z fali. Na oczach kilkunastu obcych ludzi demonstrowałem obrzydliwą bezradność. Psułem im wrażenie, kpinami poprawiali sobie nastrój. Odsuwali się ode mnie. Szyper dosadnie przypominał mi o tym, czego mu nie mogę zrobić w łodzi. Jakże długa była ta podróż, jakże pragnąłem znowu znaleźć się na lądzie! Uciekłem, ścigany szyderstwami, zanim łódka porządnie wparła się w piasek, unosząc ciężką hańbę na zbyt miękkich nogach. — Taki młody, a już pijaczyna — obejrzała się za mną jakaś starsza pani. Zaszyty w najciemniejszym przedziale ciuchci dotarłem rozbity i chory do domu. Przerażona matka długo w nocy robiła mi zimne okłady na głowę, a ja nie mogłem się wyzwolić od tego obezwładniającego strasznego kołysania i konwulsji.

I konstruktorem statków też nie zostałem, bo na przeszkodzie stanęła mi matematyka. Nic to — ratowałem się potem nadzieją jak ci Sienkiewiczowscy bohaterowie w trudnych chwilach — nic to! Minęło trzydzieści lat z okładem. Robię dzisiaj to, co polubiłem później, a nad morze jeżdżę niekiedy na wczasy albo tak sobie w wolne letnie niedziele. Jestem jednym z milionowego tłumu tych, o których Żeromski myślał onegdaj chodząc po złotych piaskach plaż ledwo co odzyskanego Międzymorza:

„Uśmiechnęły się do mnie własnym uśmiechem mej duszy wyżyny, białe zaspy piaszczyste, bladą porośnięte wydmuchrzycą. Roześmieję się jeszcze ze szczęścia mej młodości, od nadmiaru siły oczu, z przepychu władzy mojej, która niegdyś radośniejsza była od promieni słonecznych. Wyszedłem ze zgnilizny i spośród latających błot miasta, gdzie mnie życie trzyma — spomiędzy kanałów i kawałów, oszustw, dowcipów, biegów do mety dla pochwycenia pieniędzy, władzy i sławy. Widzę nareszcie ciała ludzkie, z których opadły stroje, szaty, szmaty i gałgany. Widzę nareszcie ciała ludzkie w najpiękniejszym ich stroju, w spaleniźnie, szacie pełnej powabu... Płuca tu oddychają powietrzem, do którego nie dosięga brud, kurz, pył i latająca w nich zaraza."

Więc nic to! I trudno. Bo zawsze, kiedy patrzę na szkolne wycieczki kolejnych pokoleń morskich nowicjuszy z nabożeństwem przekraczających wydmy bałtyckie, ten próg wtajemniczenia, widzę siebie z tamtych lat. Patrzę, jak chłoną rozjarzonymi oczyma ten wymarzony krajobraz, jak sięgają nimi poza niski horyzont, jak nasłuchują, jak marzą o popłynięciu dalej, zobaczeniu, co też tam jest nowego do zdobycia. Potem zdejmują ubrania, z namaszczeniem „udają się" w stronę wody, ukradkiem sprawdzają czy jest słona, niekiedy nabierają jej do butelek, w torebki sypią piasek z muszelkami. Wzruszają, budzą życzliwość tym większą, im pewniejsze jest to, że spełnią się im ich marzenia. Bo muszą się spełnić! Jakby mogło być inaczej.

Przychodzą przecież nie z kraju tułaczy, marzycieli. Nie muszą się bać, że znowu ich ktoś od tego brzegu odepchnie. Wiatr od morza nie zwiastuje im ran, porażek, niezrozumienia, tragicznej i samotnej walki. Widzę, jak szybko opada z nich skrępowanie, jak się ożywiają, jak stają się gospodarzami tego brzegu. Po chwili już krzyczą z radości i swobody. Oni we krwi mają pewność, że są na własnym. Smętka dawno tu nie ma. Kto zresztą prócz filologów pamięta dzisiaj, kim ten Smętek w ogóle był?

Ich trzeba często uczyć, że nie było Gdyni, Gdańska, Szczecina, portów, stoczni, floty. Gniewamy się czasem na nich, że nie wiedzą tego sami z siebie. Oni rzeczywiście nie wiedzą, bo to wszystko mają. Nie są tego głodni. Czy to źle? To wspaniale! Czyż może być lepsza miara tego wielkiego, które tu, na Pomorzu, w ciągu tych trzydziestu lat się zdarzyło?

Stróżować nad swym morzem

ALINA GŁOWACKA

Hebel — to rzadko spotykane nazwisko poza Gdańskim Wybrzeżem. Skrupulatnie prowadzone pruskie księgi kościelne — jako miejsce, z którego wyrósł pień Heblów — podają Redę. Tam rodzili się od pokoleń. Ilu? Trudno to ustalić. Byli tam już na pewno pod koniec XVIII wieku, a może wcześniej?

Gdzieś w połowie XIX wieku jeden z Heblów przeniósł się do Chylonii. Tam też urodził się jego syn Juliusz, który, gdy wszedł w wiek męski, pojął był za żonę pannę Marię urodzoną na Oksywiu, córę równie starego kaszubskiego rodu Plichtów. Po ślubie młodzi przenieśli się do wsi Gdynia, gdzie w skromnej chatce u zbiegu dzisiejszych ulic Świętojańskiej i 10 Lutego przyszedł na świat jako jedno z ośmiorga dzieci swoich rodziców Wielki Boss polskiej gospodarki rybnej Juliusz Hebel junior.

Dziad, ten z Chylonii, pozostał we wspomnieniach jako tęgi Polak. Kazał na siebie mówić pan Hebel, nie, żeby rozpierała go duma na kilku morgach piaszczystej ziemi. To słówko — stawiało go po przeciwnej stronie rozlanego w koło niemieckiego żywiołu. Jego symbolem był zwrot Sie-wy, jako formuła grzecznościowa. Stary Hebel nie chciał być żadnym Sie. Dlatego był: pan Hebel. O tym samym dziadku opowiadają do dziś w Gdyni mieszkające siostry dyrektora panie Jadwiga Bronkowa i Stefania Strouhal: kiedy jedna z córek, jeszcze przed pierwszą wojną światową miała wygłosić w szkole wiersz z okazji urodzin cesarza Wilhelma po niemiecku, dziadek kupił jej dużą torbę cukierków dla otarcia łez po niespełnionym sukcesie artystycznym i wyprowadził na tak daleki spacer, że mała nie zdążyła wrócić na uroczystość. Heblówna nie złożyła więc życzeń cesarzowi, a dziadek pozostał w legendzie rodzinnej jako wielki Polak.

Ani ojciec, ani matka nie chodzili nigdy do polskiej szkoły, ale czytali i pisali po polsku bezbłędnie. Matka w szkole niemieckiej dostawała lanie od nauczyciela za to, że na terenie szkoły mówiła po kaszubsku. Uważało się, że to po polsku. Pisać nauczyła się, gdy jeden z synów w 1937 odbywał służbę wojskową w polskiej armii. Nie wypadało matce polskiego żołnierza słać listów po niemiecku. Nauczyła się więc czułość i tęsknotę wyrażać po polsku. Syn, do którego pisywała, poległ w obronie Warszawy w 1939.

Ojciec. Trudno oddać w słowach jego wspaniałość i niezwykłość. Juliusz Hebel mówi więc: to był prawdziwy mężczyzna. Osierocony w szóstym roku życia — od tej pory utrzymywał się sam. Pasał krowy u rodziny, a potem jako młody chłopak zaciągnął się na trawlery rybackie. Były to czasy, gdy trawlery były drewniane jeszcze, ale chodziły i na Grenlandię i na Islandię i na Morze Barentsa. Łowiły w najtrudniejszych warunkach. Bystry chłopak, który ukończył ledwie cztery klasy szkoły początkowej, zdobył na tych trawlerach specjalność netmachera — siecia-rza i rangę mata. Wysoko więc ocenili jego umiejętności nawigacyjne niemieccy armatorzy z Hamburga. Ojciec wracał do domu raz na rok — przeważnie w okolicach Bożego Narodzenia. Tak też, zgodnie z kalendarzem ojcowych urlopów przychodziły na świat dzieci: cztery dziewczynki i czterech chłopaków. W pamięci dzieci starszych roczna nieobecność nie mogła zatrzeć wizerunku ojca. Zdarzyło się jednak, że kiedy mały Juliusz miał niewiele ponad rok — ojciec wypłynął na dwa lata. Po powrocie Julek w obcym nie rozpoznał własnego ojca. Ugryzł go ze złości w nogę, kiedy ten zaczął dyrygować dziećmi i obejmować matkę. Do dziś opowiada się ze śmiechem ten rodzinny epizod i teraz nierzadki marynarskich rodzinach.

Zawsze z utęsknieniem oczekiwano powrotu ojca. Podłogę w kuchni szorowało się do białości i posypywało świeżym piaskiem morskim — jak w dni największych świąt. Ojciec wnosił zapach niezwykłości i dalekich światów. Przywoził zabawki. Wspaniałego Zeppelina — nakręcaną zabawkę, która latała wysoko pod sufitem. Ale piękniejsze od wszystkich Zeppelinów były robocze ojcowe spodnie. Spodnie z butami uszyte z jednego kawałka skóry.

— Wchodziliśmy z młodszym bratem każdy do jednej nogawki. To była zabawa! Takie wielkie były te spodnie, a my tacy byliśmy mali i bezpieczni — zamyśla się dyrektor.

Na wyobraźnię męskiej połowy rodziny silnie oddziaływały morskie wyprawy ojca. Każdy z braci wybierał się w podróż dookoła świata. Najstarszy uciekł z domu jak skończył 16 lat. Dotarł do ojca, do Hamburga. Dostał od niego lanie i bilet powrotny do domu. Nie pomogło. Za rok uciekł po raz drugi i już został na morzu. Juliusz postanowił liczyć na siebie i podróż dookoła świata odbyć „pożyczonym" jachtem. Wydawało mu się, że jeżeli osiągnie Morze Północne — wszyscy okrzykną go bohaterem i podarują jacht na własność. Niestety już w Ustce uciekiniera „zwinęła" policja i ciupasem odstawiła do domu.

Po pierwszej wojnie światowej wiele statków rybackich wylatywało w powietrze na minach. Matka domagała się więc, żeby mąż porzucił zawód rybaka dalekomorskiego. Rodzina winna być w komplecie — nawet kosztem dostatku — zadecydowała. Wrócił więc tata Hebel do Gdyni i podjął pracę na tzw. pomorynkach — rybackich łodziach żaglowych. Był to okres największej biedy w życiu całej rodziny. Na pomorynkach obowiązywał partowy system zapłaty. Połów dzieliło się na pięć części: jedna kupka ryb za sprzęt, jedna za łódź i po jednej dla każdego z trzech ludzi, którzy na łodzi pływali. Część przypadającą na Hebla, który nie miał ani łodzi, ani sprzętu — zgarniała matka w kipę — specjalnie pleciony kosz do noszenia na plecach i jechała z nią na targ rybny do Gdańska. Dziesięcioro ludzi musiało więc żyć z piątej części tego, co dawała łódź. Pomagali sobie chowając świnkę, obsadzając ćwierć hektara piaszczystej ziemi kartoflami, ale i tak dziennie trafiała się tylko jedna kromka chleba ze smalcem. Następne były już suche. Ratowały ich ryby. Gęsta, zawiesista zupa ze szprotów z cebulą, marchwią i ziemniakami. Do dziś za nią tęsknią. Ojciec pilnował, żeby żadne z dzieci nie wypluwało ości. Od tego zęby są zdrowe i mocne kości. Coś w tym było. Cała ósemka rosła zdrowo, nie znano w domu choroby.

Z biedy Heblowa zaczęła wynajmować pokój letnikom. Pieniądze za to — to była odzież dla dzieci. Za zadatek — na lato. Za właściwą należność na zimę. W latach 1920, 1921 z żoną i córeczką Moniką mieszkał u Heblów dziwny letnik. Mówiono, że to uczony i Rosjanin z Warszawy. Rosjanami nazywano wtedy wszystkich mieszkańców byłego zaboru rosyjskiego. Był poważny, nieskory do uśmiechu. Dzieci bały go się. Nawet gdy rozdawał cukierki każąc sobie śpiewać i opowiadać po kaszubsku — pilnie notując niezrozumiałe dla niego słowa i zwroty. Heblowa często podtykała ryby swoim letnikom, bo wiadomo było, że są biedni. Tak biedni, że za drugim pobytem nie zapłacili za pokój, bo nie mieli czym. Dla Heblów jeszcze biedniejszych od swych lokatorów była to olbrzymia strata. Matka próbowała dochodzić swego, ale „uczony" pan mógł, co najwyżej, ofiarować swojej gospodyni fajansowy serwis obiadowy, żeby nieco wyrównać straty poniesione przez rybacką rodzinę. I tak w posiadaniu Heblów znalazły się talerze, na których jadał Stefan Żeromski, ów dziwny letnik, który między innymi poprzez Heblów uczył się rozumieć problem Kaszubów, „ludu, co to zawsze jednako uparty stróżował nad swym morzem". Odkrywał też wielkość i urodę tego morza. To w domu Heblów zaczął pisać „Wiatr od morza", ale o tym młodsi Heblowie dowiedzieli się znacznie później, kiedy książka ta jako obowiązkowa lektura weszła do programów szkolnych.

Gdy w 1922 roku wybuchła sprawa Gdyni — tata Hebel podjął pracę przy budowie portu jako robotnik. Szybko jednak doceniono jego fachową wiedzę wyniesioną z trawlerów i zrobiono go magazynierem paliw płynnych dla kutrów. A gdy się pojawiły pierwsze kutry motorowe i powstał problem zastąpienia cezy — łodziowej sieci ręcznie wybieranej — włokiem dennym — nie kto inny jak stary Hebel skonstruował prototyp włoka ciągnionego, który potem wszedł do powszechnej eksploatacji.

Gdy wybuchła sprawa Gdyni... Z siostrami Juliusza Hebla pochylam się nad fotografią domku rodzinnego. Skromna, rybacka zagroda jakich wiele było w tej wsi, zanim zrobiła tak oszałamiającą karierę pierwszego portu Rzeczypospolitej. Chwilami nie chce mi się wierzyć, że to ta sama Gdynia — mówi jedna z sióstr. Tu, gdzie teraz biegnie reprezentacyjny skwer, była woda. Morze podchodziło pod okna domu i usypiało nas do snu. Na plaży byliśmy w dwie minuty. Przychodziło się z mydłem i ręcznikiem na poranną toaletę. Szkoła — to była chałupa porośnięta mchem i pokryta strzechą. A pamiętacie nasze boje z gramatyką i stylistyką? W domu do 39 roku mówiliśmy po kaszubsku i zdawało nam się, że mówimy po polsku. Jakiż trudny okazał się potem ten prawdziwy polski język. Dziś gwarę zostawiają sobie na wyjątkowe okazje. W czasie rodzinnych uroczystości — obowiązkowo śpiewa się kaszubskie pieśni. Te uroczystości odbywają się w mieszkaniach coraz to innego członka rodziny. Nie ma już bowiem gniazda Heblów na rogu Świętojańskiej i 10 Lutego. Unicestwił je niemiecki czołg w trzecim dniu wojny 1939 r. Razem z tablicą pamiątkową ku czci Stefana Żeromskiego. Planowano, że kiedyś domek zostanie przekształcony w muzeum pamiątek po pisarzu.

W roku 1969 wodowano w Stoczni im. Komuny Paryskiej dla świnoujskiej „Odry" statek „Kaszalot". Na wodowaniu znalazła się wdowa po Żeromskim. Bacznie przyglądała się Juliuszowi Heblowi kierującemu wówczas „Odrą".

— Pan Hebel?

— Tak.

— Z tych Heblów.

— Właśnie z tych.

— Mój Boże! Kto mógł pomyśleć, że ten mały obdartusek, który śmigał bosymi piętami, wyrośnie kiedyś na dyrektora wielkiego, socjalistycznego przedsiębiorstwa. Jaka szkoda, że Żeromski nie dożył tych czasów. On, który tak pragnął, żeby Polska rosła w siłę na morzu.

— Ale i własny ojciec był chyba dumny z pana — wtrącam słuchając tej opowieści. — Był. W 1948 roku zostałem dyrektorem pierwszego państwowego przedsiębiorstwa kutrowego. W Komitecie Centralnym powiedziano mi: jeżeli wy towarzyszu wierzycie, że może istnieć państwowe przedsiębiorstwo kutrowe — to udowodnijcie to.

Początkowo nie było problemu ze znalezieniem rybaków. Potem zaczęto obawiać się, że spółdzielczość przyniesie zagładę kutrom prywatnym. Rybacy rozpoczęli bojkot naszej spółdzielni. Dostawaliśmy nowe kutry, nie było ich kim obsadzać. Ojciec widział moje trudności. — Spotkajmy się — zaproponował. To było spotkanie w rodzinnym gronie: ojciec, brat mojej matki Plichta, w okresie międzywojennym instruktor rybołówstwa i Jan Necel, późniejszy kapitan statku gdyńskiej Szkoły Morskiej „Janek Krasicki". Wytknęli mi wtedy wiele błędów, w rodzinie mówi się prawdę. A ojciec poradził: na bogatych rybakach gdyńskich niewiele wygrasz. Szukaj ludzi, którzy mają biedę. A biedę mają w Rewie i Mechlinkach. Weź rybaków stamtąd. Tak zrobiłem. Mieli wprawdzie mniejsze od innych doświadczenie, ale rzeczywiście biedę w domu i ogromne ambicje, żeby pokazać, co potrafią. I pokazali. Nasze łodzie zaczęły łowić lepiej niż prywatne kutry. Ci, którzy nas bojkotowali, zaczęli się łamać i sami przychodzili do „Arki", która stała się przodującym przedsiębiorstwem. To rodzina, a zwłaszcza ojciec, pomógł mi przebrnąć przez najtrudniejszy okres. Był bardzo dumny, że zostałem dyrektorem. On, który w Hamburgu z szacunkiem musiał odnosić się do swoich wszystkich przełożonych — stał się nagle ojcem najprawdziwszego dyrektora. Dyrektora dyrektorów, od kiedy Juliusz Hebel po dynamicznym okresie w świnoujskiej „Odrze", która także dzięki jego pracy stała się jednym z najnowocześniejszych przedsiębiorstw połowowych, powołany został na stanowisko dyrektora Zjednoczenia Gospodarki Rybnej.

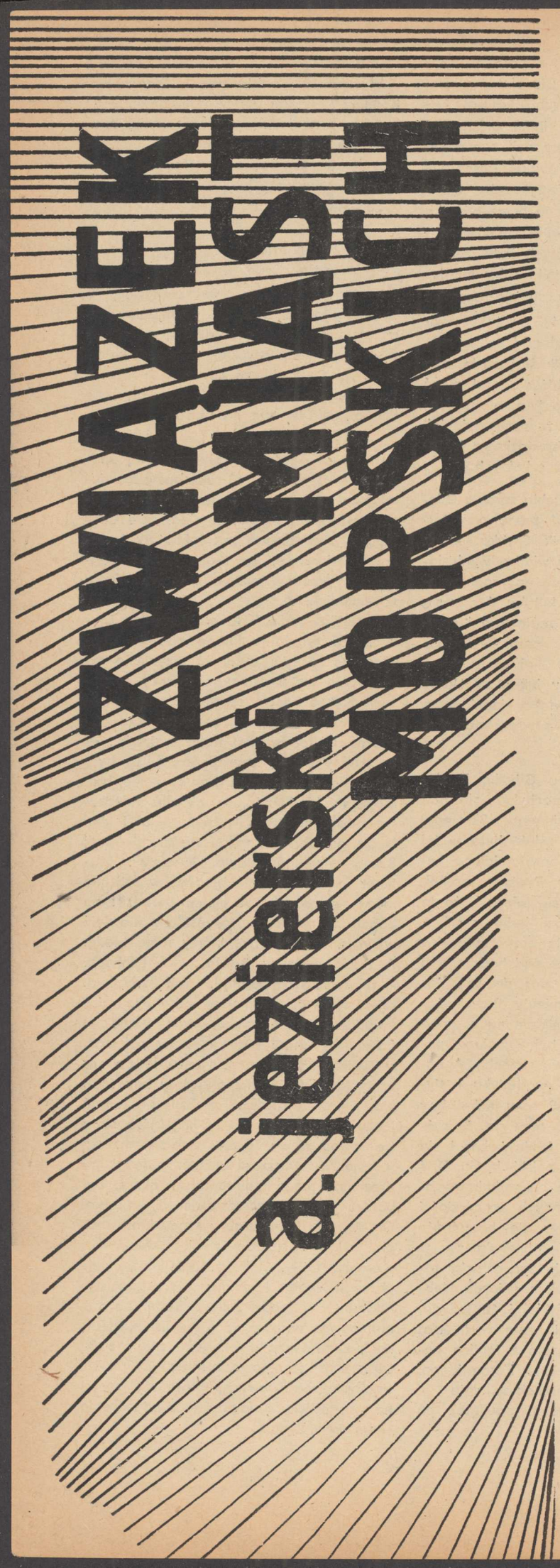

Wstępny zarys projektu powołania Związku Miast Morskich przedstawił Eugeniusz Kwiatkowski 15. I. 1946 roku. Miało to miejsce na konferencji wewnętrznej Delegatury Rządu do Spraw odbudowy Wybrzeża, której inż. Kwiatkowski był szefem. Eugeniusz Kwiatkowski jest zbyt znaną postacią w historii najnowszej Polski, aby w tym miejscu trzeba było wstawiać notkę biograficzną. Przypomnieć jedynie można, że spośród członków ostatniego gabinetu II Rzeczypospolitej, on jedynie włączył się do aktywnej pracy państwowej po wojnie. Ciesząc się zaufaniem Prezydenta KRN Bolesława Bieruta i mając poparcie Premiera Osóbki-Morawskiego, z energią i umiejętnością kierował odbudową wybrzeża, a zwłaszcza Gdańska i Gdyni, uruchamianiem portów i żeglugi. Posiadając poparcie najwyższych czynników państwowych, delegat rządu pozostawał jednak często w sytuacji konfliktowej z szeregiem instytucji i urzędów, z którymi krzyżowały się kompetencje delegatury, a niekiedy poglądy polityczne delegata. Często niezadowolenie różnych instytucji wynikało z faktu, że pomimo normalizacji stosunków administracyjnych w kraju, pewien zakres działań na wybrzeżu prowadzony był przez delegaturę obdarzoną specjalnymi pełnomocnictwami i środkami finansowymi, na których rozdział nie miały wpływu.

Człowiek o doświadczeniu Kwiatkowskiego zapewne zdawał sobie sprawę, że odbudowa jak nie w roku bieżącym to za dwa lub trzy lata zakończy się, a zatem przestanie być potrzebny urząd delegata. Wówczas sprawy wybrzeża zostaną rozdzielone według kompetencji ministerstw, wojewodów itp., na wybrzeżu rządzić będzie wielu gospodarzy, a odrębność gospodarki morskiej zaniknie. Kwiatkowski miał szczególny, wręcz osobisty stosunek do morza, dał temu wyraz w swojej pracy o dziejach gospodarczych świata. Widział, być może, nawet przesadny związek między gospodarką morską, a wzrostem gospodarczym kraju. Wobec perspektywy zaniku wspólnych więzi spraw morskich, po okresie odbudowy, starał się stworzyć — taka jest moja opinia na temat genezy projektu — stałą instytucję koordynującą rozwój całego wybrzeża. Funkcję tę miał spełnić Związek Miast Morskich.

Na posiedzeniu 15. I. 1946 roku swoje myśli formułuje Kwiatkowski następująco:

„Można uruchomić pewne akcje w większym stylu... dźwigające życie na płaszczyznę innych szerszych zainteresowań. Trzeba wyjść z dekadencji psychicznej". I dalej: „Aparat przygotowawczy musiałby być wielki, musiałby być wielką demonstracją organizacji, w stosunku do Rządu i Państwa winien by wysunąć solidarne wnioski co do hierarchii w planie państwowym odbudowy Wybrzeża".[1]

Jako człowiek czynu, a zarazem polityk raczej elastyczny, Kwiatkowski przygotowuje teren dla swej koncepcji w sposób przemyślany. Już 21. I. 1946 roku wysyła list do Prezydenta miasta Szczecina inż. Piotra Zaremby, w którym pisze: „Chciałbym pozyskać Pańską opinię i ewentual-

Fot. S. Pleśniarowicz; Warsztat W. van de Velde Mł., Holandia II poł. XVII w. — Statki na wzburzonym morzu — *olej, płótno* — 38×48,5

Fot. S. Pleśniarowicz; FERDYNAND RUSZCZYC — F a l e u b r z e g u — *olej*, własność Muzeum Narodowego w Szczecinie

nie cenną współpracę dla następującej myśli, której — z natury rzeczy — mogę być tylko zakulisowym inicjatorem. Sądzę, że byłoby na czasie, zarówno ze względów zewnętrzno politycznych jak i wewnętrznych, zarówno z punktu widzenia organizacyjnego, jak i punktu widzenia zadań odbudowy zwołać do Gdańska w lecie bieżącego roku zjazd wszystkich miast morskich... i na zjeździe tym utworzyć formalny Związek Miast Morskich Rzeczypospolitej Polskiej. Związek ten mógłby z pożytkiem dla sprawy przejąć w swoje ręce niektóre ważkie zadania gospodarcze, szczególnie w zakresie rozwoju handlu miast morskich. Mógłby posiadać własne fundusze, własne składy towarowe w portach i miastach, a wreszcie winien by uruchomić własną flotę kabotażową i przybrzeżną".[2]

Inicjatywa Kwiatkowskiego znalazła poparcie. 11. II. 1946 roku, w mieszkaniu E. Kwiatkowskiego w Sopocie, odbywa się spotkanie działaczy wybrzeża, na którym zawiązuje się komitet założycielski przyszłego związku. Zadaniem komitetu było ustalenie listy miast, opracowanie statutu i przygotowanie zjazdu, w orientacyjnym terminie — maj 1946. Na czele komitetu stanął inż. Adolf Riedel — przewodniczący komisji morskiej KRN.[3]

8. III. 1946 roku Kwiatkowski uzyskał na posiedzeniu Prezydium KRN i Rządu aprobatę dla swego projektu, mając zresztą wcześniejszą zgodę premiera. 28. III. w Gdańsku odbył się — jak pisze Piotr Zaremba w swym dzienniku — „akt erekcyjny" związku, 10. IV. powołano sekretariat generalny i biuro związku oraz komisje przygotowujące dokumenty. 9. V. Kwiatkowski przedstawił prezydentowi Bierutowi projekt dekretu o powołaniu związku. Mniej więcej w tym samym czasie zainteresowane Miejskie Rady Narodowe na swych plenarnych posiedzeniach przyjęły projekt, jako wytyczną postępowania i zgłosiły chęć przystąpienia do związku. Jednocześnie toczyły się przygotowania do powołania linii żeglugi przybrzeżnej. Spółka żeglugi przybrzeżnej pn. „Gryf" miała utrzymywać komunikacje na całym wybrzeżu od Elbląga po Szczecin.

Na posiedzeniu prezydium komitetu założycielskiego w Gdańsku 22 maja 1946 roku prezydent Szczecina wygłosił referat programowy dotyczący zagospodarowania przestrzennego i stworzenia kompleksowej infrastruktury dla 500 km wybrzeża. Autor tego referatu po 20 latach pisał następująco: „...nadal podtrzymuję swe ówczesne twierdzenie. Autostrada nadmorska musi powstać i choć jej jeszcze nie ma w terenie, to jednak jest już w szczegółowych planach regionalnych niektórych odcinków. Tak samo i dziś aktualne są ówczesne propozycje, aby jakaś organizacja koordynowała zaopatrzenie regionu nadmorskiego.... W dalszym ciągu tego programu poruszane były sprawy przemysłu terenowego. Wiele już wówczas mówiliśmy o akcji turystycznej, o ruchu wycieczkowo-wczasowym. Szczególną uwagę zwrócono w referacie programowym na akcję szkoleniową, na badania naukowe oraz na rozwój szkolnictwa wyższego regionu nadmorskiego".[4]

Zapewne na skutek referendum, a może z innych przyczyn, termin zjazdu przesunięto z 28. VI. na 12. VII.

W ostatnim okresie pojawiły się trudności. Brak było zatwierdzonego statutu i projektu dekretu.

12. VI. Kwiatkowski wspomina o pewnej rezerwie wobec związku, która „polegać może na nieporozumieniu. Instytucja ta pomaszeruje zgodnie z rządem".

19. VI. Zaremba notuje „Na skutek pewnych intryg (prawdopodobnie GAL-u) rzecz się nieco przewleka". W tym samym dniu Kwiatkowski proponuje Zarembie stanowisko naczelnego dyrektora związku, którą to propozycje prezydent Szczecina odrzuca następnego dnia.[5]

12 lipca 1946 roku dochodzi do pierwszego Zjazdu Związku Gospodarczego Miast Morskich w Gdańsku. Interesujący materiał źródłowy z tego zjazdu zawiera praca Witolda Bublewskiego wydana w 1947 roku pod tymże tytułem. Praca zawiera 162 strony. Brak tu miejsca, aby ją streszczać, choć materiały tam zawarte są interesujące dla badacza dziejów najnowszych, a także dla historyka myśli ekonomicznej.

W zjeździe uczestniczyli (oprócz delegata rządu inż. Kwiatkowskiego, który nieformalnie pełnił funkcje jeśli nie gospodarza to animatora zjazdu) premier Osóbka-Morawski, minister Żeglugi i Handlu Zagranicznego — dr Stefan Jędrychowski, przedstawiciele zainteresowanych ministerstw, delegaci wszystkich miast morskich oraz eksperci. Depesze z życzeniami owocnych obrad nadesłali ministrowie: Wycech, Kaczorowski i Kiernik.

Pierwszy dzień obrad obejmował referaty: P. Zaremby, wiceprezydenta Gdańska — Modlińskiego i na koniec samego Kwiatkowskiego. Po dyskusji dokonano wyborów do Rady Naczelnej związku. Na jej czele stanął poseł do Krajowej Rady Narodowej — inż. Adolf Riedel. W skład Rady weszło trzech wiceprezesów, sekretarz i sześciu członków. Skład polityczny był następujący: 4 członków PPR, 6 członków PPS i 1 bezpartyjny.[6]

W czasie typowania kandydatów miał miejsce dziwny incydent. Zanotował go w dzienniku P. Zaremba: „Tylko zamęt wywołał wniosek z Gdańska, aby jeszcze jeden mandat był dla przedstawiciela Gdańska. Zamęt dlatego, że sprzeciwiał się temu wnioskowi... prezydent Gdańska, a to ze względów personalnych. Na sali powstał tumult, Rada Narodowa Gdańska sprzeciwia się temu i publicznie dezawuuje prezydenta".[7]

Trudno dziś ocenić, czy prezydent Gdańska występował w obronie ustalonej i uzgodnionej listy kandydatów, czy też były to wewnętrzne rozgrywki gdańskich polityków w trakcie zjazdu, czy jedno i drugie.

W pierwszym dniu obrad zabrał głos także premier Osóbka-Morawski, który „...bardzo pozytywnie i wręcz entuzjastycznie ustosunkował się do Związku Miast Morskich i dał pierwsze 2 mln dla związku".[8]

W drugim dniu obrad odbyła się dyskusja nad programem związku. Uczestniczył w niej minister Jędrychowski i — jak pisze na bieżąco Piotr

Zaremba — poddał on krytyce niektóre fragmenty programu. W opublikowanej książce P. Zaremba formułuje to następująco: „Omówił ten program minister Żeglugi i Handlu Zagranicznego, dr Stefan Jędrychowski, sprowadzając zbyt górne zamierzenia do poziomu realnych możliwości mieszczących się w ogólnokrajowym planie gospodarczym".[9] I dalej w dzienniku: „na mnie jako przewodniczącym ciąży obowiązek złagodzenia dysonansów przez końcowe swe przemówienie". Tego samego dnia odbyło się posiedzenie Rady. „Prezes jedzie do Bieruta na wtorek, a dyrektorem zostanie Modliński" — notuje w dzienniku P. Zaremba.

W istocie przemówienie ministra Jędrychowskiego stanowiło podaną w kurtuazyjnej formie generalną krytykę zarówno programów związku jak i zasadniczego referatu ministra Kwiatkowskiego. Operując aluzją historyczną, minister Jędrychowski polemizował z koncepcją decentralizacji dyspozycji gospodarczej — którą dostrzegał w programie Związku Miast Morskich — w sposób pryncypialny i jednoznaczny. Była mowa i o związku miast niemieckich „Hanza" i o buncie Gdańska w XVI w Poddał nawet krytyce flagę związku, w której dominującym elementem był krzyż bałtycki — „wydaje mi się, że nawet w symbolach należy unikać podkreślenia tej odrębności".[10]

W konkluzji minister Jędrychowski stwierdził, że związek nie może stanowić odrębnego państwa w państwie dodając, że „jeżeliby to miało miejsce, odbiłoby się ujemnie na gospodarce planowej Miast Morskich".[11]

Odnotować należy fakt, że po zjeździe, inicjatywę w stosunkach z władzami centralnymi w Warszawie przejął od ministra Kwiatkowskiego inż. Adolf Riedel.

Czyżby Kwiatkowski w przeciwieństwie do członków Rady, którzy nadal pełni byli optymizmu, zrozumiał, że koncepcja jego przegrała? Jeśli tak, to miał rację. Dalsze istnienie związku było kwestią zaledwie kilku miesięcy.

W październiku 1946 roku odbyła się w Ministerstwie Ziem Odzyskanych narada poświęcona dalszym losom związku. Warto tu wspomnieć, iż na zjeździe gdańskim MZO nie było reprezentowane. W naradzie uczestniczyli: przedstawiciele zainteresowanych ministerstw i Biura Prezydialnego Krajowej Rady Narodowej. W wyniku narady uznano zgodnie, że powołanie związku z przyjętym przez zjazd lipcowy programem i zakresem kompetencji jest niemożliwe. Związek wkraczałby bowiem w zakres działania władz państwowych. Zarówno mnisterstw, jak i urzędów wojewódzkich. Wnioskiem z narady była propozycja powołania Instytutu dla Spraw Wybrzeża, którego działalność sprowadzałaby się do prac badawczo-rozwojowych. W ten sposób praktycznie rzecz biorąc związek przestał istnieć — prawnie nie istniał nigdy, aczkolwiek rada związku przetrwała do połowy 1947 roku.

W końcu 1946 roku i w pierwszych miesiącach 1947 sprawa Związku Miast Morskich wzbudzała nadal pewne zainteresowanie działaczy PPS na Wybrzeżu, ale bez jakichkolwiek rezultatów praktycznych. Obecnie jest jasne, że ostatnia wielka koncepcja Eugeniusza Kwiatkowskiego upadła już 13 lipca 1946 roku, po przemówieniu Stefana Jędrychowskiego na Zjeździe Gdańskim.

Dziś po trzydziestu z górą latach od owych wydarzeń, warto dokonać próby oceny zarówno samej koncepcji, jak i przyczyn które spowodowały jej upadek.

Dążenie do skupienia w jednej instytucji prac planistycznych, a także części decyzji administracyjnych i gospodarczych dotyczących całego Wybrzeża, wydaje się dziś, zwłaszcza jeśli idzie o stronę planistyczną, uzasadnione. Obecnie zbliżoną funkcję pełni powołany w 1975 roku Zespół Planowania Regionalnego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów z siedzibą w Gdańsku, obejmującą makroregion nadmorski, tj. województwa: elbląskie, gdańskie, słupskie, koszalińskie i szczecińskie.

W czasie omawianych wydarzeń był jednak dopiero rok 1946, a nie 1975. W kraju toczyła się ostra walka polityczna na różnych płaszczyznach. Między innymi dotyczyła ona roli sektora państwowego w gospodarce i miejsca sektora spółdzielczego w ramach gospodarki uspołecznionej. Rzecznikiem dominującej roli sektora państwowego, był zarówno minister Żeglugi — Stefan Jędrychowski jak i minister Ziem Odzyskanych — Władysław Gomułka. Rozwój sektora spółdzielczego, do którego niekiedy zaliczano gospodarkę komunalną jako zasadniczej drogi uspołecznienia gospodarki, miał głównie rzeczników wśród działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej. Na Zjeździe Gdańskim znalazło to wyraz w przemówieniu premiera — działacza PPS — jako że Związek Miast Morskich można było zaliczyć do sektora spółdzielczego. Być może międzynarodowy aspekt sprawy, Związku Miast Morskich spowodował wstępne poparcie tej koncepcji przez prezydenta KRN Bolesława Bieruta, który następnie stracił dla niej zainteresowanie. Faktem jest, że na Wybrzeżu nic się nie mogło dziać bez aprobaty ministra Ziem Odzyskanych i ministra Żeglugi. Koncepcje ustroju gospodarczego, którym byli przeciwni, nie miały szans powodzenia. Dlatego też, choć jeszcze rok miała funkcjonować doktryna o koegzystencji trzech sektorów gospodarczych, na wybrzeżu koncepcja Kwiatkowskiego nawet w I połowie 1946 roku nie rokowała widoków powodzenia.

Jest to dość jasne dla historyków badających te kwestie w roku 1979. Nie było to tak jasne dla ówczesnych polityków i działaczy gospodarczych Wybrzeża. Sądzę, że minister Kwiatkowski zorientował się pierwszy, czego konsekwencją było wycofanie się ze spraw związku bezpośrednio po zjeździe Gdańskim. Po naradzie październikowej w Ministerstwie Ziem Odzyskanych widocznym było, że Związek Miast Morskich nie cieszy się „dobrą prasą" w Stolicy. Prezydent Szczecina pismem z 10. 11. 1946 roku skierowanym do Ministerstwa Ziem Odzyskanych domagał się nawet, wyraźnych dyrektyw w tej sprawie.[12]

Pomimo właściwego z punktu widzenia politycznego składu członków Rady Związku, cała sprawa zaczęła nabierać nieprzyjemnego aspektu politycznego. Nie chodziło o to już — tak przynajmniej sądzę — jaki był stosunek tych czy innych polityków, do roli sektora spółdzielczego czy komunalnego w gospodarce — ale szło o samą osobę Eugeniusza Kwiatkowskiego. Zostaje on co prawda kandydatem na posła do Sejmu z listy państwowej, ale sprawa jego kandydatury była nader kontrowersyjna w Gdańsku. Wydaje się, że wprowadzenie na listę państwową zawdzięczał Kwiatkowski wyłącznie poparciu prezydenta Bieruta. Sądzę także, iż sama osoba inż. Kwiatkowskiego była mało popularna w środowisku działaczy robotniczych. Fakt, że wicepremier ostatniego sanacyjnego gabinetu II Rzeczypospolitej, obciążonego odpowiedzialnością za sytuację w kraju po śmierci Piłsudskiego i poniekąd za klęskę wrześniową — jest działaczem państwowym wysokiego szczebla w Polsce Ludowej, posiadającym rangę ministra, budził u wielu konsternację. W roku 1957 inż. Kwiatkowski został powołany na członka Komitetu Elektryfikacji Kraju Polskiej Akademi Nauk. Z okazji 80-lecia urodzin Rada Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej odznaczyła go Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą. W roku 1974 Uniwersytet Gdański nadał mu doktorat honoris causa nauk ekonomicznych, jego imieniem nazwany został statek polskiej marynarki handlowej. W latach siedemdziesiątych spotykały Eugeniusza Kwiatkowskiego i inne zaszczyty ze strony najwyższych czynników politycznych kraju.

Powróćmy jednak do roku 1946, drugi ze znajdujących się w kraju ministrów ostatniego gabinetu II Rzeczypospolitej — Wacław Kostek Biernacki, oczekiwał właśnie w więzieniu mokotowskim w Warszawie na proces z dekretu KRN z 26 stycznia 1946 roku. W tym samym czasie przyjeżdżającego do Szczecina delegata Rządu ds. Odbudowy Wybrzeża, ministra Kwiatkowskiego, witała na dworcu kompania honorowa szczecińskich milicjantów.[13]

Oczywiście nawet w 1946 roku była ogromna różnica między sytuacją polityczną „profosa" z Brześcia Kostka Biernackiego a budowniczego Gdyni inż. Kwiatkowskiego. Niemniej jednak, jakby na to nie patrzeć, był Kwiatkowski człowiekiem starego reżimu, który do niedawna znajdował się po drugiej stronie barykady.

W czasie toczącej się wojny domowej — a trudno zaprzeczyć, że w niektórych rejonach kraju walka klasowa przyjęła takie formy — eks wicepremier wrogiego z punktu widzenia klasowego Rządu, wysuwający dalekosiężne koncepcje gospodarcze, dość krytycznie oceniający kierowanie ówczesne gospodarką narodową, musiał wzbudzić podejrzenia co do charakteru i intencji swych działań. Wszak to Kwiatkowski w czasie pobytu w Szczecinie w marcu 1946 roku swoje doświadczenia planistyczne z okresu międzywojennego sformułował następująco: „należy sobie dobrze uświadomić, że polityka planowa tym zasadniczo różni się od dawnej polityki liberalnej, że jeśli w polityce liberalnej tolerowane są błędy, to w polityce planowej nie może to mieć miejsca, gdyż najdrobniejszy błąd w tym wypadku rodzi dalsze ujemne skutki i nawet może wypaczyć wykonanie programowych zamierzeń".[14]

Nie trafiało to do przekonania działaczom robotniczym, dla których planowanie było jednoznaczne z nowym postępowym ustrojem gospodarczym. Mogli oni mniemać, że związek jest „koniem trojańskim", za którym pójdzie próba osłabienia jeśli nie rozbicie od wewnątrz systemu zarządzania gospodarką narodową.

Przejdźmy do konkluzji. Wydaje się, że Kwiatkowski był zbyt doświadczonym politykiem, aby próbował przy pomocy Związku Gospodarczego Miast Morskich rozbić od wewnątrz istniejący system gospodarczy. Nie wydaje się z kolei, aby przy pomocy związku, Kwiatkowski chciał przedłużyć swą osobistą władzę na Wybrzeżu. Sądzę, że Kwiatkowski przez powołanie ZGMM chciał stworzyć instytucję, która kontynuowałaby cele Delegatury do Spraw Odbudowy Wybrzeża — po zakończeniu odbudowy. Idea ta w ówczesnym systemie administracji i kierowania, a także na ówczesnym poziomie wiedzy o planowaniu, była przedwczesna i nierealna. Także z powodów politycznych nie rokowała ona widoków na powodzenie. Czy gdyby kto inny, nie Kwiatkowski stworzył koncepcję Związku Miast Morskich, szansa realizacji byłaby większa? Być może w samym 1946 roku tak. Ale wraz z tworzeniem nowego systemu gospodarczego — w latach 1947—48, systemu o wysokim stopniu centralizacji decyzji, nie sądzę, aby Związek Gospodarczy Miast Morskich miał szansę egzystować dłużej niż do połowy 1948 roku. Niezależnie od nazwiska i pozycji politycznej autora czy realizatora koncepcji.

Ostatnie pytanie dotyczy już nie historii a teraźniejszości: Czy zespół planowania regionalnego dla makroregionu Pomorza mógłby wykorzystać niektóre projekty przedłożone na Zjeździe w Gdańsku w 1946 roku? Sądzę, że tak.

---

[1] AAN 313/II/3.

[2] AAN 313/II/2.

[3] Wojewódzkie Archiwum Państwowe Szczecin. *Dziennik* P. ZAREMBY, t. VI, 11. II. 1946.

[4] PIOTR ZAREMBA, *Szczecińskie lata 1946—1948*, Wyd. Poznańskie, Poznań 1970, s. 68.

[5] Wojewódzkie Archiwum Państwowe Szczecin, *Dziennik* P. ZAREMBY, t. VII, 19 i 20. VI. 1946.

[6] Archiwum Akt Nowych 331/II/8.

[7] Wojewódzkie Archiwum Państwowe Szczecin. *Dziennik* P. ZAREMBY, t. VII, 12. VII. 1946.

[9] Tamże.

[9] PIOTR ZAREMBA, *Szczecińskie lata*. Op. cit., s. 78.

[10] WITOLD BUBLEWSKI, *I Zjazd Związku Miast Morskich*, Gdańsk 1947, s. 117.

[11] Tamże.

[12] Wojewódzkie Archiwum Państwowe Szczecin. *Dziennik* P. ZAREMBY 10. 11. 1946 r.

[13] Wojewódzkie Archiwum Państwowe Szczecin, Zespół Zarządu Miejskiego WOL 102.

[14] Tamże.

MARKSOWSKA IDEA KOMUNIZMU

MICHAŁ HEMPOLIŃSKI

W roku 1978 minęło 30 lat od zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego i powstania Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oraz 130 lat od ukazania się Manifestu Komunistycznego, czyli sformułowanego przez Marksa i Engelsa programu partii komunistycznej. Program zawarty w Statucie PZPR, konkretyzowany na zjazdach Partii, jest fragmentem wielkiego zamierzenia ukazanego w Manifescie Komunistycznym. Budowa rozwiniętego socjalistycznego społeczeństwa w Polsce, kontynuowana dzisiaj od VI i VII Zjazdu PZPR, jest fragmentem realizacji tego wielkiego zamierzenia. Wszak socjalizm — zgodnie z przewidywaniem Marksa — stanowi pierwszą fazę ustroju komunistycznego.

Naukową teorię komunizmu sformułowali po raz pierwszy Karol Marks i Fryderyk Engels. Jednakże najgłębsze źródła komunizmu tkwią w codziennym życiu ludzi, w stosunkach społecznych wszystkich formacji, od wspólnoty pierwotnej po kapitalizm. To nie Marks wymyślił komunizm, nie wymyślili go także ani Saint-Simon i Fourier, ani F. M. Babeuf, ani Mably i Morelly, ani ksiądz J. Merlier, nie Th. Morus i nie T. Campanella i nie uczynił tego żaden z fiozofów starożytnych. Idea komunizmu rozwijała się w głowach milionów ludzi przez całe tysiąclecia jako coraz bardziej dojrzała alternatywa dla rzeczywistej sytuacji człowieka, którą trzeba było przezwyciężyć, jako wymarzona odpowiedź na rzeczywiste stosunki społeczne.

W ciągu całych tysiącleci ludzie zmierzali do urzeczywistnienia idealnego ustroju szczęśliwości powszechnej działając po omacku, metodą prób i błędów, podejmując heroiczne nieraz próby urzeczywistnienia ukształtowanych w ich głowach ideałów. Przeważnie jednak rzeczywistość jaką zastawali w wyniku swych działań była odmienna od zamierzonej, a rażąca dysproporcja między ogromnym wysiłkiem społecznym i poniesionymi ofiarami a osiągniętym rezultatem społecznym zniechęcała do dalszego działania, utrwalała nastroje bierności i rezygnacji. Los człowieka notorycznie wymykał się z jego własnych rąk, z czego łatwo już było albo wyprowadzić wniosek, że spoczywa on w rękach sił supranaturalnych, w rękach Boga, wyznaczającego sens biegu historii, a w jego ramach losy całych społeczeństw, cywilizacji, większych i mniejszych grup społecznych oraz poszczególnych jednostek, albo też zaprzeczyć wszelkiemu sensowi wydarzeń historycznych, uznać je za przypadkowe i odrzucić jakikolwiek człowiekowi tylko właściwy sens jego działania. Filozoficzne interpretacje losów ludzkich, przy całej różnorodności ich form, oscylowały między taką lub inną wersją zmistyfikowanego idealizmu a skrajnie naturalistyczną postacią antropologizmu. Dla historiozofii przedmarksowskiej człowiek był albo najmniej doskonałym aniołem, albo najbardziej doskonałym zwierzęciem, albo też pomieszaniem jednego z drugim w rozmaitych proporcjach.

Odwiecznym i fundamentalnym tematem, wokół którego rozwijały się wszystkie systemy etyczne i historiozoficzne był problem ludzkiego cierpienia i związanego z nim poniżenia człowieka, cierpienia fizycznego i moralnego. Już starożytni myśliciele zrozumieli, że cierpienia zadawane człowiekowi przez człowieka są dotkliwsze od tych, jakie zadaje mu przyroda oraz że trudniej jest je zwalczyć. Najwięksi mędrcy nie potrafili wszakże wyjaśnić, jak to się stało, że w życie zbiorowe człowieka wdarła się przemoc, przemoc człowieka wobec człowieka: przemoc fizyczna, ekonomiczna, polityczna, moralna. Wnioski wyprowadzone z opisów i krytyk wszelkich przejawów niesprawiedliwości społecznej albo zawodziły w próbach praktycznej ich realizacji, albo prowadziły do uznania cierpienia za konieczny atrybut natury ludzkiej, a zniewolenie jednych grup ludzi i klas społecznych przez inne grupy i klasy za konieczny atrybut każdego społeczeństwa.

Pojawienie się chrześcijaństwa zrodziło pewne nadzieje na możliwość zrównania i zbratania ludzi w obliczu potęgi przerastającej wszystko, co ludzkie. Gdy jednak chrześcijaństwo od obrony niewolników przeszło do obrony niewolnictwa i stało się następnie główną organizacją i ideologiczną ostoją stosunków feudalnych — nadzieje prysły. Prysły tym bardziej, że chrześcijańska koncepcja świata, wedle której świat, na którym żyjemy, jest najlepszym ze światów możliwych, w połączeniu z narkotyczną wizją szczęśliwości pozaziemskiej, uzasadniała zniewolenie człowieka hierarchicznym porządkiem świata i usprawiedliwiała cierpienia jako zawsze zawinione przez osobę lub gatunek ludzki; i jeśli nawet nie czyniła z cierpienia samodzielnej wartości moralnej, to z pewnością uznawała je za środek uzyskania zwielokrotnionej satysfakcji w szczęśliwym życiu pozaziemskim.

Jest rzeczą zdumiewającą, jak długo ludzie wierzyli, że każde cierpienie zostanie sprawiedliwie wynagrodzone. I chociaż we wszystkich epokach dostrzegano społeczne źródła niesprawiedliwości (nie potrafiąc wyjaśnić ich istoty), to jednak wierzono w doskonałość wyższego rzędu, w sprawiedliwość kosmiczną lub boską. Wydawało się czymś niemożliwym do akceptacji, jakimś absurdem metafizycznym, aby nie zawinione cierpienia mogły pozostać nie rozliczone, ich sprawcy — nie ukarani, a cierpiący nie uzyskali satysfakcji w nagrodzie. Gdyby taki miał być porządek świata, to życie w nim byłoby potworne i bezsensowne, tragiczne i absurdalne i szaleństwem byłaby zgoda na taką kosmiczną niesprawiedliwość. Nie ma więc cierpień bezsensownych, nie ma zasług bez nagród, nie ma winy bez kary! Upowszechnienie i utrwalenie tej zasady zaliczyć trzeba do największych spustoszeń, jakie w kulturze ludzkiej uczyniło chrześcijaństwo.

Przeciwko zasadzie tej protestowali filozofowie materialiści, filozofowie racjonaliści, filozofowie humaniści. Dopóki jednak nie potrafili odkryć rzeczywistego mechanizmu społecznego, będącego źródłem wszelkiego zła, dopóki nie dotarli do rzeczywistej istoty człowieka (a same te odkrycia jeszcze nie wystarczą!), dopóty rady dawane przez nich ludziom i programy naprawy społecznej musiały być zawodne, a nawet zwodnicze; i choć zdarzały się wśród nich bardzo pomysłowe i efektowne, w praktyce okazywały się nieefektywne i bezsilne. Tak w zakresie filozofii człowieka przedstawiała się sytuacja od Demokryta i Epikura po Feurbacha.

Marks i Engels dokonali decydującego przełomu w filozofii człowieka i zdołali wyprowadzić ją z sytuacji kryzysowej. Wypracowali nowe narzędzia

teoretyczne i zastosowali je dla rozplątania nieprawdopodobnych zawiłości filozoficznych, naukowych i pseudonaukowych. Poprzez plątaninę teoretyczną i gąszcz przeciwstawnych dążeń i ideałów ludzi, Marks i Engels przebili wyraźną ścieżkę, którą stopniowo rozbudowali w szeroki trakt, jeden trakt wspólny dla teorii i praktyki.

Byt wyłoniony z przyrody w procesie długiej ewolucji staje się człowiekiem wtedy, gdy podstawą jego egzystencji zaczyna być jego własna podmiotowa działalność, przekraczająca otoczenie przyrodnicze celem zadośćuczynienia jego potrzebom egzystencjalnym, działalność produkcyjna, działalność coraz bardziej świadoma i coraz bardziej celowa. Ujęcie człowieka w takim kontekście, w kontekście praktyki społecznej, gdyż praca i wszelka twórczość ma z istoty swej charakter społeczny, usuwa dotychczasowe paradoksy natury ludzkiej.

Autokreacyjny charakter człowieka gatunkowego wyklucza koncepcję niezmienności i stałości natury ludzkiej. Już sam fakt wyłonienia się człowieka z przyrody i oparcia jego egzystencji na działalności przetwarzającej otoczenie przyrodnicze, już sam ten fakt, że człowiek był zdolny (i musiał być do tego zdolny, jeśli miał rozwijać się jako człowiek) do stworzenia własnego ośrodka życia, ośrodka społeczno-kulturalnego, wyznacza z koniecznością zmienność esencji człowieka. Trzeba było jeszcze pokazać, jakie czynniki i w jaki sposób determinują kierunki tych zmian i jaki jest możliwy ich zasięg. I Marks tego dokonał kładąc podwaliny naukowej ekonomii politycznej, teorii państwa i prawa oraz innych nauk o społeczeństwie, w tym teorii klas społecznych, teorii rewolucji i ogólnej teorii formacji społeczno-ekonomicznych.

Dla postępu w zakresie filozofii człowieka szczególnie ważne okazało się przezwyciężenie stanowiska skrajnego naturalizmu, który nie był w stanie wyprowadzić z przyrody, w której sytuował człowieka, świata ludzkich wartości, a tym samym usprawiedliwiał usytuowanie świata wartości w rzeczywistości pozaludzkiej i ponadludzkiej. Naukowy opis człowieka, jako podmiotu aktywności praktycznej, musi obejmować potrzeby ludzkie i zrelatywizowane do nich wartości, nałożone na świat obiektów przez niego wytworzonych lub przetworzonych. Wartości nie istnieją ani w samej przyrodzie, ani poza przyrodą. Podmiotem wszystkich wartości jest tylko człowiek. Jeżeli wartości takie, jak Prawda, Dobro moralne, Piękno, ulegają alienacji ze świata ludzkich wytworów i umieszczane są poza człowiekiem, to źródła tego tkwią w samej sytuacji kulturowej człowieka, w ograniczoności człowieczeństwa człowieka.

Każda forma alienacji, od alienacji pracy do alienacji religijnej i alienacji wartości moralnych, wyznacza słabe strony człowieka, w zakresie których człowiek nie jest w pełni panem swej sytuacji. Alienacja oznacza ograniczenie i zniewolenie, a źródła procesów alienacji tkwią w żywiołowo przebiegającym podziale pracy, w prywatnej własności środków produkcji oraz w konfliktach i antagonizmach społecznych. Proces ten najprościej wyraża następujący fragment z Ideologii niemieckiej: „To utrwalanie się działalności społecznej, to konsolidowanie się naszego własnego wytworu w rzeczową nad nami władzę — która przerasta możliwości naszej kultury, krzyżuje nasze oczekiwania, niweczy nasze rachuby — jest jednym z głównych momentów w dotychczasowym rozwoju historycznym". (Karol Marks i Fryderyk Engels, Ideologia niemiecka, Dzieła, t. III, str. 35). Klasa społeczna autonomizuje się w odniesieniu do poszczególnych jednostek i z góry wyznacza tym jednostkom jej warunki życiowe, określa jej los osobisty, podporządkowuje ją sobie. W procesach alienacji ukryte są rzeczywiste stosunki społeczne, stosunki panowania człowieka nad człowiekiem. Marks pisał: „Nie Bogowie, nie przyroda tylko sam człowiek może być tą obcą siłą, panującą nad człowiekiem". (Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne, K. Marks i Fr. Engels, Dzieła, t. 1, s. 556).

Cała dotychczasowa historia świadczy o wielorakich ograniczeniach hamujących rozwój człowieka, ograniczeniach tkwiących w samych stosunkach społecznych. Marksistowski materializm historyczny zawiera głęboką analizę mechanizmów społecznych będących źródłem tych ograniczeń. Ale właśnie dlatego, że odkrył Marks prawdę o człowieku rzeczywistym, o człowieku jako twórcy swego środowiska, jako podmiocie wszystkich wartości, jako twórcy własnej natury, mógł wyprowadzić z tej prawdy optymistyczny obraz przyszłości, obraz wszechstronnych ludzkich możliwości, obraz nowej sytuacji społecznej człowieka, społeczeństwa komunistycznego. Skoro człowiek jest twórcą własnego środowiska społeczno-przyrodniczego, to człowiek także może to środowisko zmienić. Skoro rzeczywiste źródła nieszczęść ludzkich tkwią w ustrojach społeczno-ekonomicznych, a nie w rzeczywistości pozaludzkiej, to społeczeństwa mogą i powinny znaleźć siły i sposoby aby zmienić taki ustrój. Teoria klas i walki klasowej odsłania mechanizm tych zmian. Manifest komunistyczny zapowiadał wszakże zmianę decydującą, rewolucję społeczną, która doprowadzi raz na zawsze do likwidacji notorycznych źródeł nieszczęścia człowieka; rewolucję proletariacką, socjalistyczną, której celem będzie likwidacja klas i aparatu przemocy człowieka nad człowiekiem, wyzwolenie człowieka z wszelkich form alienacji, których podstawą jest w ustrojach klasowych alienacja pracy.

Jakie cele pozytywne wyznaczali klasycy marksizmu rewolucji socjalistycznej? Do czego ona ma prowadzić? Czym ma być komunizm? W pismach Marksa i Engelsa wiele odnajdujemy różnych określeń istoty komunizmu, szereg jego ujęć w różnych aspektach: filozoficznym, ekonomicznym, politycznym, socjologicznym, społeczno-kulturowym. Wszystkie te ujęcia mają charakter komplementarny.

Komunizm można, po pierwsze, określić za Marksem jako ustrój społeczny, w którym dokonany zostanie proces pełnej dezalienacji pracy, proces ostatecznego wyzwolenia człowieka z wszelkiego rodzaju ucisku i wyzysku.

Komunizm, to przejście człowieka z królestwa konieczności w prawdziwe królestwo wolności. Przypomnijmy, co o tym przejściu pisał Marks w Kapitale (tom III, cz. II, str. 400—402): „Królestwo wolności zaczyna się faktycznie dopiero tam, gdzie kończy się praca, którą dyktuje konieczność i celowość zewnętrzna; leży więc ono z natury rzeczy poza sferą właściwej produkcji materialnej... Wolność w tej dziedzinie może polegać na tym, że uspołeczniony człowiek, zrzeszeni producenci regulują racjonalnie tę swoją wymianę materii z naturą, poddają ją wspólnej kontroli zamiast być przez nią opanowani jako przez ślepą siłę; dokonują tej wymiany najmniejszym nakładem sił i w warunkach najbardziej godnych ich ludzkiej natury i najbardziej jej odpowiadających. Zawsze jednak jest to królestwo konieczności. Poza jego granicami rozpoczyna się rozwój sił ludzkich jako cel sam w sobie, prawdziwe królestwo wolności". W skrócie można ten fragment zinterpretować następująco:

Komunizm, czyli „prawdziwe królestwo wolności" zaczyna się z chwilą, gdy praca przestaje być dla człowieka ekonomicznym przymusem, zewnętrzną koniecznością, lecz staje się swobodną działalnością twórczą, wypływającą z wewnętrznej potrzeby człowieka.

Komunizm w odróżnieniu od barbarzyństwa dotychczasowej historii ludzkości, historii powolnego uczłowieczenia człowieka poprzez długie okresy walki człowieka z człowiekiem, a w szczególności walk klasowych, rozpoczyna okres historii prawdziwie ludzkiej, historii dojrzałego człowieka społecznego. Z określeniem takim koresponduje następująca koncepcja z Rękopisów:

Komunizm to teoretycznie przygotowany proces przekształcenia się człowieka rzeczywistego w człowieka pełnego, autentycznego, „prawdziwego"; czyli proces przekształcania się rzeczywistych społeczeństw w autentyczne wspólnoty społeczne, proces głębokiego odkrywania, wyzwalania i rozwijania człowieczeństwa człowieka.

Poprzez wszystkie pisma Marksa, od pierwszych jego prac po ostatnie, przewija się stale ten sam wątek, czy to w ujęciu jeszcze utopijnym, czy ogólnofilozoficznym, czy też badawczo-naukowym: komunizm, to pełnia człowieczeństwa, a pełne człowieczeństwo ujawnia się w autentycznej wspólnocie. Idąc za tym wątkiem możemy powiedzieć co następuje:

Komunizm to wspólnota ludzi wspólnota ich ideałów i marzeń, wspólnota celów i środków, a przede wszystkim wspólnota działania: wspólnota pracy i walki z cierpieniem, wspólnota tworzenia, wspólnota radości; komunizm to wspólnota wolnych i autentycznych osobowości, to równość różnorodności, to bezpieczeństwo jednostki w zbiorowości.

Mylna, a nawet kłamliwa, jest taka interpretacja Marksowskiej i Leninowskiej koncepcji komunizmu, wedle której jednostka ludzka w komunizmie jest niczym, a wspólnota wszystkim. Błędem, jeśli nie insynuacją, jest pojmo-

wanie Marksowskiego komunizmu jako całkowitego zrównania jednostek w powszechnej przeciętności, jako programowe równanie wszystkich w dół. Przeciwnicy komunizmu jeszcze za czasów Marksa i Engelsa usiłowali go zwalczać straszakiem wspólnej kuchni, wspólnych ubrań, wspólnych żon i wspólnych dzieci.

Komunizm obejmuje z pewnością ideę równości, ale nie ideę równości absurdalnej. Komunizm, to równe bezpieczeństwo jednostek, równe zabezpieczenie socjalne, to równy start dla każdej jednostki w jej osobowościowym rozwoju, to równe prawa do tworzenia i czerpania z wytworów kultury, to równy dostęp do nauki, a nade wszystko komunizm jest równością wszystkich w zaspokajaniu ich różnorodnych aspiracji. Koncepcję równości w komunizmie najdobitniej wyraża formuła „każdemu według jego potrzeb".

Cały ten passus, w którym u Marksa (w Krytyce Programu Gotajskiego) pojawia się wymieniona formuła, można uznać za rozszerzoną definicję komunizmu:

„W wyższej fazie społeczeństwa komunistycznego, kiedy zniknie ujarzmiające człowieka podporządkowanie podziałowi pracy, a przez to samo zniknie też przeciwieństwo między pracą fizyczną a umysłową, kiedy praca stanie się nie tylko źródłem utrzymania, ale najważniejszą potrzebą życiową; kiedy wraz z wszechstronnym rozwojem jednostek wzrosną również siły wytwórcze, a wszystkie źródła zrzeszonego bogactwa popłyną obficiej — wówczas dopiero można będzie całkowicie wykroczyć poza ciasny horyzont prawa burżuazyjnego i społeczeństwo będzie mogło wypisać na swym sztandarze: Każdy według swych zdolności, każdemu według jego potrzeb".

Dalej posunąć ideę równości już niepodobna. Wszystko, co ponadto będzie już karykaturą równości, a więc rzeczywistą nierównością.

Warto ponadto stale pamiętać o tym, że pojęcie równości rozumiane jako równe prawo dla wszystkich, kryje w sobie szereg niebezpieczeństw, przed którymi przestrzegał Marks w swej Krytyce Programu Gotajskiego. Hasło „każdemu według pracy" urzeczywistniane w pierwszej fazie komunizmu, w socjalizmie, wyraża z pewnością z dawien dawna upragniony ideał sprawiedliwości społecznej, ale koncepcja sprawiedliwości wyrażona w tym haśle jest koncepcją sprawiedliwości tylko w zestawieniu z zadawnioną historyczną niesprawiedliwością, z wielowiekowym wyzyskiem siły roboczej i nierównym rozdziałem dóbr wytworzonych. Trzeba dopiero osiągnąć etap rozwiniętego socjalizmu, by mogło się okazać, że to, co było dotychczas uznaną sprawiedliwością, samo zawiera niesprawiedliwość. Krytyka sprawiedliwości socjalistycznej jest możliwa dopiero z pozycji alternatywnej dla niej sprawiedliwości wyższej, a taką właśnie wyższą sprawiedliwość ujawnia zasada „Każdemu według potrzeb".

A oto jak Marks ujawnia niebezpieczeństwo dogmatycznego rozumienia równości, w sensie równego prawa np. prawa równej płacy za równą pracę. „To równe prawo jest zawsze jeszcze ograniczone ramami burżuazyjnymi. Prawo wytwórców jest proporcjonalne do dostarczonej przez nich pracy; równość polega na tym, że stosuje się jednakowy miernik — pracę. Ale jeden człowiek przewyższa drugiego pod względem fizycznym lub umysłowym, dostarcza więc w tym samym czasie więcej pracy, albo potrafi pracować w ciągu dłuższego czasu; praca zaś, by służyć jako miara, musi być określona pod względem rozciągłości albo intensywności, w przeciwnym bowiem razie przestałaby być miernikiem. To równe prawo jest nierównym prawem dla nierównej pracy. Nie uznaje ono żadnych różnic klasowych, gdyż każdy jest tylko robotnikiem jak inni; ale uznaje milcząco nierówne osobiste uzdolnienia, a za tym i nierówną zdolność do pracy, jako przywileje naturalne. Jest więc, w istocie swej prawem nierówności jak wszelkie prawo. Prawo z istoty swej polegać może jedynie na zastosowaniu równego miernika. Ale nierówne osobniki (a nie byłyby różnymi osobnikami, gdyby nie były nierówne) dają się tylko o tyle mierzyć wspólnym miernikiem, o ile się je rozpatruje z jednego punktu widzenia, o ile ujmuje się je wyłącznie z pewnej określonej strony, np. kiedy się je rozpatruje, jak w danym wypadku, wyłącznie jako robotników nie widząc w nich nic poza tym, abstrahując od wszystkiego innego. Dalej: jeden robotnik jest żonaty, drugi nie; jeden ma więcej dzieci niż inny, itd., itd. Przy jednakowej pracy, a za tym i równym udziale w społecznym funduszu spożycia, jeden otrzymuje faktycznie więcej niż drugi, jeden jest bogatszy od drugiego, itd. Ażeby uniknąć wszystkich tych braków, prawo zamiast być równe, musiałoby być nierówne. Lecz braków tych nie podobna uniknąć w pierwszej fazie społeczeństwa komunistycznego w tej jego postaci, w jakiej po długich bólach porodowych wyłoniło się dopiero ze społeczeństwa kapitalistycznego. Prawo nigdy nie może być wyższe niż ustrój ekonomiczny i uwarunkowany przezeń rozwój kulturalny społeczeństwa". (Karol Marks, Krytyka Programu Gotajskiego, Dzieła Wybrane, Warszawa 1949, t. II, str. 14/15).

Lenin, który w pracach swoich poświęcił wiele miejsca problematyce równości i sprawiedliwości w socjalizmie i komunizmie, odróżniał „równość formalną" od „równości faktycznej". Równość faktyczna ludzi osiągnięta być może dopiero wtedy, gdy spełnione zostaną warunki dla urzeczywistnienia zasady „każdy według swoich zdolności, każdemu według jego potrzeb". Natomiast realizację zasad równości formalnej, np. zasady równej płacy za równą pracę, zasady równych szans, zasady demokracji, itp., należy podporządkować rozwojowi sił wytwórczych społeczeństwa socjalistycznego i podnoszeniu na wyższy poziom jego kultury. Mówiąc o podziale środków spożycia w socjalizmie, Lenin pisał: „...nie należy tego rozumieć w ten sposób, że chodzi tylko o sprawiedliwy podział; trzeba natomiast zrozumieć, że podział ten stanowi metodę, narzędzie, środek zwiększenia produkcji". (Lenin, Dzieła, t. XXXII, str. 477). W innym miejscu Lenin pisał: „Chcemy znieść klasy, pod tym względem jesteśmy zwolennikami równości. Ale pretendować do tego, że uczynimy wszystkich ludzi równymi sobie — to najbardziej pusty frazes i wymysł inteligenta..." (Lenin, Dzieła, t. 29, str. 352).

W poglądach klasyków marksizmu na zagadnienie równości w szeregu kwestiach występuje pełna jasność i zgodność: po pierwsze w tym, że podział społeczeństwa na klasy, odpowiadający społecznemu podziałowi pracy jest nieustannym źródłem faktycznych nierówności między ludźmi, grupami społecznymi i klasowymi; po drugie, formalna równość między ludźmi, grupami społecznymi i klasami jest tylko sposobem wprowadzenia w społeczeństwie klasowym faktycznej nierówności; po trzecie, jedynym sposobem likwidacji faktycznych nierówności charakterystycznych dla społeczeństw klasowych jest likwidacja klas i utworzenie społeczeństwa bezklasowego; po czwarte, faktyczna równość ludzi w społeczeństwie bezklasowym nie może polegać na ich jednakowości, na zrównaniu ludzi ze względu na ich zdolności, umiejętności, wykształcenie, zdrowie, satysfakcję osobistą, ich potrzeby ekonomiczne i kulturowe; ze względu na wszystkie te cechy, a także wiele, wiele innych, ludzie mogą i z pewnością będą się różnić także w komunizmie. Przypomnijmy raz jeszcze pogląd Marksa: dwie jednostki ludzkie, przez to tylko, że są dwie, muszą być różne, a nie mogą być różne nie będąc pod jakimś względem nierówne. Pogląd ten w zupełności podzielał Lenin. Pytanie, które już dzisiaj można postawić, a na które będą musieli sobie szczegółowo odpowiedzieć budowniczowie komunizmu brzmi następująco: skoro poszczególni ludzie tworzący społeczeństwo bezklasowe będą z istoty swej różni, niejednakowi, a więc będą posiadali zróżnicowane potrzeby, to na czym — w ujęciu pozytywnym — będzie polegała faktyczna równość między nimi? Klasycy marksizmu nie rozpatrywali tego zagadnienia w szczegółach. Dostarczyli nam jednak generalnej wskazówki, jak na to pytanie można będzie odpowiedzieć. Tym kluczem jest właśnie zasada „każdemu według potrzeb". Idąc za tą wskazówką możemy już dzisiaj dać ogólną odpowiedź na nasze pytanie: ludzie o zróżnicowanych osobowościach i zróżnicowanych potrzebach równi będą sobie faktycznie w tym, że społeczeństwo będzie zaspokajać ich zróżnicowane potrzeby i pomagać w rozwoju i doskonaleniu ich zróżnicowanych osobowości. Pamiętamy słynne zdanie z Manifestu Komunistycznego: „Miejsce dawnego społeczeństwa burżuazyjnego z jego klasami i przeciwieństwami klasowymi zajmuje zrzeszenie, w którym swobodny rozwój każdego jest warunkiem swobodnego rozwoju wszystkich". (Dzieła, t. 4, str. 536). Ale tak ogólna odpowiedź z pewnością nie wystarcza. Problematyka faktycznej równości ludzi w społeczeństwie komunistycznym wymagać będzie dokładniejszych analiz w rozmaitych jej aspektach: w aspekcie filozoficznym, ogólnoaksjologicznym, ekonomicznym, socjologicznym, moralnym i psychologicznym.

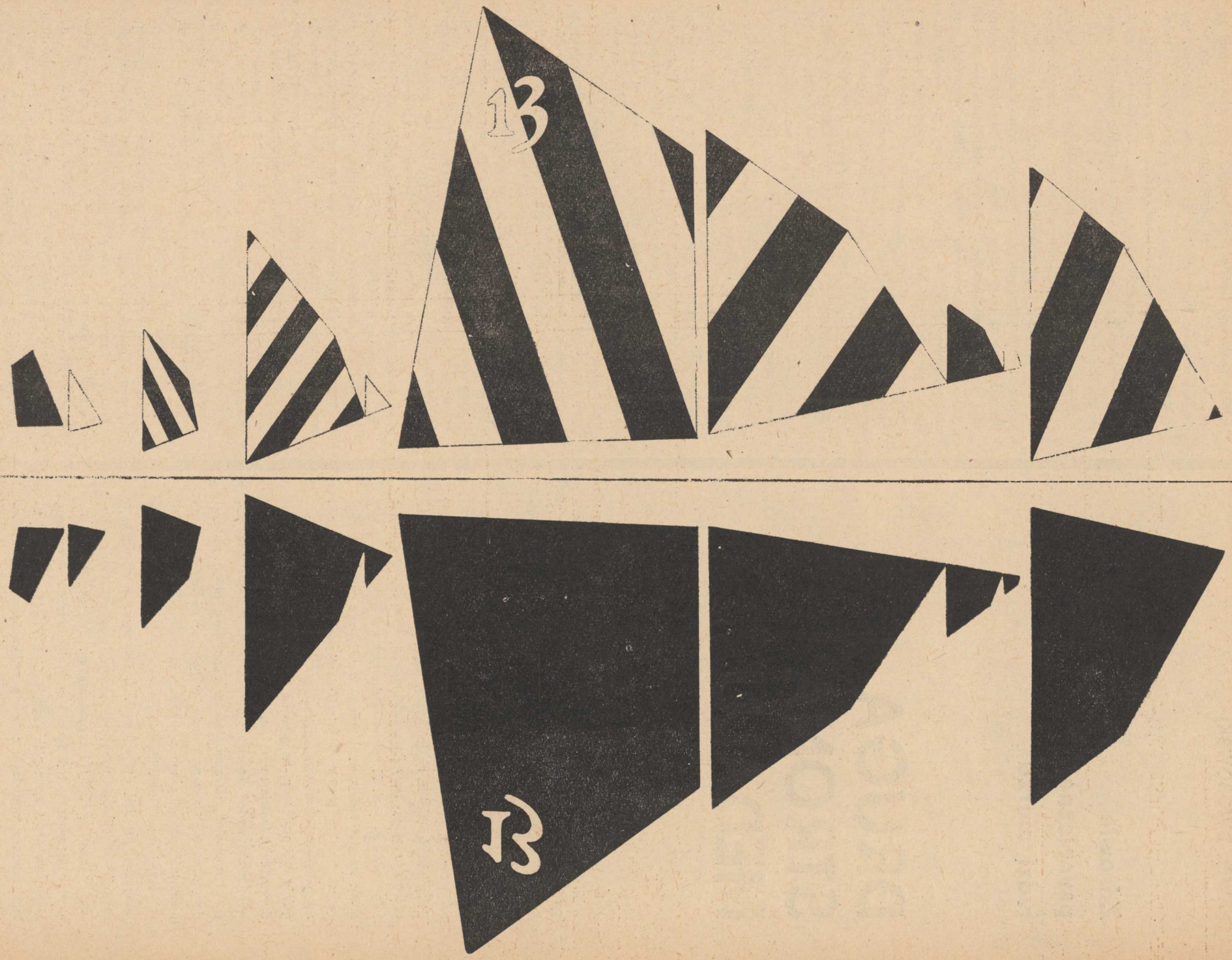
13
13

PAWEŁ DWOROWSKI

Zdrowie psychiczne ludzi morza

DRUGA STRONA MEDALU

Najzdrowiej jest być kobietą, Szwedką, a zarazem archeologiem — jak bowiem wynika ze światowych statystyk Szwedki uprawiające archeologię chorują stosunkowo najmniej. Z przedstawicielami innych grup zawodowych, do tego rodzaju męskiego jest już znacznie gorzej. Dotyczy to m. in. również mężczyzn pracujących na morzach i oceanach świata, marynarzy i rybaków, co zresztą niektórym ludziom ze śródlądzia może wydać się zaskakujące, jako że obiegowa opinia uczyniła z ludzi morza istne okazy zdrowia i tężyzny fizycznej. Z przeprowadzonych przed kilku laty przez Instytut Medycyny Morskiej w Gdańsku analiz wynika, że co dziesiąty prawie marynarz cierpi na przewlekłe choroby układu pokarmowego, zaś niemal co piętnasty na szczególnie niebezpieczne, bo grożące zawałem, schorzenia układu krążenia. Ludzie morza mają też – co już szczurom lądowym może wydać się zupełnie obrazoburcze — istotne kłopoty ze swoimi nerwami. Jest to cena, jaką płacą za ewidentne atrakcje swego zawodu, w tym zaś zwłaszcza — za możliwość ustawicznego podróżowania po świecie. Warunki, w których podróżują, idealnie wręcz przylegają bowiem do klasycznej już dziś definicji prof. T. Bilikiewicza, mówiącej o czynnikach etiologicznych powodujących powstawanie chorób psychicznych. Tymi czynnikami m. in. są: długotrwały stress, nieregularny tryb życia i brak dostatecznej ilości snu, nieprawdłowości życia płciowego, konieczność szybkiej adaptacji fizycznej organizmu do stale zmieniających się warunków meteorologicznych, konflikty intropsychiczne, nostalgia, izolacja społeczna (ludzie przebywający w morzu skazani są tygodniami, a czasem nawet miesiącami wyłącznie na własne towarzystwo, podobnie jak się to dzieje w więzieniu czy w klasztorze), i wreszcie — poczucie zagrożenia życia związane z wykonywaniem zawodu (bądź co bądź, mimo postępu techniki wciąż jeszcze nie wymyślono statków niezatapialnych, w związku z czym każdego niemal dnia gdzieś w świecie dochodzi do jakiejś katastrofy...)

Odpowiedź na pytanie, do jakiego stopnia ludzie morza cierpią na schorzenia układu nerwowego, inaczej mówiąc — jakie są rozmiary tego zjawiska, nie jest jednak prosta. Z badań przeprowadzonych przez Szwedów wynikałoby, że problem dotyczy aż co drugiego marynarza i rybaka; amerykańskie pismo specjalistyczne „Military Medicine" twierdzi, że jest to sprawa 5,5 procenta marynarzy (floty wojennej), zaś nasi naukowcy utrzymują, iż rzecz dotyczy zaledwie 3,9 procenta „pływających" (w tym — przede wszystkim pracowników siłowni okrętowych). Kto więc ma rację? Można by wprawdzie sądzić, że w każdym z wymienionych tu krajów stan zdrowia pływających jest po prostu nieco inny, przy czym tak szczęśliwie się składa, iż polscy marynarze i rybacy są relatywnie najzdrowsi; lecz jest jeszcze inne wyjaśnienie przyczyn owych różnic, bardziej zbliżone do rzeczywistości — rzecz w tym, że nasi badacze nie zgłębili jeszcze zagadnienia w sposób dostateczny.

Powiedzmy sobie otwarcie: psychiatria morska dopiero się w Polsce rozwija i to raptem od kilkunastu lat — wystartowaliśmy z nią po prostu później niż inne wielkie potęgi morskie świata. Wystartowaliśmy później — mamy więc w tej dziedzinie mniej doświadczenia. I nie zmieni od razu tego faktu to, że gdański Instytut Medycyny Morskiej (notabene uznany przez World Health Organization za placówkę w świecie wzorcową), kierowany jest — właśnie — przez psychiatrę, prof. Dolmierskiego, który potrzebę badań psychiatrycznych marynarzy i rybaków bardzo forsuje. Są z tym jednak w praktyce wielkie kłopoty. Więc najpierw — psychiatria obok radiologii stanowi w dzisiejszej medycynie polskiej jedną z najbardziej deficytowych specjalności, brak w związku z tym dostatecznej liczby ludzi, którzy zagadnieniem zdrowia psychicznego „pływających" mogliby się energiczniej zająć. Następnie — wśród polskich marynarzy i rybaków istnieją poważne opory utrudniające prowadzenie tego typu badań (opory skądinąd zrozumiałe, jeśli zważyć, że ujawnienie u określonego wilka morskiego tak banalnej w XX wieku nerwicy może doprowadzić do odebrania mu prawa do pływania). I wreszcie — całkiem niedawno dopiero polscy armatorzy w ogóle problemem się zainteresowali (co o tyle nie powinno dziwić, iż w naszym kraju sprawy zdrowia psychicznego obywateli są znacznie mniej „modne" niż np. na Zachodzie). Ową krzepiąco niską liczbę 3,9 procenta naszych marynarzy i rybaków dotkniętych schorzeniami układu nerwowego Instytut Medycyny Morskiej wziął po prostu przeanalizowawszy dane z różnych placówek służby zdrowia, dotyczą więc one oficjalnie już zarejestrowanych przypadków choroby. A ilu faktycznie ludzi morza cierpi na skrzętnie przed armatorem skrywane zaburzenia psychiczne — tego u nas po prostu nie wiadomo...

Interesującą próbę zbadania stanu zdrowia psychicznego marynarzy polskich podjął przed kilku laty szczeciński psychiatra dr Jerzy Pobocha — pracownik naukowy Pomorskiej Akademii Medycznej. Była ona interesująca przede wszystkim dlatego, że bazowała nie na różnych statystykach i dokumentach wielu przychodni, lecz wprost na obserwacji żywych ludzi. Dr Pobocha nie otrzymał notabene na ten cel żadnych oficjalnych zleceń i funduszy – po prostu zamustrował na statek jako „zwykły" lekarz okrętowy i w tzw. cza-

sie wolnym, z własnej i nieprzymuszonej woli zaczął przeprowadzać badania psychologiczno-psychiatryczne członków załogi. Przeprowadził te badania dwukrotnie: na początku rejsu oraz pod koniec jego trwania — co było o tyle istotne, że pragnął uchwycić, czy i w jakim stopniu stan zdrowia psychicznego marynarzy ulega zmianie w trakcie długiego pobytu w morzu. Statek znajdował się w morzu w sumie sto dni, jego załoga liczyła czterdziestu jeden mężczyzn w wieku od dwudziestu jeden do czterdziestu dwóch lat. W czasie pierwszych badań wszyscy marynarze zgodzili się na uczestniczenie w nich, w czasie następnych — cztery osoby zdecydowanie odmówiły poddania się im (chodziło o tzw. test Rorschacha). W czasie pierwszego badania dr Pobocha stwierdził u jednej czwartej marynarzy istnienie cech interpretowanych jako nerwicowe. W drugim badaniu cechy te wyraźnie zintensyfikowały się. Analiza psychogramów zebranych w trakcie tego drugiego badania (dokonanego między 84 a 87 dniem trwania rejsu) wykazała u badanych wyraźne obniżenie samokontroli, zmniejszenie tolerancji na sytuacje stressowe oraz obniżenie zdolności adaptacyjnych. Dr Pobocha stwierdził ponadto u jednej trzeciej badanych skłonności do reakcji lękowych i depresyjnych, zaś u trzech mężczyzn — tendencje samobójcze. Generalnie ujawnił istnienie nerwic u sześciu marynarzy, zaburzeń osobowości — u pięciu, również u pięciu — alkoholizm, hipochandrię u dwóch, skłonności homoseksualne — u jednego. Te wyniki odległe są raczej od oficjalnej, optymistycznej statystyki...

Po powrocie z rejsu szczeciński psychiatra kontynuował — znów zresztą na zasadzie hobby nieomal – swe zainteresowania tematem. Tym razem skoncentrował się na konsekwencjach, do jakich doprowadzić może niewiedza o zaburzeniach psychicznych, którym ulegają marynarze i rybacy w trakcie pracy na morzu. W tym celu (wespół z psychologiem mgr Ewą Szakowską i dr medycyny Andrzejem Szakowskim) przeanalizował akta Izby Morskiej w Szczecinie dotyczące wypadków, jakim w latach 1965—1971 ulegli ludzie związani z gospodarką morską. Jak się okazało, w latach tych Izba rozpatrywała kilkadziesiąt takich wypadków. Dr Pobocha stwierdził, że ponad połowę liczby wypadków spowodowały zaburzenia psychiczne marynarzy i rybaków. Ponad połowę wszystkich wypadków — to wskazuje na prawdziwą wagę problemu; wydawało się więc, że najwyższy już czas zająć się poważnymi, wszechstronnymi badaniami zdrowia psychicznego pracowników gospodarki morskiej.

Wobec tego kierownik Kliniki Psychiatrycznej Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie doc. dr hab. Jan M. Horodnicki — szef dr Pobochy — rozpoczął starania mające na celu uzyskanie od armatorów oficjalnych zleceń — oraz funduszy – na podjęcie takich badań. W rezultacie w marcu w szczecińskiej Przychodni Portowej odbyła się specjalna narada przedstawicieli Zjednoczenia Gospodarki Rybnej, „Gryfa", „Odry", „Dalmoru", „Transoceanu" i Polskiej Żeglugi Morskiej poświęcona temu zagadnieniu. Jej uczestnicy postanowili, że szeroko zakrojone badania psychologiczno-psychiatryczne polskich marynarzy i rybaków będą prowadzone; ustali liteż konieczność utworzenia specjalnego ośrodka leczniczo-rehabilitacyjnego dla ludzi morza cierpiących na różnego rodzaju schorzenia psychiczne. Jest więc wreszcie konkretna nadzieja na poprawę sytuacji.

JERZY ARKADIUSZ BIELECKI

Mary Brown

Idąc brzegiem kielicha zatoki
podniosłem
butelkę
pomyślałem jak w książce
na poły marynistycznej
— może ktoś wzywa pomocy
na kartce widniały
amerykańskie słowa pociechy
to make love... hotel hilton
zawirowało sierpniowe morze
statki płynęły jak pijane
że nie wiem czy to ty odpływasz
Mary Brown
czy tylko piszesz list
z wakacji

Krok w chmurach

Byłem zbyt pewien mych sił na zamiary
stojąc u podnóża schodów w chmury
wtopionych
były stare choć ze szlachetnego drzewa
czasem wydawało się że runą
stąpałem po nich jak akrobata
obserwator powiedziałby
— poeta konkursowy
każdy kolejny stopień
zmuszał do opanowania strachu
byłem pewien że stanę na szczycie
byłem tak blisko
jednak spadłem i
złamałem sobie pojęcie...

PROBLEMY BEZPIECZEŃSTWA NIE TYLKO ZBIORNIKOWCÓW

JĘDRZEJ PORADA

Miłośnicy morskich kąpieli na pewno zauważyli małe grudki mazi oblepiającej wyrzucone przez morze szczątki drewna, liny, wodorosty, itp., poczuli też delikatny ale wyraźny zapach ropy naftowej. Cóż jednak znaczą takie drobiazgi wobec innych kłopotów i radości wakacyjnych. Problem zapachów i zanieczyszczeń pozostawiamy swojemu losowi, czasem tylko wracając do wakacyjnych spostrzeżeń i refleksji pod wpływem komunikatów telewizyjnych i prasowych o kolejnej awarii zbiornikowca. Tymczasem nikt nie wie czy wyrok „śmierci ekologicznej", na którą skazane są morza zamknięte takie jak Bałtyk i Morze Śródziemne, nie zostanie wykonany już dziś lub jutro w tym lub następnym roku po awarii, wybuchu czy przełamaniu kolejnego zbiornikowca — olbrzyma wypełnionego ropą naftową.

Nie zastanawiali się nad tym wiosną 1978 r. wczasowicze, rybacy i mieszkańcy osiemdziesięciu ośmiu miast i wsi na wybrzeżu Normandii i Bretanii, dopóki nie zalała ich trzystukilometrowego wybrzeża gruba brunatna warstwa mazi po katastrofie jednego tylko zbiornikowca „Amoco Cadiz".

Katastrofy zbiornikowców, choć groźne w skutkach, nie są jednak ani jedynym, ani głównym źródłem „dżumy naftowej". Udział ich w zanieczyszczaniu światowego oceanu ropą szacuje się na 20—30 proc. O wiele groźniejsze, choć mniej spektakularne, są zrzuty ropy ze zbiornikowców na pełnym morzu, zrzuty rafinerii i przemysłu wiertniczego spod dna morskiego. Trzecim, bardzo groźnym źródłem morskiej „dżumy naftowej", są przemysłowe i komunalne ścieki odprowadzane do mórz poprzez rzeki. Już w styczniu tego roku nastąpiło kilka dalszych katastrof zbiornikowców, kilkaset tysięcy ton ropy zalało brzegi Półwyspu Pirenejskiego i wybrzeża Irlandii w Zatoce Bentry. Giną ludzie, flora i fauna morska, postępują nieodwracalne procesy biochemiczne i biosferyczne.

Alarmujące wyniki statystyki wypadków żeglugowych wyraźnie wskazują, że obecnie najczęstszą przyczyną utraty statków obok zdarzeń (26 proc.) są pożary i wybuchy (23 proc.), w ogniu i wybuchach ginie też najwięcej marynarzy (24 proc.). Wydaje się, że osłabienie czujności światowej opinii publicznej wynika z braku rzetelnej informacji o przyczynach katastrof zbiornikowców do przewozu ropy naftowej i innych chemikaliów, o ryzyku związanym z ich eksploatacją, o czynnikach decydujących o poziomie bezpieczeństwa tych statków. Obecnie, gdy problem stał się publiczny, jest przedmiotem rozważań wielu parlamentów, międzynarodowych komisji. Okazało się, że w najbliższym czasie nie można zatrzymać „dżumy naftowej". Nie da się tego rozwiązać, dopóki podejmowane doraźne środki polityczne, organizacyjne i techniczne nie staną się obowiązujące w skali międzynarodowej. Co więc decyduje o bezpieczeństwie żeglugi, bezpieczeństwie pracy i bezpieczeństwie ekologicznym zbiornikowców i chemikaliowców? Lapidarna odpowiedź brzmi: ludzie, technologia przewozu i odpowiednia konstrukcja statku oraz metody eksploatacyjne.

Jak wynika z raportu Rady Generalnej Żeglugi Brytyjskiej oraz opinii innych poważnych instytucji żeglugowych 81 proc. strat statków spowodowanych jest błędem ludzkim, brakiem rozwagi i przezorności nawet przy odpowiednich kompetencjach załogi. Nieuwaga, niedocenianie niebezpieczeństwa, nadmierna pewność siebie, chaotyczność spowodowana niezdyscyplinowaniem lub niedbalstwem wynikającym często z nieodpowiedniego wychowania, chwilowe obniżenie sprawności z powodu choroby, przemęczenia, ujemnego działania warunków pracy to główne źródła błędnych decyzji. Nie bez znaczenia jest nacisk armatorów wywierany na kapitanów do podejmowania nadmiernego ryzyka eksploatacyjnego. Ten problem był przedmiotem rozważań jednej z ostatnich konferencji IMCO (Międzyrządowej Morskiej Organizacji Doradczej ONZ). Często też armatorzy nie liczą się z uwarunkowaniami socjalno-psychicznymi załóg, które występują jako determinanty wypadków i zawsze niekorzystnie odbijają się na systemie człowiek—statek. Szczególnie jaskrawo wyłania się tutaj problem „tanich bander" (Liberii, Panamy, Cypru), które osłaniają starość eksploatowanych zbiornikowców, niskie kwalifikacje zawodowe i moralne obniżone jeszcze bardziej na skutek niewiarygodnego zróżnicowania załóg.

Jak twierdzi ekspert żeglugowy EWG Eric Newrin procent awarii statków pływających pod „tanimi banderami" jest cztery razy większy od procentu awarii statków innych bander. Na 150 statków liberyjskich zaginionych w ciągu ostatnich lat dochodzenie przeprowadzono tylko w 20 wypadkach, stwierdza się też, że na statkach tej bandery pływają oficerowie bez dyplomów. Jeśli uwzględni się fakt, że $^2/_3$ wszystkich ładunków przewożonych morzem stanowi ropa naftowa i że właśnie pod banderą liberyjską pływa najwięcej dużych zbiornikowców (około 1100), z których wiekszość nigdy nie zawija do swego macierzystego portu Monrovii i nie jest poddawana obowiązkowej kontroli tamtejszych władz morskich, zrozumiały jest niepokój i restrykcje, a nawet polityka dyskryminacji niektórych armatorów przez państwa zagrożone „dżumą naftową".

Pewnej poprawy w tym zakresie można oczekiwać po wejściu w życie pierwszej w historii światowej żeglugi Międzynarodowej Konwencji ogłoszonej na forum IMCO w lipcu 1978 r. w sprawie wymogów kawlifikacyjnych, świadectw i sposobu pełnienia wachty przez marynarzy, uzupełnionej wymogami dotyczącymi kwalifikacji załóg zbiornikowców.

Czynniki technologiczno-konstrukcyjne determinują poziom bezpieczeństwa zbiornikowców już na etapie projektowania. Okazuje się że pomimo bogatych doświadczeń eksploatacynych, wypracowanych metod zabezpieczenia pożarowego, znajomości cech fizycznych i chemicznych przewożonych ładunków w praktyce stajemy wciąż przed szeregiem zjawisk powodujących np. wybuchy, zjawisk nie wyjaśnionych dotychczas jednoznacznie. Tak było po wprowadzeniu do eksploatacji pierwszych wielkich zbiornikowców (1969 r.), gdy doszło do trzech kolejnych katastrofalnych wybuchów, tak jest i obecnie gdy wybuchł francuski superzbiornikowiec „Batelgause" (7.01.1979 r.) stosujący typową technologię mycia, załadunku i wyładunku zbiorników. Skoro wiadomo, że najmniejsze uszkodzenie poszycia (blach zewnętrznych kadłuba) wiąże się z wypływem ropy do morza lub wybuchem nieodgazowanego zbiornika, dlaczego nie projektuje się powszechnie statków z podwójnym dnem i wzmocnionymi burtami? Dlaczego nie ogranicza się bardziej przestrzeni ładunkowej warunkującej wielkość jednorazowego zrzutu ropy? Nie stosuje się powszechnie systemu tzw. gazu obojętnego? Wiadomo też, że nie uniknione są dalsze katastrofy typu „Amoco Cadiz", ponieważ dotychczas nie rozwiązany został problem odpowiedniej wytrzymałości kotwic i łańcucha kotwicznego, które nie są w stanie utrzymać dużego zbiornikowca dryfującego z prędkością powyżej 1 węzła z uszkodzonym silnikiem. Bardzo związany z powyższym zagadnieniem jest powszechnie znany przez marynarzy i dotychczas nie rozwiązany problem sterowności i słabych cech manewrowych dużych zbiornikowców, co było powodem niejednej katastrofy. Te i inne pytania stawiane są obecnie przez opinię publiczną projektantom, armatorom, towarzystwom klasyfikacyjnym i ubezpieczeniowym, dystrybutorom i producentom ropy i chemikaliów wlewanych w ilości 5—6

milionów ton rocznie do mórz i oceanów. Odpowiedzi na te pytania i problemy leżą prawdopodobnie w sferze skomplikowanych kalkulacji ekonomicznych. Pewne nadzieje na rozwiązanie tych problemów dają inicjatywy IMCO, jednak dotychczas uchwalone konwencje na temat standardów bezpieczeństwa zbiornikowców i ochrony środowiska morskiego nie wchodzą w życie z powodu braku ich ratyfikacji.

Niektóre państwa wprowadzają własne przepisy, niejednokrotnie surowsze od Konwencji IMCO (USA, ZSRR, Norwegia). W ten sposób powstała nowa generacja zbiornikowców klasy „Ecology", której pierwszy reprezentant — amerykański ziornikowiec „Tonsina" — wypłynie w tym roku w rejs na Alaskę. W konstrukcji tego statku uwzględniono większość omawianych wyżej problemów, toteż stał się on nie tylko kosztownym eksperymentem, ale prawdopodobnie wzorem przyszłych zbiornikowców tej klasy.

Nim omówię czynniki eksploatacyjne, przedstawię różnice wynikające z zagrożenia i trudności eksploatacyjnych występujących na zbiornikowcach w stosunku do innych obiektów magazynowania i transportu tego typu materiałów niebezpiecznych. Ogólnie różnice te można ująć następująco: — w żadnym magazynowym obiekcie lądowym nie ma takiej koncentracji substancji łatwopalnej lub wybuchowej i nie nastręcza to tylu problemów ochrony przeciwpożarowej jak na zbiornikowcach, — żaden inny środek transportu nie stwarza tak dużego stopnia trudności, na jaki napotyka człowiek podejmujący się kierowania ruchem i eksploatacją dużego zbiornikowca, — żaden inny obiekt magazynowy czy transportowy w wypadku katastrofy nie stwarza tak dużego zagrożenia dla środowiska naturalnego jak zbiornikowiec.

W trakcie normalnej eksploatacji zbiornikowca nieuniknione są sytuacje, w których wybuchowa mieszanina lotnych składników ropy naftowej (węglowodorów) z powietrzem będzie znajdowała się nie tylko w kadłubie ale i w otoczeniu zbiornikowca. Nieuniknione są też drobne wycieki, przelania, nieszczelności instalacji i złącz. Opróżniony po wyładunku zbiornikowiec musi dla zabezpieczenia odpowiedniej stateczności, prędkości i wytrzymałości kadłuba napełnić zbiorniki balastowe wodą w celu uzyskania odpowiedniego zanurzenia. Operacjom tym zawsze towarzyszy intensywne wydzielanie się węglowodorów i powstawanie mieszaniny wybuchowej zdolnej do reakcji pod wpływem iskry mechanicznej, czy elektrycznej na zbiornikowcu lub też w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Rozwiązaniem częściowym problemu właściwej (bezpiecznej) atmosfery w zbiornikach ładunkowych jest instalacja gazu obojętnego (tzw. inert-gazu), której jednak większość zbiornikowców (zwłaszcza mniejszych) dotychczas nie posiada.

Większość zbiornikowców nie ma też oddzielnych zbiorników balastowych lub ich wielkość nie jest wystarczająca dla zapewnienia bezpieczeństwa żeglugi i wówczas napełnia się wodą zanieczyszczone ropą zbiorniki ładunkowe.

W czasie rejsu do portu załadunkowego, zbiorniki ładunkowe są myte, a brudna woda (tzw. „brudne balasty") po oczyszczeniu skierowana do morza lub nie oczyszczona zdawana w porcie załadunkowym. Ta od dawna stosowna operacja nie wzbudzałaby podejrzeń, gdyby przestrzegane były ściśle międzynarodowe konwencje określające dopuszczalny stopień zanieczyszczania olejami wpuszczanej do morza wody balastowej. Subiektywna ocena stopnia czystości wody balastowej, braki techniczne, ignorancja przepisów i partykularne interesy załóg o niskich kwalifikacjach zawodowych i moralnych są podstawowymi przyczynami zanieczyszczenia oceanu, akwenów, których nikt nie „pilnuje".

Postulowane na forum IMCO rozwiązanie tego problemu sprowadza się do konieczności: wydzielania z przestrzeni ładunkowej kilku zbiorników przeznaczonych wyłącznie do tzw. „balastu czystego" (czystej wody zaburtowej); powszechnego wprowadzenia nowej technologii mycia zbiorników ropą naftową; wprowadzenia technologii mycia zbiorników w tzw. „obiegu zamkniętym" (bez żadnych zrzutów popłuczyn za burtę).

I znów na przeszkodzie stoi skomplikowany mechanizm ekonomicznych wyliczeń kosztów i zysków, który prawdopodobnie wykazuje, że postulowane wymogi konstrukcyjne, technologiczne i eksploatacyjne wyeliminowałyby z „rynku przewoźników" ropy naftowej i płynnych chemikaliów, właścicieli zbiornikowców zbudowanych przed 12—15 laty.

Ponad 50 proc. katastrof zbiornikowców nastąpiło w wyniku błędu w nawigacji, można więc wysunąć hipotezę, że najefektywniejszym środkiem poprawy poziomu bezpieczeństwa żeglugi i ochrony środowiska morskiego jest po prostu dokładna nawigacja. Dokładność nawigacji zależy z kolei od jakości pomocy nawigacyjnych i kwalifikacji zawodowych oficerów pokładowych.

Rozpatrując pomoce nawigacyjne trzeba zauważyć, że obecne mapy nie odpowiadają potrzebom statków o zanurzeniu większym od 20 m. Opracowywane były dla generacji statków o zanurzeniu mniejszym. Stare problemy nawigacyjne i hydrograficzne znów odżyły na skutek zmniejszenia się rezerwy wody pod stępką statku i wzrostu prędkości ruchu.

Wynika z tego, że zbiornikowce powinny pływać z dala od brzegów po ściśle określonych i nadzorowanych trasach. Po długotrwałym okresie opracowywania planów rozdziału ruchu żeglugowego na akwenach o dużym natężeniu ruchu zaczęły wreszcie obowiązywać jednokierunkowe pasy ruchu rozgraniczone środkową strefą separacyjną. Pierwszy tego rodzaju system rozgraniczenia ruchu wprowadzony został w Cieśninie Kaletońskiej. Obecnie istnieje na świecie około 60 systemów rozgraniczania ruchu, na których niektóre państwa wprowadziły odrębne przepisy dla statków korzystających z takich systemów. Japonia np. wprowadziła obowiązkowe ograniczenie prędkości statków na pasach ruchu do 12 węzłów, zakaz wyprzedzania, a dla zbiornikowców obowiązkową eskortę dwóch specjalistycznych statków do likwidacji plam ropy. Na wodach terytorialnych RFN od 1.01.1979 roku wszystkie zbiornikowce większe od 10 tys. BRT muszą obowiązkowo korzystać z usług pilotów — kontrolerów upoważnionych do sprawdzenia świadectw bezpieczeństwa oraz innych dokumentów kontrolnych dotyczących ładunku statku, załogi, urządzeń nawigacyjnych, radiowych itp. Również od 1.I.1979 r. weszły w życie nowe przepisy dotyczące żeglugi w Kanale La Manche, zobowiązujące wszystkich kapitanów zbiornikowców i statków z ładunkami niebezpiecznymi do stałej łączności z brzegowymi stacjami kontrolnymi już od momentu zbliżenia się na odległość co najmniej 50 Mm. Rozważa się potrzebę wprowadzenia obowiązkowego pilotażu dla wszystkich zbiornikowców na uczęszczanych trasach europejskich. Uważa się, że gdyby na zbiornikowcu „Amoco Cadiz" znajdował się francuski, angielski lub holenderski pilot pełnomorski, prawdopodobnie nie doszłoby do katastrofy. Obowiązkowy pilotaż jest na razie jedynym sposobem, który może zmniejszyć ryzyko wynikające z braku kompetencji niektórych oficerów i kapitanów pływających nie tylko pod „tanimi banderami".

Awarii steru, silnika lub innych urządzeń na zbiornikowcu czy innym statku nie można wykluczyć, należy więc zawczasu przygotować się na taką okoliczność. Ten słuszny wniosek wcieliły już w życie niektóre kraje europejskie zagrożone skutkami katastrof zbiornikowców. W węzłowych portach od połowy ubiegłego roku czuwają ekipy remontowe, największe holowniki ratownicze i specjalistyczne statki do likwidacji plam ropy. Dalsze postulaty zmierzają do ujednolicenia systemów nawigacyjnych, łączności i kontroli ruchu na wzór lotnictwa. Zaczyna się egzekwować kary w stosunku do kapitanów winnych naruszania ustalonych przepisów ruchu.

Wszystkie państwa EWG za przykładem Francji i Anglii zamierzają rozszerzyć pasy wód terytorialnych w celu sprawowania skutecznej kontroli i ochrony czystości wód. Trudno w tym momencie podsumować wszystkie wnioski i problemy wynikające z katastrof morskich zbiornikowców, należy zaznaczyć jednak, że sprawy te dotyczą i polskiej floty zbiornikowców, a szczególnie zaplecza lądowego. Na podkreślenie zasługuje wysoki poziom bezpieczeństwa naszej floty sześciu dużych zbiornikowców oraz owocne wysiłki armatora Polskiej Żeglugi Morskiej od dawna realizującego szeroki program — podnoszenia kwalifikacji załóg oraz program modernizacji technicznej.

LUDZIE I STATKI

RYSZARD BOGUNOWICZ

Imiona

Na początku było ich tak niewiele, że bez trudu dawały się ogarnąć pamięcią wszystkie. Z nazwy i wielkości tonażu. Zaczęło się rzecz jasna od „sołdków". Po nich poczęły wchodzić do służby w Polskiej Żegludze Morskiej małe motorowce z serii rzek. Potem przyszedł „Malbork" zbudowany w Stoczni Warskiego, pierwszy z serii młodszych braci legendarnego „Czułyma", od którego stocznia bierze swój początek. Przedsiębiorstwo zaczęło następnie powiększać swą flotę o masowce po 6 tys. ton, którym nadano nazwy miast — uzdrowisk, a więc „Szczawnica", „Krynica", itd. Pod koniec lat pięćdziesiątych ruszył wielki tramping. Na razie w oparciu o zakupione za granicą parowce, historyczne już dziś tysięczniki z wojennej serii „Liberty". Statków przybywało coraz więcej. Coraz trudniej było się wśród nich rozeznać. Na początku lat sześćdziesiątych wszedł do służby pierwszy 15-tysięcznik, mianowicie m/s „Kolejarz". Nieco później — seria „Ziem" po 26 tys. ton. Następny był „Manifest Lipcowy" o nośności 55 tys. ton, a po nim statki o nazwach wyższych uczelni, tankowce i wielkie masowce 70-tysięczniki. Przepraszam, przedtem były jeszcze 32-tysięczniki zapoczątkowane motorowcem „Powstaniec Śląski".

Statków jest już ponad 200 z różnych serii. Niedawno zapytałem jednego z dyrektorów PŻM, czy pamięta nazwy jednostek przedsiębiorstwa. Oczywiście nie mógł pamiętać, bo i nie ma takiej konieczności. Zresztą to stawanie się floty, w którym swoistymi cenzurami czasu i postępu były statki początkujące nowe serie, ulegało zakłóceniom. Tak się stało z wspomnianymi już jednostkami o nazwach uzdrowisk. Wśród „Szczawnic", „Krynic" i „Polanic" zjawiła się raptem „Bydgoszcz". Społeczność tego miasta nie mogła się zgodzić, że nie ma swojego statku, a Brodnica, powiatowe miasteczko w Bydgoskiem — ma. Dyrekcja PŻM zdecydowała się złamać klucz. Nie pierwszy i jak się okaże, nie ostatni raz.

Nadal spora liczba miast, organizacji, instytucji i dużych zakładów pracy nie ma „swojego" statku. Stąd, wśród 14-tysięczników o nazwach kopalni i hut, znalazły się motorowce „Rolnik" i „Budowlany". Nad pierwszym objęto patronat czasopismo „Chłopska Droga", drugim — Związek Zawodowy Pracowników Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Wśród serii statków „Nowy Sącz", „Tarnów" , „Kędzierzyn", znalazła się z kolei jednostka o nazwie „Eugenia Cotton", bo zwróciła się do armatora z argumentem, najwidoczniej nie do odparcia, Krajowa Rada Kobiet.

Te pragnienia, aby mieć swój statek, znaczą bardzo wiele. W imaginacji ludzi, którzy na nim przez długie lata pływają, nabiera on cech istoty żywej. To nie jest samochód, w którym tylko pokonuje się przestrzeń, choć i do niego można się przywiązać. Na statku też się pokonuje przestrzeń, ale również pracuje i żyje. Często bez opuszczania pokładu przez długie tygodnie. Legendę statku tworzą ludzie swą pracą na nim, zaś legenda nie może być związana z czymś bezosobowym. Nazwa statku, jakby czyniła zeń coś żywego. Nie tylko w odczuciach ludzi, którzy na nim pływają.

Chrzestni mają wobec swych chrześniaków ugruntowane tradycją obowiązki. Wnętrze motorowca „Tarnów" zdobią wyroby huty „Hortensja". Statek ma więc w swych pomieszczeniach symbole środowiska patronackiego. Symbole, które ożywiają, czynią z pływającej góry żelaza coś, co staje się bliskie, z czym chętnie ludzie obcują w ciągu długich tygodni pracy na morzu. A to jest już sprawa niezwykle istotna. Dla statku, a przede wszystkim dla ludzi.

POLSKA ŻEGLUGA MORSKA

ODZNACZONA ORDEREM SZTANDARU PRACY I KL.

DYREKCJA
70-515 Szczecin,
ul. Małopolska 44

Telegram: Polsteam,
Telefon: 305-250, 305-011
Telex: 0422136

Fot. S. Pleśniarowicz

Największy Polski Przewoźnik Morski

- ▲ 30 statków o nośności 3.400.000 DWT
- ▲ 34 mln ton rocznych przewozów ładunków
- ▲ ponad 6200 zatrudnionych

POLISH STEAMSHIP COMPANY

Fot. J. Undro

POLSKA ŻEGLUGA MORSKA

Fot. S. Pleśniarowicz

Pracownikom POLSKIEJ ŻEGLUGI MORSKIEJ z okazji DNI MORZA przesyłamy serdeczne pozdrowienia i podziękowania za dotychczasową ofiarną pracę na morzu i na lądzie wraz z najlepszymi życzeniami zdrowia i pomyślności w rozwiązywaniu problemów dnia codziennego oraz osiągnięcia zamierzonych celów zarówno osobistych, jak i zawodowych.

Szczególnie gorące słowa uznania przekazujemy marynarzom, którzy z wielkim oddaniem i ofiarnością realizują w trudnych warunkach zadania planu społeczno-ekonomicznego.

Życzymy Wam wszystkiego najlepszego!

Dyrekcja i Konferencja Samorządu Robotniczego
Polskiej Żeglugi Morskiej w Szczecinie

Nie dla samej statystyki

Gdyby zatrzymać w miejscu czas i od wszystkich statków z trójzębem Neptuna i literami PŻM na kominach, wykreślić w wyobraźni linie biegnące ku portom polskiego wybrzeża, otoczyłyby te linie glob ziemski gęstą siecią. Biegłyby z najprzeróżniejszych jego zakątków. Krzyżowałyby się, gwałtownie rozszerzały, by zejść się w wąziutką wiązkę, wiodącą ku Szczecinowi, Gdyni i Gdańskowi. Biegłyby te linie z wód u wybrzeży Florydy, z Pacyfiku, spod Brazylii i kontynentu australijskiego, z wód oblewających kraje dalekiego, środkowego i bliskiego Wschodu. Z portów Morza Śródziemnego, Północnego i Bałtyku. Wielu trzeba na to statków, aby te wykreślone w wyobraźni linie, biegnąc z dziesiątków, ba, setek miejsc na naszym globie, oplotły go gęstą siecią. Tę plastyczną imaginację starałem się wzbudzić w czytelniku po to, aby jej przekład na język faktów lepiej uświadamiał ich miarę. Te linie, biegnące z różnych punktów globu ziemskiego, świadczą o możliwościach Polskiej Żeglugi Morskiej. O tym, iż to przedsiębiorstwo dysponuje przeróżnymi statkami. Bo przecież taki, który wozi węgiel do Danii w słynnym moście węglowym, nie popłynie do Zatoki Perskiej, czy do portu Tampa na Florydzie, skąd transportuje się ropę naftową, czy surowce chemiczne. Rocznie około 34 mln ton przewożą statki PŻM, a jest ich 115 o łącznej nośności blisko 3 200 tys. ton, choć za te dwie ostatnie liczby głowy nie ma co dawać. Każdy niemal tydzień dokonuje ich korekty. Korekty w górę. W tym roku trzeba będzie zmieniać te liczby 23 razy, bo tyle nowych jednostek wejdzie do służby w PŻM-ie. 23 razy kapitanowie wydadzą uroczystą komendę: „banderę biało-czerwoną na statku Polskiej Żeglugi Morskiej podnieść!" Za każdą z tych komend następować będzie umocnienie pozycji armatora szczecińskiego na ogromnym, światowym rynku żeglugi trampowej. Na rynku, na którym liczą się tylko ci armatorzy, którzy mają do dyspozycji statki nowoczesne, a więc i wyspecjalizowane w przewozach różnych ładunków masowych, czyli jednostki o określonej wielkości i przeznaczeniu. Takie, które zbudowane zostały do przewozu ropy, i takie, które gwarantują sprawny, po najniższych kosztach własnych, transport na przykład siarki w rejon Morza Śródziemnego. A więc jednostki, które składają się na flotę o niskim średnim wieku. W przypadku PŻM zejdzie on w roku bieżącym poniżej pięciu lat.

Ale zarówno dane dotyczące średniego wieku statków szczecińskiego armatora oraz ich liczby (łącznego tonażu) nie są statystyką dla samej statystyki, lecz tylko wyznacznikiem potrzeb gospodarki kraju, który przyśpieszył tempo swojego rozwoju. Rzecz w tym, aby dotrzymał mu kroku armator, który ma za zadanie transport surowców i półfabrykatów importowanych oraz ładunków w eksporcie. To, co nazywa się kształtowaniem bilansu płatniczego kraju, a co jest po prostu odbiciem jego dążeń do zajęcia odpowiedniego miejsca w międzynarodowym podziale pracy, staje się dziś dla Polski jedną ze spraw pierwszorzędnych. Nie może więc być obojętne, ile i komu za przewóz tych towarów przychodzi płacić, czyli w jakim stopniu, obroty polskiego handlu zagranicznego obsługiwane są przez statki armatorów obcych, a w jakim stopniu przez flotę własną. Im więcej naszych ładunków transportują statki PŻM, tym mniejszy jest wydatek dewizowy kraju. Oczywiście dążenie do tego, aby transportowały one wszystkie ładunki w polskim eksporcie i imporcie, jest niemożliwe, a wręcz graniczyłoby z absurdem. Można wykreślić — dosyć zresztą umowną — granicę, do której warto dążyć w obsłudze własnymi statkami własnych obrotów. W każdym bądź razie, do tej granicy przedsiębiorstwu armatorskiemu jeszcze daleko. Oblicza się, że jego statki obsługują około połowy polskiego importu oraz eksportu surowców i półfabrykatów. Gdyby nie PŻM w dzisiejszym jej stanie, wydatki dewizowe kraju zwiększyłyby się o ćwierć miliarda dolarów. Jest to suma równa uzyskom dewizowym sporej branży gospodarki narodowej, nastawionej na produkcję eksportową. Rzecz więc jawi się w świetle jasnym: zwiększać flotę, a więc jej udział w obsłudze obrotów naszego handlu zagranicznego, to znaczy ograniczać skutecznie wydatki dewizowe, czyli aktywniej oddziaływać na bilans płatniczy kraju. Z takiego punktu widzenia wychodzą w Polskiej Żegludze Morskiej nie od dziś. Były w dalszej i bliższej przeszłości tego przedsiębiorstwa liczne inicjatywy potwierdzające, że ów punkt widzenia dokumentował się w swej konsekwencji ważkimi faktami. W tej przeszłości bliskiej, w latach 1971—1975, potrojeniem tonażu floty, której statki osiągnęły łączną nośność ponad trzech milionów ton. Pięć lat starczyło za dwa dziesięciolecia, zapoczątkowane rokiem 1951, kiedy to przedsiębiorstwo zapisane zostało w rejestrach armatorskich świata. To prawda, że lata 1971—75 były szczególnie sprzyjające dla gospodarki morskiej, ale też prawdą jest, że dzięki inicjatywom zrodzonym w PŻM, armator ten potrafił wspomniany okres wykorzystać. Teraz zaczyna już owocować inicjatywa kolejna.

Wiedzieć szerzej

Na imię jej angielsko-polska spółka, powstała w wyniku porozumienia Polskiej Żeglugi Morskiej i brytyjskiego konsorcjum stoczni państwowych. Dla spółki tej stocznie brytyjskie zbudują za pieniądze rządu Jej Królewskiej Mości, 22 jednostki. Łączna ich nośność wyniesie blisko 200 tys. ton. Dostawy — począwszy od roku bieżącego. Stocznie brytyjskie kooperują przy realizowaniu zamówienia z okrętownictwem polskim, kupując między innymi nasze silniki główne. Strona polska będzie eksploatować statki spółki. Będą one nosić polskie nazwy i pływać pod polską banderą, obsługując obroty naszego handlu zagranicznego. Tak samo, jak wszystkie polskie frachtowce. Kredyt brytyjski na budowę statków spółki, został jej udzielony na 15 lat. W ciągu tego czasu część wpływów z eksploatacji jednostek przeznaczać się będzie na spłatę zaciągniętego przez spółkę kredytu. Nie powoduje on obciążenia ani centem naszego bilansu płatniczego. Po 15 latach wspomniane 22 jednostki przejdą całkowicie na własność polską. Całe przedsięwzięcie zakrojone zostało na szeroką skalę, rzadko spotykaną w świecie przy tego rodzaju transakcjach. Mamy w konkretnym przypadku do czynienia ze zbieżnością w czasie potrzeb polskiego armatora, czy szerzej — polskiego handlu zagranicznego, któremu ów armator służy oraz brytyjskiego okrętownictwa, elementu gospodarki Zjednoczonego Królestwa. Jego rząd szuka sposobów na ograniczenie rozmiaru bezrobocia, między innymi w przemyśle okrętowym. Najlepszym na to środkiem są oczywiście zamówienia.

No tak, ale jeśli idzie o stronę polską, wiedzieć o tym wszystkim, to było stanowczo za mało, aby zamiar mógł się powieść. Należało jeszcze wyciągnąć odpowiednie wnioski, uruchomić wiele mechanizmów, po to, aby wyjść na spotkanie potencjalnej oferty brytyjskiej ze swoją, skonkretyzowaną inicjatywą.

O tym, czy będą nowe statki, i ile ich będzie, rozstrzygał dotąd rezultat porównania między potrzebami przewozu towarów polskiego handlu zagranicznego, a możliwościami uzyskania środków na spełnienie tych potrzeb, czyli pieniędzy na nowe statki. W Polskiej Żegludze Morskiej proponują odwrócenie sytuacji i spojrzenie na nowe statki z innej strony. Niech ich zakup nie będzie rezultatem wspomnianego porównania. Sugerują w PŻM-ie, aby popatrzeć na sprawę z punktu widzenia ochrony polskiego bilansu płatniczego, możliwości aktywnego nań oddziaływania poprzez zmniejszenie kosztów dewizowych naszego handlu zagranicznego. Takie rozumowanie, które za podstawę przyjmuje polski bilans płatniczy, a więc rzecz ogromnie dziś ważną, prowadzi nieuchronnie do konkluzji, że rozwiązanie jedynie słuszne to rozbudowa floty. Myślę, że w Polskiej Żegludze Morskiej mają do takich sugestii nie tylko moralne prawo. W rezultacie

inicjatywy, jaka w tym przedsiębiorstwie zrodziła się, przybędą mu w tym roku wspomniane już 22 statki ze stoczni brytyjskich. A zatem stworzono w PŻM określony konkret, który daje podstawę tworzenia następnych, liczących się. Między innymi w postaci znacznie lepszej obsługi obrotów polskiego handlu zagranicznego, przy nieporównanie mniejszych jego wydatkach dewizowych na transport towarów drogą morską. Na szansę przyśpieszonego rozwoju także w postaci odpowiednich środków mogą i powinny liczyć kolektywy pracownicze tych przedsiębiorstw, w których takie konkrety ekonomiczne zostały stworzone. Mobilizuje to ludzi, otwiera przed nimi perspektywy, uruchamia wyobraźnię, wyzwala inicjatywy, których przecież w żaden sposób zadekretować się nie da. Z takich to przesłanek wywodzi się postulat rozwoju szczecińskiego armatora do roku 1985. Mówi on o rozbudowie floty PŻM do blisko 5 mln ton, czyli o 2 mln ton w ciągu najbliższych 6—7 lat. Racjonalność tego postulatu polega na tym, iż zakłada on starania o sfinansowanie zakupu nowych statków za pomocą kredytów, przez co uniknie się obciążeń bilansu płatniczego kraju. W grę wchodzi więc zamiar powtórzenia — z pewnymi modyfikacjami — kontraktu brytyjskiego. Rzecz ma swą wagę nie tylko dla przedsiębiorstwa, które będzie ów zamiar urzeczywistniać. W konkretnym przypadku sprawa dotyczy i polskich portów, i przemysłu okrętowego z jego zapleczem, a także stoczni remontowych, szkolnictwa morskiego i wielu jeszcze innych przedsiębiorstw i instytucji. Teraz zastanówmy się przez chwilę: Nie ma inicjatywy PŻM-owskiej, biorącej się ze zmiany sposobu myślenia. Nie ma konkretów i nie ma napędu tworzenia konkretów dalszych. Jakże wiele spraw staje w miejscu, a w gruncie rzeczy cofa się.

Ale wróćmy do przerwanej tą dygresją myśli. Zamiar oparty o liczące się konkrety nabiera precyzji, wypełnia się, ciągnie do przodu dziesiątki innych spraw. Zapładnia wyobraźnię i skłania do przemyśleń. Jest ruchem, który wyzwoliła inicjatywa ludzi. Inicjatywa odważna, nie pozbawiona elementów ryzyka, choć sprowadzonego do rozsądnych wymiarów. Taka inicjatywa, oparta o płaszczyznę polsko-brytyjskiej współpracy gospodarczej mogła zrodzić się w środowisku ludzi uzbrojonych w rzetelną wiedzę fachową. Ludzi, którzy mają w polu swojego widzenia interes szerszy niż tylko własnego przedsiębiorstwa, jego akumulację, fundusz socjalny i wysokość trzynastej pensji załogi.

Wartość, o którą coraz trudniej

Nie tak dawno jeszcze, na początku minionego dziesięciolecia, dyplom kapitana żeglugi wielkiej wieńczył wieloletnią karierę morską. Kiedy brzeg daszka marynarskiej czapki ozdobiły złote liście, było to oznaką najwyższej godności na statku. Dziś ten symbol nadal obowiązuje, ale kryje się za nim co innego.

Wtedy, na początku minionego dziesięciolecia, cenzusem typowym dla dowodzących statkami był cenzus średniego wykształcenia. W większości rekrutowali się oni spośród absolwentów szkół morskich. Potem zostały one podniesione do rangi wyższych szkół zawodowych, by wreszcie stać się wyższymi uczelniami, które opuszczają magistrowie. Rzecz oczywiście nie w tym, aby fetyszyzować ów tytuł i dzielić dowódców morskich na tych, którzy go posiadają i tych, którzy mgr przed swoim nazwiskiem nie dorobili się. Ci pierwsi bogatsi są w zasób wiedzy teoretycznej. Ci drudzy, dysponują dziś ogromnym doświadczeniem. Wtedy, przed kilkunastu laty, z dnia na dzień musieli przesiadać się z niedużych parowców na wielkie, nawet jak na czasy dzisiejsze, motorowce. Znam ludzi z tamtego pokolenia kapitanów, którzy mając niewiele ponad 30 lat już dowodzili wielkimi, nieznanymi im dotąd statkami. Może dlatego to pokolenie dowódców morskich wcześnie zaczęło siwieć. Niektórzy z nich ani się obejrzeli, jak przyszło im służyć wzorcami pokoleniu młodszemu. A przecież jeszcze niedawno żyli i pracowali w kręgu legendy swych wielkich poprzedników: Maciejewicza, Ledóchowskiego, Bilewicza, Meisnera czy Jurkiewicza.

Dzisiejsi dowódcy, ci z tytułami magisterskimi i ci bez nich, muszą doskonalić swoje umiejętności, podbudowywać je nieustannie teorią. Stąd ludzie o siwych włosach ze złotem na rękawach niemal po łokcie, co jakiś czas zasiadają w salach wykładowych i zamieniają się w słuchaczy. Muszą nabywać dodatkowych umiejętności, a to dowodzenia dużymi statkami, a to obcowania z automatyką czy z urządzeniami coraz to nowych systemów nawigacyjnych, łącznie z systemem nawigacji satelitarnej.

Jeśli — powtarzam — jeszcze na początku minionego dziesięciolecia starczyło do kapitanowania średnie wykształcenie, to dziś zaczyna ono obowiązywać kadrę podstawową na statku. Dwa lata temu Liceum Morskie w Szczecinie opuścił pierwszy rocznik absolwentów. Przygotowano ich do pracy na pokładzie i w maszynie. Kosztowna nowoczesność bierze we władanie statki, oszczędzając wysiłku ludziom, którzy są wartością największą. Jest to w dodatku wartość, o którą coraz trudniej. Dosłownie, bez żadnej przenośni. A więc zmniejszanie liczby członków załóg na statkach PŻM, bo pozwala na to nowoczesność ich wyposażenia. Co w tym przypadku jest przyczyną, a co skutkiem — nieważne. W każdym bądź razie swoistym znakiem czasu jest to, iż jutro floty Polskiej Żeglugi Morskiej wiąże się z załogami, których podstawową kadrę stanowić będą ludzie ze średnim wykształceniem. Umiejący pracować na pokładzie, a także obsługiwać maszynę. Fachowcy o kwalifikacjach podwójnych, które są warunkiem tworzenia dalszych, tak zwanych załóg zintegrowanych na statkach PŻM. A więc etap w dziejach pracy człowieka na morzu. Z czym porównać początek owego etapu? Z wejściem napędu parowego na statki, czy może z jakimś innym, podobnie ważnym dla żeglugi momentem? Nie wiem i myślę, że trudno to dziś ocenić. Czas przyłoży do tego faktu miarę najprawdziwszą. Teraz już jednak wiadomo, że życie i praca tworzących owe zintegrowane załogi, ulega dezintegracji. Sprawia to powiększanie się miejsca na statku i kurczenie liczby ludzi, którym owo miejsce dane jest do życia i do pracy w ciągu wydłużających się rejsów, coraz krótszych postojów portowych i coraz dłuższych okresów przebywania w morzu. Reakcją na te zmiany bywa ucieczka w azyl samotności, zapewniany jednoosobową kabiną. Trudne to sprawy. Skutków ich narastania wciąż nie mogą przeciwważyć efekty rozmaitych działań. W każdym bądź razie uporać się z tym problemem to zadanie na najbliższe lata najpilniejsze. Po to, aby zachować najcenniejszą wartość floty PŻM, ludzi pływających na jej statkach. Wartość najcenniejszą nie tylko dlatego, że coraz o nią trudniej.

Historia na teraźniejszy użytek

Zaczęło się rzecz jasna od „sołdków". Wtedy, przed 30 laty, kiedy spływały na wodę, za każdym razem było to święto. Dziś, kiedy z pochylni w Gdańsku, Gdyni czy Szczecinie wodowane są statki nieporównanie większe, piękniejsze, nie jest to już święto, a zwykła codzienność. Parowce, które z PŻM niedawno odeszły, a którym dał początek „Sołdek", były przed 30 laty spełnieniem snu o morzu. Nikt chyba nie spodziewał się wtedy, że historia zapoczątkowana tymi statkami będzie działa się tak szybko. Aniśmy się więc obejrzeli, jak z tej sławnej rodziny został tylko jeden. Parowiec „Sołdek". Nie ma już statków „Brygada Makowskiego" i „Jedność Robotnicza". Nie ma rudowęglowca „Wieczorek". Zakończył swą służbę na morzu parowiec „Wincenty Pstrowski". Zamyka się jakże ważny rozdział historii PŻM i historii morskiej kraju, bo rozdział pierwszy po wojnie.

Parowiec „Sołdek", dzieło, które przeżyło mistrza, ma być zamieniony na muzeum. Także na chwałę człowieka, którego imię nosi. Za lat 10—20 ten człowiek i statek to będzie jeden symbol. Pamięć o budowniczym przetrwa za sprawą zbudowanego przezeń statku. Niesłychanie to rzadki przypadek. Kto dziś pamięta nazwiska budowniczych, tysięcy wspaniałych frachtowców, których już nie ma?

Jesienią 1949 roku po raz pierwszy parowiec „Sołdek" zawinął do Szczecina. Stał ten kanciasty, niewielki statek w gali flagowej przy nabrzeżu Wałów Chrobrego, na które wylegały tysiące szczecinian. Mnie, wmieszanemu w tłum, wydawał się wtedy potężnym Lewiatanem. Był przecież spełniającym się polskim marzeniem o morzu. Dla tego statku i jego siostrzanych jednostek mam od tamtego czasu ogromnie wiele sentymentu. Szkoda mi ich, jak szkoda jest ludziom lat ich młodości. Młodości, która zaczynała się wtedy, na początku lat 50, kiedy rodziło się przedsiębiorstwo stojące dziś w rzędzie największych przedsiębiorstw żeglugowych Europy. Dla ludzi z Polskiej Żeglugi Morskiej należących do pokolenia, które zacznie wkrótce decydować o dniu dzisiejszym i o przyszłości tego przedsiębiorstwa, owe fakty sprzed blisko lat trzydziestu mają charakter historyczny. Warto do tych faktów wracać. Także po to, aby spojrzeć poprzez nie na problemy, jakie dziś stanowią o obliczu Polskiej Żeglugi Morskiej. Jest to zajęcie pożyteczne nie tylko dla tych, którzy z flotą i morzem związani są na co dzień.

JADWIGA NAJDOWA

Bałtyk w polskim malarstwie XIX w.

Młodzieńcze studia marynistyczne Ferdynanda Ruszczyca

Jeszcze przed stu laty Bałtyk jako motyw inspiracji malarskiej nie budził zainteresowania polskich artystów. Mimo bujnego rozkwitu malarstwa krajobrazowego w drugiej połowie XIX w. temat marynistyczny podejmowany był u nas rzadko, a i wówczas dotyczył malowniczych wybrzeży włoskiej krainy lub co najwyżej północnych brzegów Francji.

Znajdujące się w zbiorach szczecińskiego Muzeum Narodowego — skandynawski pejzaż z ok. 1850 r. Christiana Breslauera, Polaka, mimo obco brzmiącego nazwiska, i późniejszy o 30 lat obraz Walerego Brochockiego związany niewątpliwie z pobrzeżem Bałtyku, należą do pozycji wyjątkowych.

Ale oto, wprawdzie już pod koniec stulecia, możemy w polskim malarstwie odnotować pojawienie się prac o interesującym nas tutaj temacie. Są to młodzieńcze obrazy Ferdynanda Ruszczyca. W owych latach dziewięćdziesiątych mogłoby się było wydawać, że dwudziestoparoletni Ruszczyc posiadał wszelkie dane, by stać się piewcą Bałtyckiego Morza. Wskazywały na to i tradycje rodzinne — był wnuczkiem duńskiego szypra i właściciela statku, i lata dziecięce spędzone w Libawie, wreszcie studia artystyczne w petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych. Potwierdzenie tych sugestii odnaleźć można i w wypowiedzi autora w prowadzonym długi czas pamiętniku: ... 28 III 1859" ... kończyłem obraz morski. Szyszkin bardzo chwalił. Pytał czym się urodził na brzegu morza i czy lubię morze. Powiedziałem, że to mój ulubiony żywioł.

Spośród prac Ruszczyca są w szczecińskim Muzeum Narodowym dwa oleje oparte o studium z natury — „Morze i chmury", a także „Brzeg morski" powstałe w czasie wakacyjnych podróży w latach 1896-7 na Bornholm i Rugię. Celem pdróży były odwiedziny u krewnych matki, a efektem szkicowniki wypełnione rysunkami i liczne studia olejne oglądanych krajobrazów, przede wszystkim morskich.

Nie były to pierwsze marynistyczne studia pejzażowe Ruszczyca. Poprzednie wakacje 1894 i 5 r. spędził na Krymie, gdzie z zapamiętaniem pracował w plenerze. Pozostawiając sztafaż — figury ludzi, łodzie — szkicom rysunkowym, w pracach olejnych dążył do przekazania czystego obrazu natury, urzekającego urodą Morza Czarnego. Na niewielkich formatem płótnach wypracowywał umiejętności wiernego odtworzenia lśnień światła załamującego się na powierzchni i przenikającego w głąb przejrzystej wody, światła rozbłyskującego niezliczonymi punktami w załamaniach drobnych mieniących się fal. Kiedy indziej znów przedmiotem studiów były głazy oświetlone ostrym słońcem południa, bielejące na tle przejrzystej szmaragdowej zieleni morskiej toni. Charakterystycznym dla większości szkiców było ujęcie motywu z góry, częste i w późniejszym okresie twórczości. Pozostały one śladem młodzieńczej przygody, nigdy więcej nie danym było Ruszczycowi zobaczyć pełnych słońca wybrzeży Krymu.

Odnalazłszy się na rodzimych pobrzeżach Bałtyku podczas wspomnianych już tu wakacji 1896 i 7 r. sięgnął Ruszczyc po nowe środki wyrazu. Wrażliwy na odmienność aury, obserwując przygasłe, o zamglonym horyzoncie morze, poddał się młody malarz nastrojowi jakże różnemu bardziej może bliskiemu własnemu temperamentowi. Poziomy, horyzontalny układ kompozycji zdawał się najtrafniej oddawać charakterystykę pejzażu pociągającego rozległością. Za to niebo, nieobecne w większości krymskich studiów, tu ożywia monotonię krajobrazu grą obłoków, kolorytem i bogactwem kształtów. Ośrodkiem zainteresowania wydaje się być współzależność kolorytu nieba i morza, różnorodnego i zmiennego pod wpływem zmienności aury. Przewijający się już w studiach krymskich motyw zobaczonej z bliska rośliny na przedplanie kompozycji pojawia się coraz cześciej. Będące w posiadaniu szczecińskiego muzeum kompozycje, dwie z okresu krymskiego i dwie nadbałtyckie, ilustrują czteroletni okres marynistycznych studiów z natury. Piękno Bałtyku ma w nich urodę melancholijną. „Morze i chmury" w tonacji granatowo-szarej z nabrzmiałymi deszczem obłokami. „Brzeg morski" srebrzysto-złotawy w blasku chłodnego dna, nuta romantyzmu z pochylonych wiatrem łodygach kępy traw. Trzeba pamiętać, że artysta daleki od impresjonistycznego „nowinkarstwa" traktował owe prace wyłącznie jako studia przygotowawcze, ćwiczenia do właściwych kompozycji dyplomowych o charakterze symbolicznym: „Gwiazda wieczorna" i „Trytony". Do tematu marynistycznego powrócić miał raz jeszcze, już u progu naszego stulecia, w także symbolicznym obrazie „Nec mergitur", malowanym w latach 1903—4.

Bałtyckie pejzaże pozostały więc w twórczości Ferdynanda Ruszczyca młodzieńczym epizodem. Mimo to zasługują na uwagę tak ze względu na wyjątkowość tematu, jak i niewątpliwe wartości artystyczne.

ZOFIA FAFIUS

Z narodzin pejzażu morskiego

Powstanie i rozwój malarstwa marynistycznego na ogół przypisuje się Holendrom. Oni to bowiem, ci dzielni, zakochani w swym rodzinnym kraju ludzie, walczący zarówno o niepodległość, jak i o podstawy ekonomiczne jego bytu — zasadniczą dziedziną swych wpływów uczynili morze. Począwszy od XV wieku Holandrzy docierają statkami niemal wszędzie. Ich bandery spotyka się na łowiskach od Grenladii aż po Bałtyk, nie mówiąc o flocie handlowej, która zawija do portów całego ówczesnego dostępnego świata. Wiezie ona produkowane w swoim kraju towary, zwłaszcza sukna, a przywozi surowce. Ładowane w Gdańsku czy Rewalu zboże, żywi zachodnią Europę, zjawia się ono na Morzu Śródziemnym, na Biskajach, wzdłuż Kanału La Manche. Holendrzy, skromni i obrotni, odważni i pracowici, prowodzą kantory, pośredniczą, handlują, przeważą, skrzętnie gromadzą wiadomości istotne dla rozwoju nawigacji i nauki o świecie. Zarazem jednak walczą stale: z żywiołem, z przeciwnościami klimatu, z chorobami, z własną słabością. Nie mają jednak zwyczaju rezygnować, zyskują poszanowanie, uznanie dla swych umiejętności. Kochają swój zawód żeglarza, swoje statki, życie na morzu i pracę z morzem związaną.

Gdzież więc jak nie w Holandii istniały warunki do rozwoju malarstwa, którego tematem samym dla siebie było morze i to wszystko co łączyło się z nim? Był to bowiem związek „na śmierć i życie". Dzięki niemu ten maleńki kraj — ubogi w surowce, kwitł gospodarczo i kulturalnie, miał możność pchnąć naprzód naukę szeregu dziedzin, kultywował sztukę: muzykę, architekturę, produkował oryginalną ceramikę, wyroby ze szkła, złota, rozwijał zamiłowania estetyczne w życiu codziennym, a przede wszystkim kochał się w malarstwie, między innymi w malarstwie traktującym o morzu.

Zapytać jednak należy: „Czy wcześniej nie malowano nigdy morza?" Owszem malowano i to od dawna, lecz raczej nie dla niego samego, nie dla jego uroków, a wyłącznie dla uzupełnienia treści jakiejś sceny. I tak widzimy obrazy na przykład o tematach mitologicznych lub religijnych, w których jawią się wybrzeża morskie lub tafle wodne, potraktowane jako tło lub jedynie jako jeden z komponentów całego obrazu. Właściwe natomiast treści dotyczą przedstawienia jakiejś sceny — ze świata antycznego czy biblijnego.

W miarę rozwoju postępu i wiedzy o świecie, wzrasta zarazem zakres zainteresowań ludzkich, poszerza się ich krąg. Przedmiotem obserwacji i badań czy tematem w sztuce — obok człowieka — staje się także i otaczający go świat oraz niewyimaginowane opowieści lub zasłyszane sprawy z dawnych lat, lecz także to, co realne i współczesne. Dla przeciętnego Holendra czy Flamanda bliskie jest więc to, co go otacza, z czym łączą się jego trudy i radości: morze, wybrzeże, statki i barki na rzekach, porty i ich ludzie. Motywy te wzięto prosto z życia, szkicowane z natury, czasem malowane są z dodatkiem artystycznej wyobraźni czy fantazji, lecz zawsze wierne rzeczywistości. Ponadto ludzie ci, którzy wysoko rozwinięte mieli poczucie estetyczne życia domowego, tak kochali swoją pracę, swoje okręty, że lubili mieć ich cząstkę w domu. Zbyt byli jednak rzetelni, aby można ich było zadowolić czymś, co nie odpowiadałoby prawdzie. Lecz obok rzetelności w człowieku morza drzemie zawsze i kawałek romantyka. Toteż z zamiłowaniem patrzy on na obrazy, które przywodzą mu na myśl zarówno dramatyczne wspomnienia zmagań z żywiołem jak i pogodne przechadzki u wybrzeży.

Dla możnych armatorów, czy właścicieli kompanii dalekomorskich, tworzy się okazałe, kładzione mistrzowsko na dębowych deskach czy na płótnach, pejzaże morskie lub inne związane z morzem obrazy. Do pomieszczeń jadalnych maluje się, złożone z „darów morza", kompozycje martwych natur w których bogactwem kolorów i kształtów cieszą oko artystycznie ułożone ryby o srebrzystych łuskach, mienią się muszle i inne dziwy morskie, czerwienią się kraby. Dla bardziej przeciętnego obywatela podobne tematy utrwala się w miejszych wymiarach.

Zarówno indywidualność malarza w tworzeniu wizji artystycznej otaczającego go świata, jak i wpływ tych warunków zewnętrznych na twórcę — stanowią o powstawaniu odrębnych stylów i szkół. Jest to bowiem okres emancypacji krajobrazu, jako samodzielnego gatunku malarstwa, w ogólności. Pejzaż stał się w wieku XVI nareszcie godnym samodzielnego obrazu. Po okresie tzw. pejzażu „panoramicznego", w którym roztacza się przed widzem obraz, ujęty jest z dość dużej wysokości, a sceneria jest zróżnicowana, nie mniej nieco fantastyczna i jakby tworząca pewien zlepek realistycznych fragmentów przyrody, przychodzi następnie okres ujmowania krajobrazu z niewielkiej odległości. Dzięki temu osiąga się ujęcia przestrzeni widziane bardziej jednorodnie, a nieporównanym mistrzem w tej dziedzinie okazał się, jeden z największych malarzy europejskich, Piotr Bruegel Starszy. W okresie manieryzmu, w epoce, która w Niderlandach dała szczególnie udane rozwiązania, rozwija się typ pejzażu o efektach niemal surrealistycznych jednakże prawdziwy rozkwit malarstwa pejzażowego, a tym samym i marynistycznego, przypada na wiek XVIII. Mnożą się indywidualności artystyczne, poszczególne miasta tworzą odrębne szkoły: Haarlem, Amsterdam, Delft i inne. U niektórych rolę postaci ludzkiej w obrazie przejmuje okręt. Dominuje on w kompozycji, często nawet kosztem morza, usuwając je ponownie do roli tła. Dla innych — przeciwnie — stanowi ono źródło dodatkowych przeżyć. Widać to zwłaszcza u twórców, którzy pod wpływem nowych podstaw naukowych starają się przelać na płótna wrażenia dżdżystego dnia czy atmosfery prześwietlonej delikatnym rozproszonym światłem sączącym się spoza chmur. Ten świat zasnuty mglistą przesłoną powietrzną, ukazuje się malarzom w całym bogactwie kolorów o zatartych konturach, stapiających się w jednolitą szarawo-barwną tonację. Charakterystyczną właściwością krajobrazu holenderskiego staje się przy tym stosunek przestrzeni nieba i ziemi. Nizinna płaszczyzna Holandii opanowana jest bowiem przez niebo, przytłacza je ono swoim ogromem, przez co strefa ziemska wydaje się nieraz jedynie wąskim pasmem. W obrazach np. Jana van Goyena przewaga nieba bywa wyraźna. Chmury są elementem, który najbardziej przyciąga uwagę. U Simona de Vlieger morze nie zawsze widziane jest z punktu znajdującego się na wodzie, często natomiast z miejsca położonego na brzegu. Dzięki temu jego widoki wybrzeża morskiego ożywione są zazwyczaj postaciami rybaków i handlarzy.

Obok tych artystów, wiernie malujących „portrety" swojego kraju, są i inni, dla których pejzaż staje się raczej pretekstem, środkiem do wyrażenia własnych uczuć, do utrwalenia swych przeżyć wewnętrznych. Celuje w tym Rembrandt i Hercules Seghers, a pod wpływem ich osiągnięć podobne cechy starają się przejąć także i inni. Dają one pole do niezwykłej fantazji, dynamiczności formy, jednolitości gamy barwnej, a odpowiednio dozowane efekty światłocieniowe stopniują nastroje: dramatyczności, liryzmu, niepokoju czy harmonii. Strumienie złotawego światła padają na fragmenty przejrzystego cienia, obok niezwykłej precyzji jednych elementów, inne zasnute są mgłą. To obraz stanu zakątków duszy ludzkiej. Drogą tą podążał także Jacob Ruisdael, który w swych pejzażach w mistrzowski sposób ukazywał panującą w przyrodzie wzajemną harmonię, nierozerwalny związek wody, ziemi i nieba. W skłonności do dramatyzowania malarz ten okazał się wielkim poetą potężnych i nieubłaganych sił przyrody, znakomicie wyrazić potrafił niszczycielską potęgę żywiołu morskiego. Jego zasługą jest stworzenie niejako syntezy krajobrazu holenderskiego: realizmu obserwacji pogłębiał bowiem wrażliwością odczucia. Był to zarazem szczyt holenderskiego malarstwa pejzażowego, którego — choć nie jedyne — lecz bardzo istotne źródło tkwi w narodowym patriotycznym traktowaniu sztuki.

Tematy morskie w malarstwie mistrzów niderlandzkich, znajdujące się w zbiorach Muzeum Narodowego w Szczecinie, stanowią ilustrację do niektórych omawianych tutaj problemów.

morskiego

Oto utrwalona na desce przez nieznanego artystę holenderskiego z wieku XVII: „Burza na morzu". W dramatycznych zmaganiach z żywiołem, walczy tu kilka galeonów o zwiniętych żaglach, a wśród piętrzących się na pierwszym planie poszarpanych skał, widoczne są drobne postacie rozbitków. Obraz ten utrzymany w „monochromatycznej", czyli jednolitej, gamie barwnej zielonkawych szarości i brązów, z ciężką chmurą nawisłą nad powierzchnią wzburzonego morza, doskonale oddaje nastrój grozy i tragicznych przygód żeglarskiego losu.

Całkowicie natomiast odmienna atmosfera tchnie ze „Sceny w porcie", szkoły flamandzkiej z przełomu XVII na XVIII wiek. Mimo różnobarwnego zgiełku, zebranego na wybrzeżu tłumu, rozbieganych dzieci, psów czy kroczących zwierząt jucznych, poczuciem bezpieczeństwa i spokoju napawają gładka tafla rzeki, zakotwiczona łódź żaglowa i przybijająca do przystani galera z ozdobnym namiotem. Całość dopełnia koloryt gorących brązów, na pierwszym planie, zharmonizowany z błękitami i zielenią laserunkowo potraktowanych chmur i lśniących wzgórz z basztami, strzegącymi portu.

Interesującym także przykładem jest inny holenderski obraz z pierwszej połowy wieku XVIII, przedstawiający „Połów wielorybów u brzegów Grenlandii". Na pierwszym planie, wśród lodowej scenerii dalekiej Północy, uwijają się na łodziach harpunnicy, z prawej lawirują między krami dwa statki w pełnym ożaglowaniu, z lewej natomiast stoją majestatycznie dwie zakotwiczone, potężne karaki, z łopoczącymi flagami holenderskimi na masztach. Poza precyzyjnie utrwalonymi elementami takelunku i budowy statków, czytelne są nawet ich nazwy. Pierwszy to „Delfin". Nazwa ta figuruje w języku holenderskim nad wizerunkiem tego ssaka wymalowanym na rufie — drugi natomiast nosi miano „Dunkierka". Przedstawiona zarazem sylwetka tego miasta ukazana została z taką dozą realizmu, że wyróżnić w niej nawet można charakterystyczny zarys tamtejszego kościoła św. Eligiusza pośrodku. Toteż, choć tematem jest tu pozornie praca wielorybników, to jednak wydaje się, że zasadniczą treść obrazu stanowi niejako „portret" tych dwóch, przykuwających uwagę, jednostek. Przemawia za tym zarówno forma niezwykłego ich wyeksponowania na czoło całej kompozycji, jak również wyjątkowa wierność wszelkim realiom. Nie byłoby więc chyba zbytnią fantazją, gdyby uznać, że obraz niniejszy jest realizacją konkretnego zamówienia. Utrwalono tu na płótnie — dwa statki, zapewne szczególnie zasłużone i stanowiące własność jakiegoś zespołu wielorybników, po to, aby następnie zawisnąć mogły w ich oficjalnej siedzibie, stanowiąc przedmiot dumy i miłe dla oka wspomnienie.

JERZY JURCZYK

Malowanie morza

Plenery malarskie w Świnoujściu są organizowane od dziesięciu lat. Pomysłodawcą tej imprezy był nieżyjący już znakomity malarz szczeciński, Ziemowit Szuman. On też był ich wielokrotnym komisarzem (od momentu powstania, tj. od 1966 roku do momentu przekształcenia ich w imprezę międzynarodową w 1973 roku). Organizacji podjęło się Stworzyszenie Kulturalne Ziemi Wolińskiej i Zarząd Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków w Szczecinie. Dzięki zaproszeniu Ziemowita Szumana miałem przyjemność spędzić we wrześniu 1973 roku kilku dni wśród uczestników I Międzynarodowego Pleneru Bałtyckiego Malarzy. Wrzesień był tego roku wyjątkowo piękny, słoneczny, ale nie upalny. Z plaż i ulic popularnego kurortu zniknęły już tłumy wczasowiczów. Można więc było swobodnie wędrować po nadmorskim brzegu. Hotel „Atol" stał się swego rodzaju „wieżą Babel" — mieszały się tu języki: duński, francuski, fiński, węgierski i polski. Dzieliłem wówczas pokój z Henningem Möllerem z Kopenhagi. Podobnie jak w innych pokojach, które zamieszkiwali malarze, balkon przekształcił się w pracownię. Henning należy do awangardowej grupy „M-59", której wystawę — dzięki kontaktom nawiązanym w Świnoujściu — mogliśmy obejrzeć w szczecińskim Muzeum Narodowym. Jego malarstwo zaliczyć można do tzw. „abstrakcji gorącej". Może właśnie dlatego tak łatwo znalazł wspólny język z Szumanem, którego obrazy również należą do tego samego nurtu. Jako komisarz pleneru Ziemowit Szuman (nieobojętną sprawą była tu jego doskonała znajomość kilku języków, wiedza i kultura osobista) potrafił w przyjazny sposób zintegrować nie tylko artystów mówiących różnymi językami, ale również należących do różnych orientacji i generacji artystycznych. Powiedział mi wówczas: „Celem pelnerów świnoujskich jest nawiązywanie do motywów marynistycznych, przy zachowaniu pełnej swobody wypowiedzi artystycznej". A więc swoistą metodą inspiracji twórczej, zamiast formułowania sztywnych ram programowych, stało się swobodne poddanie nastrojowi miejsca i atmosferze kontaktów towarzyskich. O tym, że była to dobra metoda, świadczy fakt, iż mimo braku nacisków ze strony organizatorów uczestnicy pleneru nie stronili od tematyki marynistycznej i każdy na swój sposób starał się ją podejmować. Wystawa prac powstałych na I Międzynarodowym Plenerze Bałtyckim Malarzy (poprzednie miały charakter ogólnopolski) pozwoliła uświadomić jak bardzo złożonym zagadnieniem we współczesnej plastyce jest sprawa inspiracji krajobrazowych. Albo inaczej mówiąc inspiracji naturą. Pokłosie plenerów bałtyckich świadczy, że morze to temat, który jest obecnie rozwiązywany w kategoriach odmiennych od tradycjnie rozumianych formuł malarstwa pejzażowego. Co znaczy dzisiaj określenie „współczesne malarstwo marynistyczne?". Właściwie nic. Jeśli podejmujemy dziś próby zdefiniowania nurtów artystycznych, to mamy przede wszystkim na uwadze wyznaczniki formalne i światopoglądowe. Nigdy tematyczne. Nie są one zbyt istotne dla przedmiotu sprawy. „Marynistami" byli w XVII wieku malarze holenderscy, którzy stworzyli niezniszczalny (powielany do dnia dzisiejszego) przez akademickich producentów landszaftów z żaglowcami na wzburzonym morzu, kanon pejzażu morskiego. Odmienną postawę reprezentował Iwan Ajwazowski, który rozumiał morze jako żywioł niosący oczyszczenie — katharsis. Malując morze wyrażał jednocześnie własną filozofię życiową. Zespalając się całkowicie — w sensie emocjonalnym — z żywołem morskim, umiał jak nikt inny przedtem (ani potem) przetłumaczyć światło, przestrzeń, ruch i materię morza na język malarski.

Właśnie postawa Ajwazowskiego, który nie traktował morza jako kolejnego motywu pejzażowego, a próbował dociekać jego istoty, wydaje się być charakterystyczna dla większości malarzy przyjeżdżających na świnoujskie plenery. A przybywają do Świnoujścia twórcy, mający częstokroć wyraźnie już skrystalizowany program artystyczny. Dla nich konfrontacja z morzem stanowi rodzaj sprawdzianu możliwości warsztatowych i własnej wrażliwości. Przyjeżdżający do Świnoujścia artyści mają już spory bagaż własnych doświadczeń twórczych i trudno się spodziewać, by w ciągu kilku tygodni to „otarcie się o morze", zmieniło generalnie ich zainteresowania malarskie. Najczęściej plener oznacza kontynuację wcześniejszych poszukiwań. Ale jednocześnie bliskość morza wyciska jednak pewne piętno na ich plenerowej „produkcji". Najłatwiej i najprościej można to dostrzec w pracach o charakterze realistycznym, odwołujących się wyraźnie do charakterystycznych motywów marynistycznych. Trudniejsza

sprawa jest w wypadku sztuki abstrakcyjnej. Chociaż bardziej frapujące dla krytyka, a jednocześnie bardziej ryzykowne, jest poszukiwanie w malarstwie nieprzedstawiającym źródeł inspiracji poetyką nadmorskiego pejzażu. Być może właśnie plenery bałtyckie skłoniły Ziemowita Szumana do stworzenia cyklu „Świat podwodny" (w którym morze jawi się jako żywioł) nieodgadniony, tajemniczy i romantyczny. Rzeczywistość morza urasta w malarstwie Szumana do wymiarów nieogarnionej i budzącej lęk potęgi kosmosu. Podobne nastroje budzą obrazy Ryszarda Kiełtyki, który w swych figuratywnych płótnach operuje skojarzeniami o charakterze poetyckim. Mniej tajemnicze i bardziej „oswojone" bywa morze w realistycznych pejzażach Grażyny Harmacińskiej-Nyczka i Joanny Spychalskiej („Morze i Ziemia" — listopad 78).

Na początku bieżącego roku BWA zorganizowało w Klubie „13 Muz" wystawę obrazów powstałych w ciągu 10 lat na plenerach bałtyckich. Oczywiście nie jest to pełny przegląd, lecz jedynie wybór prac znajdujących się w posiadaniu świnoujskich organizatorów i stanowiących trzon powstającej tam galerii sztuki. Przyznaję, że po obejrzeniu tych płócien byłem bardzo zaskoczony (na plus oczywiście) poziomem tej kolekcji. Okazuje się, że uczestniczyło w plenerach wielu znakomitych malarzy. Do takich wniosków skłania również ostatni plener, którego komisarzem był Tomasz Burasewicz. Sądzę, że należy w przyszłości dbać bardzo starannie o to, aby ta impreza nadal zajmowała wśród plenerów szczecińskich „elitarną" pozycję.

„Niebezpiecznym" konkurentem dla Pleneru Bałtyckiego jest „Opus" organizowany w Komieniu Pomorskim. Dowodem niech będzie obraz Ewy Jędrzejewskiej-Drygas ze Szczecinka pt. „Tratwa Meduzy", który powstał właśnie w Wamieniu. Obraz ten jest parafrazą słynnego płótna Theodore'a Géricaulta pod tym samym tytułem z paryskiego Luwru. A więc mamy na naszym wybrzeżu dwa plenery związane tematycznie z morzem, i, od ubiegłego roku, konkurs „Konika Morskiego" o charakterze makroregionalnym, którego celem jest popularyzacja w środowisku plastycznym tematyki marynistycznej. Można więc mieć nadzieję, że morze przestanie pojawiać się w twórczości plastyków z nadmorskiego regionu jedynie na zasadzie gościa przy okazji tak „odświętnych" wydarzeń jak plenery czy konkursy. Warto, aby zadomowiło się na trwałe w sferze tematycznych zainteresowań szczecińskich plastyków. Również pejzaż naszych ulic wskazuje na to, że plastycy stoją jakby „tyłem do morza". Jak dotąd sprawdza się przysłowie, że „szewc bez butów chadza". Aby nie stało się ono regułą trzeba, by obok plastyków również sprawą przejęli się i praktycznie zainteresowali zleceniodawcy form plastycznej reklamy przedsiębiorstw gospodarki morskiej oraz fundatorzy stypendiów artystycznych.

Do tej pory nie ma w Szczecinie plastyka, którego z pełną odpowiedzialnością nazwać można „marynistą". Kiedyś w Warszawie oglądałem wystawę takich „marynistów" z Wielkopolski i Mazowsza. Jednego się w Szczecinie dopracowaliśmy — może właśnie dzięki Plenerom Bałtyckim i konkursom „Konika Morskiego" — że nie upowszechnia się u nas banalnego i naiwnie sentymentalnego modelu pejzażu marynistycznego. Między innymi wystawa retrospektywna w „13 Muzach" dowiodła, że tego tematu nie traktuje się w sposób powierzchowny, lecz próbuje się go zgłębiać i podejmować twórcze ryzyko nowej interpretacji.

Jedynym szczecińskim malarzem, którego twórczość dowodzi ciągle przeżywanej na nowo fascynacji morzem jest laureat Grand Prix IX Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego, Ryszard Kiełtyka, chociaż nie zaryzykowałbym nazwania go „marynistą", morze w sposób wyczuwalny istnieje w jego obrazach jako symbol nierozerwalnej więzi człowieka i natury. Istniało również — na tej zasadzie — w płótnach nieżyjących już szczecińskich malarzy: Andrzeja Żywickiego, Ziemowita Szumana i Olega Bałakirewa.

fot. Krystyna Łucewicz

Fot. Archiwum; ZIEMOWIT SZUMAN (1904—1976) — inicjator Międzynarodowych Plenerów Bałtyckich Malarzy w Świnoujściu

Fot. Archiwum; uczestnicy I Międzynarodowego Pleneru Bałtyckiego Malarzy przed hotelem „Atol" — Świnoujście 1973 r. pierwsza z lewej — Grażyna Harmacińska-Nyczka, pośrodku — Ziemowit Szuman — komisarz pleneru, pierwszy z prawej — Oleg Bałakirew

Fot. S. Pleśniarowicz; KLEJSTUT BEREŹNICKI — Muzykant — *olej*, obraz malowany podczas pleneru „Opus '78" w Kamieniu Pomorskim

Fot. S. Pleśniarowicz; ZIEMOWIT SZUMAN — Kontrasty — *akryl*

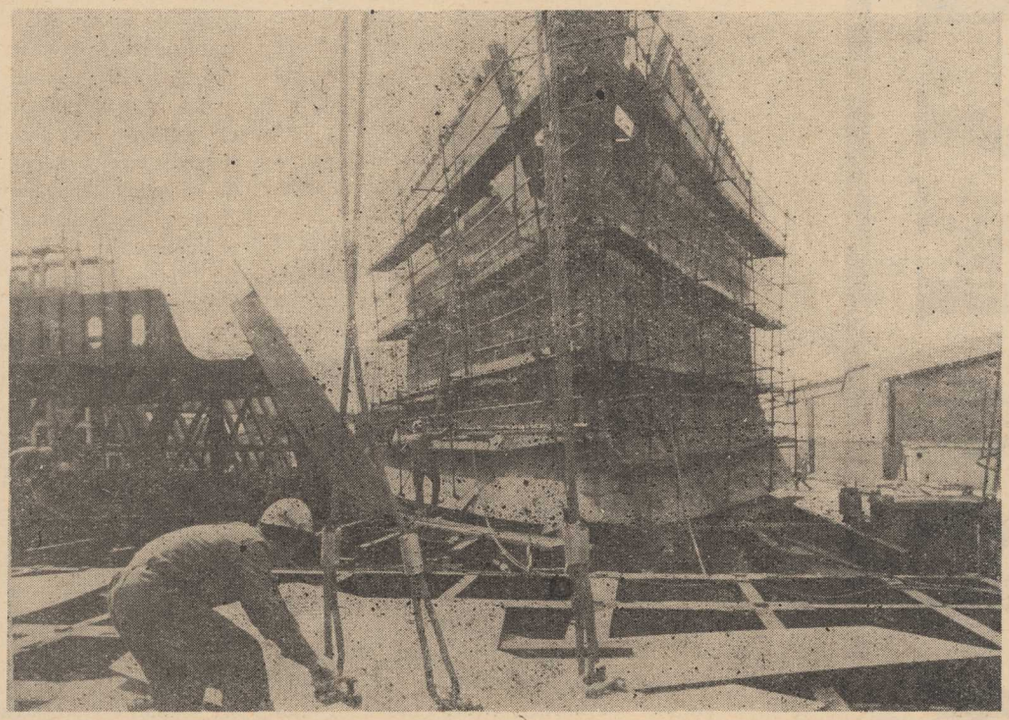

fot. J. Undro

MARIAN YOPH-ŻABIŃSKI

OCEAN

Posiadając ocean jestem nieśmiertelny
za dwóch
jeden z nas nie może się mylić
kiedy przypomni wody rozlewistej Europy
ile słów wytrutych z jej rzek
znajdzie swoje morze i ustanie poezja
jak wiatr co opada w żaglach
gdy myśl pustoszeje w słów łoskocie
gdzie się podziała marynistyka
do odkrywania najpiękniejszych Ameryk?
jak mgła przesuwa się przez nasze palce
jak wszystko co piękne
kiedy Ziemia odmawia przestrzeni
której dobieramy z mórz i oceanów
przedłużając ląd o kilkadziesiąt kroków
się rozkruszamy
podobni do wyrzuconych kości wielorybów
patrząc sobie w twarz niebieskimi szparkami
zatok Atlantyku
czy nie za późno się zastanawiamy
jak żyć z oceanem?
można żyć z oceanem albo rozrzucić nasze prochy
po oceanie wreszcie się oddać jakiemuś żywiołowi
danym nam tylko przez żywioły...

PAMIĘTNIK pana BARYKI

JAN LEGUT

Takie swoje miejsce, proszę Pana, to ja mam w Szczecinie — wysoko nad Odrą. Po raz pierwszy, jeszcze w wojskowym mundurze, patrzyłem z tego miejsca na leżący w dole port i Stare Miasto — jedna wielka ruina. Kiedy to się odbuduje? — myślałem. Od nabrzeża pod Wałami wypływałem w swe pierwsze rejsy, niedalekie, ale pełne przygód — po wodach najeżonych wrakami, bez znaków nawigacyjnych... Tu umawiałem się na randki. Tu przeżywałem dobre chwile. I złe. Tu przywlokłem się o kulach, żeby jeszcze raz popatrzeć na stary statek, już bez bandery, sprzedany Grekom, na którym popłynąłem w pamiętny rejs do Afryki Zachodniej. Statek był wtedy nowy, a ja zdrów. I tak chybki, że na pokładzie, skacząc po grubych pniach afrykańskiego drewna, załapałem małpę!...

Przy Wałach Chrobrego jest wielki gmach, a w nim także ZUS. W biurach ZUS, gdzie załatwia się interesantów, jeden siedzi na drugim. Chodziłem tam „załatwiać" swoją rentę. Najpierw nie mogli się zdecydować, czy już wystarczy papierów, które znosiłem, potem — ile mi się należy tej renty, zaczęli więc płacić zaliczkowo, potem zdecydowali się wreszcie — nawet na niezły grosz, wkrótce jednak przysłali papier, że wypłacili mi za wiele i teraz będą potrącać...

To wszystko trwało dość długo — najpierw chodziłem tam o dwóch kulach, potem o jednej, w końcu o lasce.

Wtedy chodziłem jeszcze o dwóch kulach i jeszcze mi nic nie płacili z ZUS-u, a już dawno nie płacili mi z zakładu pracy. Siedzę przy jednym biurku, „załatwiam", a tuż obok, przy drugim biurku „załatwia" jakiś stary facet. Skąd ja go znam? Został załatwiony prędko — odmownie. Z całego „załatwiania" spostrzegłem tylko zakończenie. Stary człowiek w milczeniu zgarnął papiery, schował do kieszeni wytartego paltota, wstał na całą swoją wysokość, a był wysoki, i spokojnie, ale jakimś szczególnym tonem powiedział z lekko wschodnim akcentem: Proszę pani, szpital polowy zaświadczeń nie wydawał. I wyszedł. Wtedy dopiero go poznałem. To był „rotmistrz". Nie widziałem go chyba ze trzydzieści lat. To jednak musiał być on. Utwierdziłem się w tym przekonaniu, kiedy — w kilkanaście minut później — zobaczyłem go z profilu. Wysoki, wciąż prosty, aż nienaturalnie prosty, wciąż przystojny, nawet dostojny starością, stał nieruchomo na skraju Wałów patrząc „w siną dal".

Znałem go tylko z widzenia. Wsiadaliśmy do tramwaju z tego samego przystanku na Pogodnie, zaraz po wojnie. Wtedy nosił jeszcze elegancki, przedwojenny mundur oficerski bez dystynkcji, polówkę bez orzełka, świetnie skrojone bryczesy i świecące „oficerki", z pewnością od przedwojennego szewca. Z tego, czy może z jakiejś posłyszanej w tramwaju rozmowy — już nie pamiętam — wnosiłem, że „pan rotmistrz" siedział w oflagu.

Teraz patrzyłem na jego starą, wynędzniałą postać z jakimś nieokreślonym uczuciem żalu — nie żalu. To przecież musiał być dziarski oficer, wspaniałego pułku kawalerii, może nawet kawalerskiego. Były takie. W całym pułku sami kawalerowie. Od dowódcy do szeregowca. Kto się żeni — won z pułku! Wyobraziłem sobie wspaniałego rotmistrza na równie wspaniałym koniu, sadzącego przed szwadronem z gołą szablą w dłoni. Widywałem takich na defiladach. A teraz? Się transit — panie rotmistrzu...

A gdybym tak podszedł do niego? Jednym z tych cholernych patyków, którymi się podpieram, zasalutował, jak szablą i zameldował: Panie Rotmistrzu, podchorąży starszy ułan Baryka... W środku, w sobie usłyszałem szatański śmiech. Rotmistrz odwrócił się, wolno przeszedł obok mnie wciąż patrząc „w siną dal". Śmiech minął mi zupełnie. Powlokłem się za nim o kulach jak urzeczony. Mówiłem do niego bezgłośnie, zapewne poruszając wargami. Wybaczy Pan, Panie Rotmistrzu, nie śmiem proponować wsparcia. Może nie dostałbym w mordę, jak przed wojną. Ale przecież nie chcę Pana obrazić. Ośmielam się tylko zaprosić do mnie. Ja też jestem sam. I wie Pan, też kawałek wojny przeżyłem na koniu...

Szedł niespiesznie, ale zniknął mi na ludnej ulicy. O kulach nie mogłem dotrzymać mu kroku, tym bardziej, że było ślisko, zacinał jesienny deszcz. Pokuśtykałem do domu, a raczej do mieszkania. Domu, to ja proszę Pana, już dawno nie miałem...

Wchodzę na klatkę schodową — ciemno. No tak, znowu przełącznik wyrwany. Panie Rotmistrzu, ten dom ma dopiero osiemnaście lat. A wygląda jakby miał już sto osiemdziesiąt. Bez remontu. A na jego remont poszły już miliony. O cholera! Byłbym się wywalił... Pewnie znowu narzygane... Po omacku wczołgałem się po schodach,

wymacałem dziurkę od klucza, wszedłem do pustego mieszkania. Z rotmistrzem, którego zgubiłem na ulicy. Cały czas mówiłem do niego, opowiadałem. Tak jak teraz opowiadam Panu. Zimno — jak w psiarni. Nie grzeją. Mój grzejnik dałem gosposi. Ona też ma, ale — jak powiada — przy jednym grzejniku nie nadąży suszyć pieluch wnuczkowi. Ale nic, Panie rotmistrzu, jeszcze mamy czym się rozgrzać. Nasze kawalerskie! Niezła, co? Jej zimno nie szkodzi. Wprost przeciwnie. „Starka" — ale rozgrzać potrafi. Szczecińska. Poniekąd tradycje i współczesność. No to na drugą nóżkę! A co do tradycji, to ja osobiście kawaleryjskich — niewiele. Byłem tylko w zwiadzie konnym, w lesie. No jasne, to już nie to wojsko. Ale porządnej kawalerii też się napatrzyłem. A co się nasłuchałem! Panie Rotmistrzu, Boh trojcu lubit!... Chociaż w tym zwiadzie, jaki on tam był, to jednak paru prawdziwych kawalerzystów też się znalazło. No, sam dowódca. Porucznik „Pikador". Z pierwszego pułku szwoleżerów. Bez białych rękawiczek, irchowych ma się rozumieć, na konia nie siadał. Nawet z kwatery nie wychodził. Jak w tym przedwojennym podręczniku „savoir vivre'u", z którego uczyłem się dobrych manier: „wyjść z salonu bez rękawiczek, to po prostu absurd". Panie Rotmistrzu, koń ma cztery nogi!... To jest toast naszego wachmistrza. A co do porucznika „Pikadora", to niech Pan nie sądzi, że on był tylko laluś, na defiladę. W swoim fachu był dobry. Dlatego do dziś cenię sobie kamplement, który mi kiedyś powiedział, po mustrze konnej. Wyciąga srebrną papierośnicę, częstuje nas i powiada: No, no, podchorąży „Baryka", dosiad ma pan kapitalny. Jak po szkole w Grudziądzu. Ale skąd? Przecież pan za młody. Tradycja panie poruczniku — mówię. Wszyscy moi przodkowie — kawalerzyści. A jeden służy też w pierwszym pułku szwoleżerów, jak pan porucznik, tylko trochę wcześniej. Kiedy? Za Napoleona!... Tak, Panie Rotmistrzu, mało miałem w życiu rzeczy tak kapitalnych, jak ten dosiad. No to pod ten dosiad!... Konie to różne bywały w tym zwiadzie. Dworskie, chłopskie. Ale raz dorwałem świetnego „fuxa", z „trakenów" wie Pan, „wschodnio-pruska krew", z paleniem łosiowych rogów na zadzie. Zdobyczny. Nasza piechota wzięła kilkunastu jeńców ze szwadronu kawalerii ss. Puścili sukisynów. Bo co było z nimi robić? Obóz jeńców założyć w lesie? Nawet butów im zdjąć nie pozwolili. Tylko ostrogi. Najlepszego konia wziął oczywiście porucznik „Pikador". Ale mój nie był gorszy. Ostrzelany, naskakany. Rów — nie rów, płot — nie płot, gnał jak wicher! Panie Rotmistrzu, to był koń! No to pod tego „fuxa" — nasze ułańskie!... I tego konia chciał mi zabrać wachmistrz. Straszny skurwisyn! Ale na koniu jeździć umiał! I na koniach się znał. To trzeba mu przyznać. Koniecznie chciał tego mojego konia. Nie dałem — i już. Nie dałem, jak Boga kocham, nie dałem! A to skurwisyn! Zupak! Panie Rotmistrzu, na pochybel skurwisynom! Do dna!... No cóż, były czasy. A teraz, proszę Pana, mnie też nie lekko. Trzy lata w gipsie i wciąż — będą amputować, czy nie będą! Dać sobie uciąć nogę, czy dać się pochować w całości?... Ale dobrze Pan powiedział tej urzędniczce w ZUS-ie. Tylko, czy ona zrozumiała? Tę ironię. Obawiam się, że nie. Co taka srajda może wiedzieć o wojnie? O armii w ustawicznym odwrocie, druzgotanej z powietrza? Wiem coś o tym. Wtedy też walczyłem. Poniekąd. Jako ochotnik, w 19 p.p. leg. Słusznie, lepiej, że ta srajda nie wie, co to wojna. I żeby nigdy nie wiedziała. Dostał Pan chyba w krzyże, Panie Rotmistrzu? Odłamek? Kula! To dlatego Pan taki prosty — nad podziw... Tak, trochę większa renta by się z pewnością przydała. Ja też mam różne kłopoty... Słusznie, Panie Rotmistrzu, stara gwardia nie poddaje się! Zwłaszcza konna. Pięta w dół! Pierś naprzód! Głowa do góry! Szwadron śpiewa! Hej, dziewuchy, w górę kiecki, jadzie ułan jazowiecki...! No to pod te... Tak, Panie Rotmistrzu, skurwysynów nie sieją, ale... Pan wie, jak jest wszystko dobrze — to dobrze. I przyjaciół Pan ma... Ale nie będziemy się skarżyć! Więc pijmy zdrowie, podchorążowie, niech smutek pryśnie w rozbitym szkle! Że nam jest smutno, nikt się nie dowie, nikt się nie dowie...

I film mi się urwał. Oprzytomniałem — w rozbitym szkle.

W każdym naszym filmie o tamtych czasach najbardziej „wzruszający" jest zawsze rzewliwy partyzant grający na organkach smutną melodię zwykle nad mogiłą poległego kolegi. To już obowiązująca sztampa. Może tak gdzieś i było, choć ja niczego podobnego nie pamiętam. Natomiast pamiętam co innego. Jak tylko w jakiejś stajni, albo na kwaterze zaczęliśmy śpiewać coś rzewnego, zaraz zjawiał się wachmistrz. Chłopoki, kuńczta te kantyczki — zgrywał się na cepa — Ło dupie, ło dupie! I sam zaczynał swoją piosenkę pułkową: „Hej dziewuchy, w górę kiecki...". Do dziś mam do niego pretensje — nie tylko o tego konia, którego mi drań zabrał. To był niewątpliwie cham i zupak. Jednakże jemu właśnie zawdzięczam nie byle jaką mądrość życiową: Nie wolno dopuszczać do rozmazania, rozklejania...

Z tym zupakiem miałem na pieńku od pierwszych dni w zwiadzie. Najpierw o broń. Dał mi takiego gównianego „stena", co kiedyś sam mi zaczął strzelać na plecach, gdy dosiadałem konia. I do mnie z pyskiem, że kija takiemu a nie pistolet. Potem poszło o pseudonim. Od początku konspiracji wybrałem sobie piękne pseudo — „Baryka". Nie przypadkowo. A ten cep, wachmistrz, kiedyś do mnie: Ej, panie te... panie „Rebeka". A wszyscy w śmiech. I zostałem już „Rebeką". Nie mogłem mu tego darować. Kiedyś powiedziałem dostatecznie głośno, żeby usłyszał — że gdzie takiemu zupakowi do literatury? A „Rebekę" to może sam śpiewał przed wojną po podwórkach. I tym bardziej szefowi podpadłem. Zabrał mi dobre siodło — potrzebne było dla jakiegoś oficera ze sztabu — akurat moje. A na tym drugim siodle — złamanej kulbace — rozjechałem sobie dupę już następnej nocy. A robiliśmy noc w noc po czterdzieści, czasem po sześćdziesiąt kilometrów. Wreszcie przez tego moczymordę omal nie zginąłem śmiercią bohaterską...

Od tamtych czasów nigdy wachmistrza nie widziałem, ani o nim nie słyszałem, ale założę się, że drań wciąż żyje i pije. „Nad pijakiem Pan Bóg czuwa".

Wiele, wiele lat później spotkałem jednego z byłych kolegów z tego zwiadu konnego. W szczecińskim kinie. Nie na widowni — na ekranie. Nie miałem najmniejszej wątpliwości. Podchorąży „As". Taki as to on znowu nie był. Ale hrabia. Cieszył się szczególnymi względami pana porucznika, nie mówiąc już o wachmistrzu. Podobnie jak kilku innych „panów podchorążych" z „dworskiej podchorążówki". Mieli piękne konie z własnych stajen, własne rzędy i własnych „pocztowych", czyli parobków, którzy im konie obrządzali. Za wyjątkiem „Asa". Ten, choć hrabia, nie miał nic własnego. Jego majętności, a właściwie jego ojczulka, były w tak pożałowania godnym stanie, że Niemcy od razu „przyjęli je na Liegenschaft", jak to się wtedy mówiło — czyli nasadzili na nie swoją administrację. „Alle Roeder muessen rollen fuer den Sieg" — głosił hitlerowski slogan. Ale płody rolne z okupowanej Polski też były ważne dla niemieckiego zwycięstwa. I hrabia „As" korzystał z łaski swoich uboższych, a jednak bogatszych sąsiadów. Może dlatego nie sadził się tak, jak tamci, a może przez poczucie swej arystokratycznej wartości? W każdym razie był najmniej niesympatyczny z tej „pańskiej paczki".

Postać nie do zapomnienia: „arystokratyczna twarz" z orlim nosem, wysoki, bardzo wysoki i chudy jak badyl. Nawet na dużym koniu wyglądał, jak na kocie. Kiedyś przy czyszczeniu broni na kwaterze w chłopskiej chałupie — a tak się jakoś złożyło, że zostaliśmy sami w tym przysiółku wśród lasów — zaszczycił mnie konwersacją. Całej nie pamiętam, zapamiętałem tylko taki fragment:

A dlaczego pan właściwie wstąpił do partyzantki? — zapytał uprzejmie. Zadziwiło mnie to pytanie, zwałszcza to „wstąpił". Nawet mnie rozzłościło. Tak sobie, z nudów — odparłem. Spojrzał na mnie z zainteresowaniem — po raz pierwszy, choć jeździliśmy razem już kawał czasu. A wie pan, że ja też — powiedział — z nudów...

Podchorążego „Asa" wzywali czasem do sztabu, jak trzeba było tłumaczyć, bo znał dobrze angielski. Wychowywał się w „public school" w Harrow. Nic bardziej mylącego — wyjaśniał kiedyś w swoim gronie — jak sądzić, że to „szkoła publiczna". „Public house" to też nie „dom publiczny" — un bordel — ale popularna angielska knajpa. A wracając do „szkoły publicznej" — to są tylko dwie takie w Anglii — w Harrow i w Eaton. Sławne na cały świat. Więc dziwił się nieco, że jeden z „panów podchorążych" nie wiedział. Nieświadomy panicz był ugaszony — absolument!

Pewnego dnia przed wieczorem do naszego przysiółka przyskoczył sam adiutant dowódcy: Natychmiast dawać podchorążego „Asa"! Nie ma, pojechał z porucznikiem „Pikadorem" na koziołka. Psiakrew! Polować im się zachciało. Pilnie potrzebny tłumacz.. Przyprowadzili jakiego Anglika... Natychmiast szukać „Asa"! Wachmistrz już się rozglądał, kogo by tu pchnąć? Spojrzał na mnie... To może ja pojadę — powiedziałem do adiutanta. A wachmistrz do mnie: Dobra, wie pan gdzie pojechali?

Nie — wyjaśniłem — mogę pojechać tłumaczyć. Wachmistrz myślał, że robię z niego balona, przy adiutancie! Już się nadął. Potrafi pan? — zapytał adiutant. No to jazda! A wachmistrzowi szczęka opadła.

Na kwaterze dowódcy siedział młody gość w mundurze angielskiego lotnika. Dowódca i jeszcze jakiś oficer próbowali porozumieć się z nim po francusku, to po niemiecku. Natychmiast wybawiłem ich z kłopotu. Był to strącony lotnik, ale już nie pamiętam (było kilka podobnych historii) czy uciekinier z obozu jenieckiego, czy prosto z nieba. W każdym razie spadł i coś sobie potłukł czy złamał — też nie pamiętam. W każdym razie wezwali naszego lekarza. Właśnie badał go przy pomocy mojego tłumaczenia, kiedy wszedł „As". Nie został przez oficerów zauważony. Po badaniu, w trakcie opatrunku, tłumaczyłem dalej pytania dowódcy i odpowiedzi angielskiego oficera. Wreszcie dowódca spostrzegł „Asa". No co, dobrze tłumaczy? — zapytał. Doskonale — pochwalił „As". Skąd pan zna tak świetnie angielski? Z Eaton, proszę pana — odpowiedziałem. „Asowi" szczęka nie opadła — „gentelman się nie dziwi".

Ale, ale... Zupełnie zapomniałem o tym spotkaniu w kinie. Otóż zobaczyłem „Asa" w „kronice filmowej" — w charakterze oskarżonego. O próbę nielegalnego wywozu za granicę skarbów narodowej kultury, pochodzących z siedziby rodowej polskich magnatów o bardzo, bardzo historycznym nazwisku. Z siedziby, która niegdyś była własnością jego ojca. Było wielkie zbliżenie podczas odczytywania wyroku. „As" nie okazał żadnego wzruszenia. Choć dostał piętnaście lat. Ale z pewnością tyle nie siedział — wkrótce była amnestia.

Wiele, wiele lat później, podczas długiego rejsu do Japonii zaprzyjaźniłem się z kucharzem. O, proszę Pana, kucharz to bardzo ważna figura na statku. Dlatego mówi się do niego „szefie". Każdy doświadczony kapitan wie jak wiele zależy od szefa kuchni — kiepski kucharz, choćby miał najlepszy prowiant, w długim rejsie może „wykończyć" najlepszą nawet załogę. Nasza załoga była świeżo skompletowana, bo statek był nowy. Tym większy wpływ na jej nastroje, na jej „zgranie" miało dobre żarcie, a więc szef. Marynarze zaraz się na nim poznali i pochwał mu nie szczędzili. Aż do strefy tropikalnej. Tu właśnie wynikły przejściowe trudności...

Złożyłem mu kiedyś najbardziej szczere gratulacje. A ta galaretka — dodałem — na deser, jak na „Batorym"! Szef odpłacił mi komplementem: Oficerowie na statkach, niby to światowcy, a rzadko który doceni sztukę kulinarną. A pan (niby ja) to ma wyrobione podniebienie! Te dusery prawiliśmy sobie w ogromnej wannie z drewna, wyłożonej brezentem, przez którą przepływała cieplutka, słono-gorzka woda Oceanu Indyjskiego. Byliśmy w niej tylko dwaj, bo wieczorową porą rzadko kto przychodził się kąpać w pokładowym basenie. Popluskaliśmy się, a potem usiedliśmy na ładowni. Wieczór był piękny — ocean lekko sfalowany, muskające świeżością podmuchy wiatru, wygwieżdżone niebo...

Wie pan o czym myślę — przerwał milczenie szef — tędy płynął kiedyś mój ojciec. Na wojnę japońską, z Kronsztadu do Port Artur. Opowiadał jak to płynęli i płynęli — przez 40 dni i nocy. I nic tylko woda i woda. Nie mogłem sobie tego wyobrazić. Woda i woda przez 40 dni i nocy! Ale my ile będziemy płynąć? Też coś koło tego — odpowiedziałem. Tak długo — zdziwił się szef — przy tym postępie techniki? Pański ojciec płynął chyba okrętem albo transportowcem wojennym. Takie już wtedy robiły z pewnością ponad 20 węzłów, znacznie więcej niż my. To i ja będę płynął, jak ojciec, 40 dni i nocy...

Szef nigdy nie płynął jeszcze tak długo jednym ciągiem, choć we flocie pracował już kilkanaście lat. A na morze puścił się dopiero po czterdziestce. Późno! Tak go jakoś podkusiło. Był szefem kuchni dużej restauracji w Szczecinie, przodownikiem pracy, ale już mu nadojadły te reorganizacje i za przeproszeniem ciągły bajzel. W Żegludze przyjęli go z otwartymi rękami. Nie, nie zaczął pływać za późno. „Życie zaczyna się po czterdziestce" — to najlepszy wiek, żeby zacząć pływanie. Można już być spokojnym o żonę, he, he, he... A czuje się nadal świetnie — zdrów jak ryba w morzu! Ale chodźmy do mnie — zaproponował — co tu będziemy po ciemku... Nie, w mojej kabinie chłodniutko — na lewej burcie, niemal od północy...

Wciągnęliśmy portki i koszule. Szef jeszcze wstąpił do kuchni. Trzeba sprawdzić czy wszystko w porządku — powiedział. Wstąpiłem i ja. Dobrze pan trzyma tego swojego pomocnika — pochwaliłem rozglądając się po czyściutkiej, ogromnej kuchni — Rondle świecą się jak psu jajca! Na taki wyraz podziwu szef aż klasnął w dłonie z zadowolenia i powiedział: Trzeba wychowywać te młode kadry! A jak pan życzy jeszcze tej galaretki, co tak smakowała, to jest tu — pokazał nieźle zamaskowaną lodówkę, znacznie mniejszą od tej „oficjalnej". Wyjął z niej lód — do termosu. No, chodźmy!

W swojej kabinie szef od razu zagaił rzeczowo: cocktail na wermucie, dżin z tonikiem czy whisky?

Na taki upał to chyba to pierwsze. Szef zręcznie zmieszał, podał w eleganckim szkle. Takiej mikstury jak żyję nie piłem! O, proszę pana, ja nie jestem dzisiejszy! W „Adrii" się przed wojną pracowało. W Warszawie! Słyszał pan pewnie o „Adrii" — bo być pan nie mógł, pan za młody. To był, panie lokal, nie to co dziś!

Od tego — do tego i doszliśmy, że jesteśmy krajanami. A do tej „Adrii" to wie pan kto mnie zaprotegował? Bo niech pan nie myśli, że tam pierwszego lepszego przyjęli. Tam dopiero trzeba było mieć garba! Nie zgadnie pan — kto? Ale tylko tak — między nami krajanami: sam hrabia X! Tu padło historyczne, bardzo historyczne nazwisko. O — o! Wykrzyknąłem z podziwu, choć gentelmanowi nie wypada się dziwić. Bo to było nazwisko „Asa"! Rzecz zapowiadała się niezmiernie ciekawie. Nic nie wspominając o tamtej starej znajomości, pociągnąłem szefa za język. Zresztą sam opowiadał chętnie widząc przed sobą chciwego słuchacza.

Hrabia go protegował, bo on był najpierw kuchcikiem w hrabiowskim pałacu. I dobrze się spisywał. Więc hrabia wysłał go na naukę do Warszawy — z myślą żeby do pałacu wrócił. A był kuchcikiem dlatego, że raz wpadł w oko hrabiemu. Dlaczego? Bo to wiadomo, co takiemu arystokracie do głowy przyjdzie? A, więc o to chodzi! No bo on był synem ogrodnika u hrabiego. Było ich dziewięcioro dzieci, a on był pierworodny... No to zdrowie...

Niech pan nie myśli, że ja jestem za tymi obszarnikami czy hrabiami, przeciw socjalizmowi i tak dalej.. Nie proszę pana. Ale ten hrabia X — to był wielki pan, ale ludzki był człowiek. Jak widział, że ktoś zdolny, może się przydać — to popierał. Jak mnie do tej „Adrii" oddał, to i pokoik mi wynajął. A jak po roku czy później przyjechał, to się mojego szefa pytał — jak się spisuje? A szef: dobrze się chłopak spisuje! To hrabia szefowi — sto zołtych i mnie — sto złotych! Pan wie, co to było przed wojną sto złotych?!

Cocktail nam się skończył, więc przeszliśmy na dżin z tonikiem. A szef opowiadał bardzo ciekawie. Coś mi jednak nie dawało spokoju. Szef mi kogoś przypominał. Zawsze mnie cholernie męczy jak sobie nie mogą przypomnieć — skąd ja faceta znam? Szef był mężczyzną na schwał — nie wyglądał na swoich pięćdziesiąt i parę lat. Wysoki, może ciut za otyły — ale to związane z zawodem — twarz... Właśnie — ta jego twarz nie dawała mi spokoju... A szef opowiadał, że był kawalerzystą. W służbie czynnej w 19 pułku ułanów nad Horyniem. A w 39 roku, jak go zmobilizowali, to w 2 pułku strzelców konnych — już zmotoryzowanym. Ale rzędy w taborze były, a ostrogi każdy miał w plecaku. Z takim wojskiem to już coś było można. Ale ile takich pułków było! Jednakże nieźle szkopów naszatkowali. Tylko 13 dni wojował. Został ciężko ranny. Rozbita sanitarka. Potem zbombardowany szpital w Chełmie, potem ewakuacja, potem — już nie pamięta — gdzieś koło Włodawy leżeli, umierali i umawiali się, że kto przeżyje, ten da znać rodzinom — jak umarli...

Ale co tam wspominać takie rzeczy. Napijmy się! Lepiej coś weselszego. Ten stary hrabia — bo był i młody hrabia i objął to wszystko jak stary umarł. I dlatego szef do pałacu już nie wrócił. Ale ten stary hrabia, jak był młody, to trzymał, panie, piękne konie i stajnię wyścigową w Warszawie i gdzieś za granicą też. A jeździec był! Miał całą taką swoją drużynę — „strzelców" — jak nazywali. To, panie, jak starzy opowiadali — jak diabły! A stary hrabia, jak był młody, nawet już żonaty z hrabiną, to panie żadnej ładnej dziewusze nie przepuścił. Ale, panie ludzki był pan! Jak dziewuchę zepsuł i ta się spodziewała — to za mąż ją dobrze wydawał, wiano odpowiednie. To, panie, nawet niejeden sobie chwalił... he, he.

I tu doznałem olśnienia: mam! Przecież przede mną siedzi przyrodni stryjaszek „Asa". Potomek wielkiego rodu, z lewego łoża! Zacząłem się strasznie śmiać. Szef myślał, że to z jego dowcipu. Też się śmiał serdecznie klepiąc się po udach, tak samo jak ja. A to dobre! Śmialiśmy się jak szaleni...

GALAPAGOS

ANTONI JERZY PISZ

Niedziela, 16.03.75

Co tu dużo ukrywać, wygryzyły nas komary. Stalibyśmy dłużej, bo trudno wyobrazić sobie piękniejszy zakątek, ale jak długo można sypiać po 2—3 godziny dziennie? Komary znikają ze świtem, a gdy słoneczko wysoko, szkoda czasu na spanie. W efekcie łazimy wpółprzytomni z niewyspania, wszystko nam z rąk leci. Dość tego, dziś płyniemy „Marią" na następną i chyba ostatnią wyspę o dźwięcznej nazwie Rabida. Ostatnią, bo pożegnać Galapagos czas najwyższy.

W odległości 1 mili od Rabidy robi się ciemno, nowet bardzo. Wysokość mamy przyzwoitą, ale i pasat osłabł. Spokojna, cicha noc, morze jak czarny tusz, w którym błyskają fosforyzujące zielonkawe perełki kilwateru. Wolniutko pykamy na silniku, ciemny masyw południowego brzegu maleńskiej Rabidy przesuwa się w prawo. Niechętnie myślimy o całonocnym dryfowaniu, chcemy się uczciwie wyspać po zakomarzonych nocach przy Istmo Perry na Izabeli. Pewne doświadczenie w nocnych kotwiczeniach już mamy, a zatem warto spróbować jeszcze raz. Co chwila ktoś schodzi do mesy i zerka na najdokładniejszą mapę Galapagos. W skali 1:750 000 Rabida ma wielkość pomarszczonego ziarnka grochu, którego kształt i opis w locji znamy na pamięć. Mijamy właśnie małą zatokę, za cyplem zmienimy kurs na północny i powinniśmy być na wysokości kotwicowiska. Przy cyplu dochodzi nas odgłos przyboju i ryki lwów morskich, zbudzonych terkotem silnika. Zmieniamy się wszyscy w jedno wielkie oko i ucho. Bardzo nie w porę zajwiło się kilka delfinów, które wesoło pluskają raz z boku, raz z przodu. Miłe skądinąd zwierzaki przyprawiały mnie o bicie serca, bo każdy plusk mógł być falą łamiącą się na podwodnej skale. Cypelek wszedł właśnie na trawers i w miejscu, gdzie powinna być zatoczka, zresztą jedyna nadająca się do kotwiczenia, widzę... światło. Zaskoczenie kompletne. To przecież bezludna wyspa i jak wynika z mapy, bez świateł nawigacyjnych. Światło jest stałe, widać już i drugie, może trochę słabsze. Sprawa staje się jasna; tam już ktoś stoi.

Światła są już na tyle wyraźne, że rozróżniamy w ich blasku dwa kadłuby. Tu gdzie stają, to jedyne miejsce na wyspie z piaszczystym dnem, gdzie indziej dna po prostu nie ma. Nawet tu opada bardzo stromo i dopiero przy brzegu można rzucić żelazko. Jeszcze w odległości 30 metrów od bliższego z jachtów Ludek nie może sondą załapć dna. Jesteśmy w linii jachtów, jest dno: 12 metrów, od brzegu 40 metrów. Zaledwie 4 długości „Marii"! Widzimy to wyraźnie, gdyż z bliższego jachtu świecą nam reflektorem, a przy okazji ostrzegają o drugiej kotwicy, którą wyrzucili z rufy. Ster na burtę, cała wstecz, „Mańka" skręciła prawie w miejscu, kotwica poszła w dół. Drugą, rufową, wywiozłem na bączku i zanim wróciłem, mieliśmy już gości na pokładzie: młodego szypra z sąsiedniej łódki i jeszcze młodszego, chyba 17-latka, Amerykanina z San Francisco, który przyjechał przed kilku miesiącami jako turysta, a teraz najął się u szypra i wożą razem turystów za ciężką forsę. Biorą na to duże koryto 16 pasażerów, każdy buli po sto dolarów plus 15 dziennie za wyżywienie. Mają stały rozkład jazdy. Co dwa tygodnie meldują się na Baltrze, wyspie, na której Amerykanie zbudowali lotnisko w czasie wojny. Stąd startowały samoloty patrolujące okolice Kanału Panamskiego, czy aby Japończycy tam się nie zapędzili. Po wojnie Ekwador oparł się nęcącym propozycjom sprzedania, czy choćby wydzierżawienia wyspy Stanom Zjednoczonym i w 1946 r. Amerykanie wrócili do domu, a Baltra do Ekwadoru. Dziś lądują tu dwa razy tygodniowo samoloty z Guayaquilu, głównie z turystami.

Goście ciągną opowieści o turystach oraz słodkie pomarańczowe wino, które Ludek nieopatrznie postawił na stole. „Niezłe to winko od Wittmera" — Juan bezbłędnie rozszyfrowuje pochodzenie trunku — „Kiedy byliście na Floreanie?" Zgrabnie zmieniamy temat, w naszej sytuacji lepiej nie mówić za dużo, gdzie byliśmy i jak długo. Goście spieszą do swoich turystów, których skoro świt powiozą dalej. Turyści zapłacili, program wycieczki musi być wykonany, a i tak już są spóźnieni o jeden dzień.

Poniedziałek, 17.03.75

Jakże piękna jesteś Rabido w porannym słońcu! Plaża z brunatnym piaskiem prawie przy burcie; kilka fok i lwów morskich jeszcze drzemie, po innych pozostały odciśnięte dołki w piasku. W górze szybują fregaty i głuptaki i tylko ich krzyki zakłócają ciszę. Nad stożkiem wulkanu krąży myszołów, którego sylwetkę widzę pierwszy raz od czasów wędrówek po Puszczy Wkrzańskiej. Pierwsze młode myszołowy obrączkowałem z Jurkiem Kosycarzem w pobliżu Świdwia. Kiedy to było?

Za plażą, wąską jak wszystkie na Galapagos, znane nam mangrowce, a dalej 200-metrowe wzgórze, opadające od południa kamiennym urwiskiem aż do pokrytego otoczkami brzegu — przedłużenia plaży. Każda z poznanych wysp jest taka inna, choć na każdej są te same opuncje, mangrowce, wulkany, lawa, urwiska i głazy przybrzeżne. Za każdym załomem, za urwistym cyplem, odsłaniają się zawsze nowe, zapierające dech widoki, nieoczekiwane konfiguracje, wystrzelające z wody skalne igłice lub zaciszne zatoczki. I zawsze mi mało tych widoków, chcę nowych, nasycić się nimi prędko, nerwowo i już biec dalej, bo wiem, że mój czas jest ograniczony. Czuję to zwłaszcza tutaj, wobec tych wieczystych, omszałych skał, szaro-zielonych martwych wulkanów, które zdają się trwać bez początku i końca.

Sąsiadów już nie ma, odeszli wczesnym rankiem.

Najpierw obowiązek, a teraz przyjemność — starsi panowie dwaj jadą na brzeg, Kazik pilnuje łódki. Czerwono-brunatny piach parzy stopy, gdy wciągamy bąka w mangrowce. W miejscu, gdzie przed chwilą wylądowaliśmy, plaża łączy się pod kątem prostym z półwyspem w kształcie nasypu kolejowego. W samym narożu ocean wydrążył w „nasypie" dwie groty. Nisko pochylony wchodzę w głąb jednej z nich. Ciemny piasek i pofałdowane ściany pochłaniają światło i już po paru krokach prawie niczego nie widzę. Grota obniża się i dalej można iść tylko na czworakach. Po chwili oswajam się z półmrokiem i widzę, że dalsza wędrówka jest bezcelowa, bowiem w odległości 2—3 metrów strop schodzi do poziomu piaszczystego podłoża. W tej chwili zdecydowałem się na odwrót, przy czym, przyznaję, zrobiłem to z dużym przyspieszeniem. Coś tam w głębi przeraźliwie ryknęło. Oprzytomniałem dopiero w oślepiającym słońcu plaży. Za mną niezdarnie wyczłapało focze maleństwo, którego trwożne szczeknięcie, zwielokrotnione przez ściany groty, urosło w moich uszach do ryku wściekłego lwa. Jak zauważyliśmy później, obie groty były ulubionym miejscem, w którym foki chroniły się przed słonecznym skwarem południa.

Za pasmem przybrzeżnych mangrowców odkryliśmy płytką lagunę, nie połączoną z oceanem najmniejszym nawet kanalikiem. Zupa w niej zamiast wody, o woni lepiej nie mówić. Co tam woń, za to jaki widok. Stoimy z Ludkiem jak zamurowani i gapimy się na przeciwległy brzeg: 20 a może i więcej flamingów brodzi w poszukiwaniu pokarmu. Od czasu do czasu całe stadko przebiega kilkanaście metrów, uspokaja się i znów żeruje. Ich ruchy, pełne gracji, delikatne i harmonijne przypominają eteryczny balet. Widywałem już wielokrotnie ptaki o podobnej sylwetce: czaple, żurawie, często w malowniczej scenarii ale nigdy nie dostrzegałem w ich ruchach tej cudownej lekkości.

Stadko ponownie rusza truchcikiem, teraz jednak białoróżowa chmura wzbija się w powietrze, tworzy klucz i znika nad oceanem. Jesteśmy zaskoczeni płochliwością flamingów — przecież nawet nie draneliśmy. Wszystkie zwierzęta spotykane na Galapagos okazywały tylko umiarkowaną obawę przed człowiekiem. Niektóre były wprost wścibskie, choćby foki z Islas Plaza. Natomiast uzasadniona jest płochliwość czerwonych raczków, znikających błyskawicznie w otworach, którymi usłana jest cała plaża. Na raczki polują ptaki o długich, czerwonych dziobach — ostrygojady, które tkwią nieruchomo w pobliżu otworu i czekają aż raczek (który reaguje tylko na ruch), odejdzie dostatecznie daleko od kryjówki. Próbowałem dopaść otworu w piasku przed raczkiem, niestety nie miałem szans. Raczki są piekielnie szybkie.

Plaża się kończy, zaczynają się otoczaki z lawy, wielkie jak bochny chleba. Potykamy się na nich przyspieszając kroku, bo zbliża się wysoka woda, a wąski skrawek brzegu kurczy się szybko. Z lewej strona ściana, w której aneżdzi się tylko kilka par głuptaków niebieskostopych. Wejść na nią niepodobna bez sprzętu do wspinaczki. Ściana nagle urywa się wielką szczerbą — wąwozem, który powstał chyba niedawno. Jest jeszcze niezagospodarowany przez ptaki i pozbawiony roślinności. Mimo woli jeszcze bardziej przyspieszamy marsz. Zbocze z luźno związanego materiału może osunąć się w każdym miejscu i w każdej chwili.

GALAPAGOS IS.

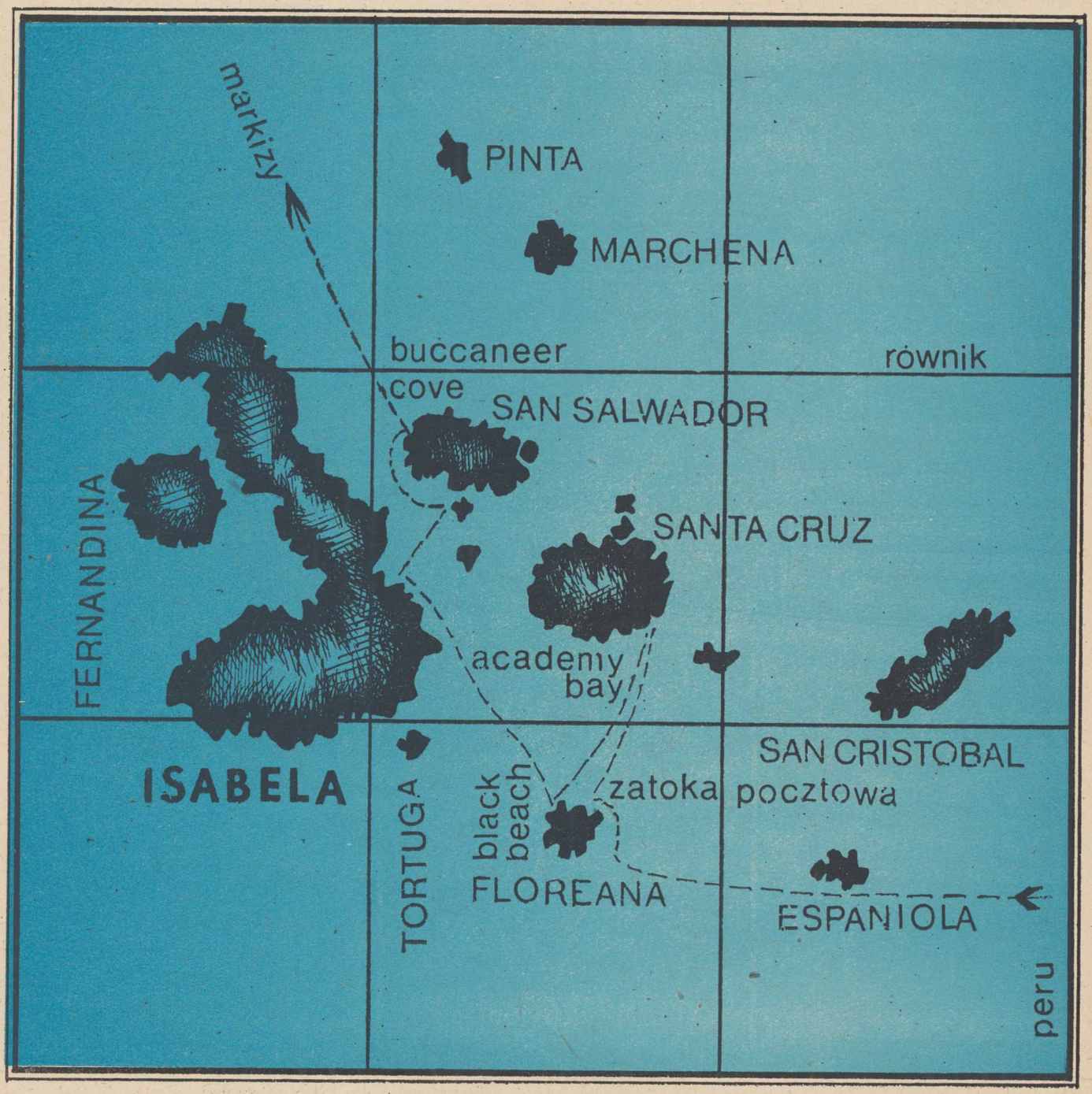

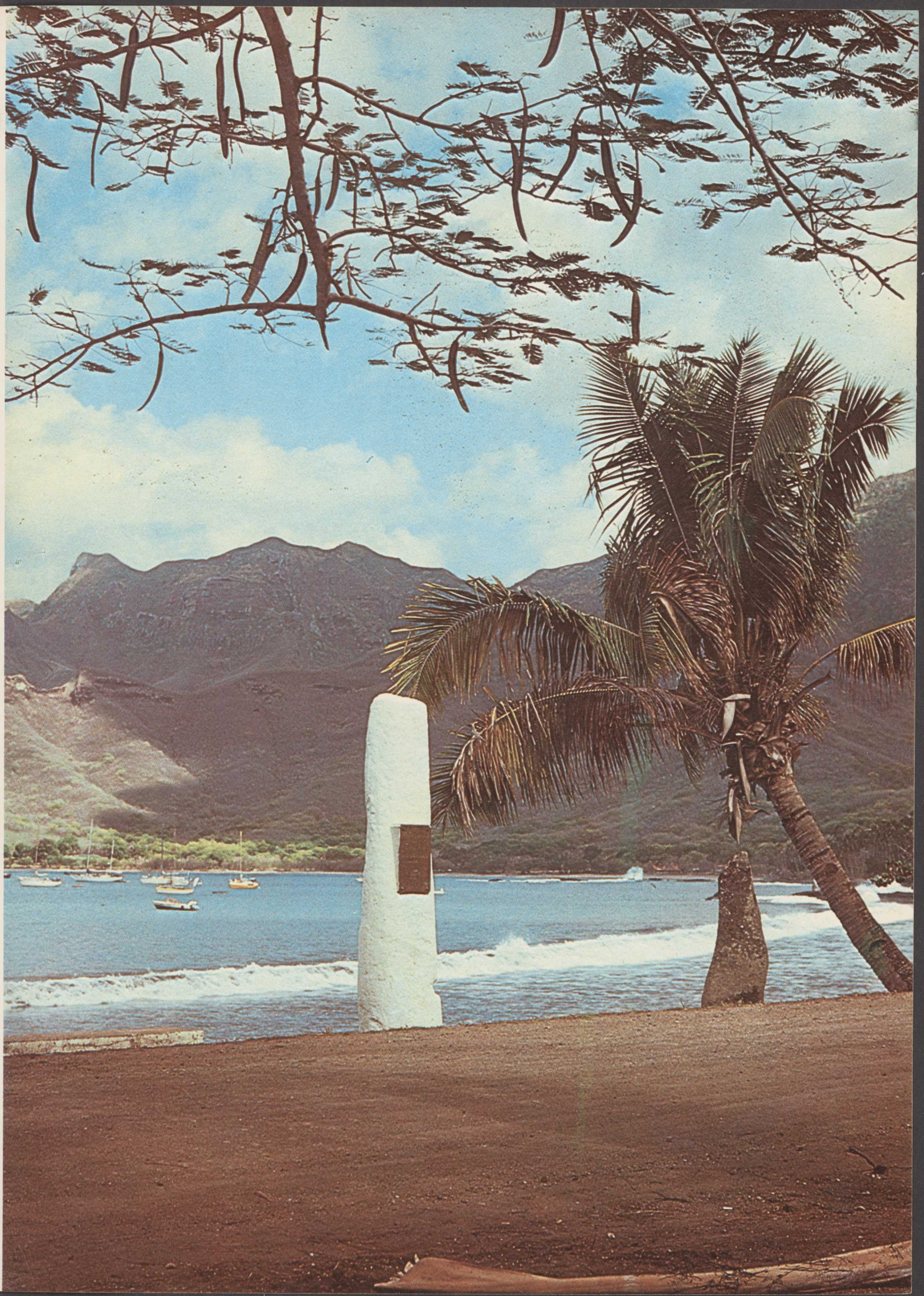

Kilkaset metrów za usypiskiem brzeg poszerza się teraz o metrowe głazy, obwieszone morskimi legwanami. Głazy tarasują brzeg coraz częściej i tworzą labirynt, w którym kluczymy nie widząc się wzajemnie. Teraz już nie głazy, lecz olbrzymie bloki zabarykadowały brzeg. Wspinamy się na kilkunastometrową piramidę, na szczycie której rosną kolczaste opuncje. Ze szczytu kapitalny widok na ocean i prawie okrągłe wycięcie w linii brzegowej. Tą mini-zatoczkę strzegą dwa bastiony, a z drugiej strony kilka głazów, z których największy to 10 metrowa skała o pionowych ścianach i płaskim, niedostępnym wierzchołku. Na kilku niewiarygodnie wąskich półkach gnieżdżą się głuptaki. Półki są tak wąskie, że ptaki siedząc przodem do ściany, dotykają piersią skały. A przecież na wierzchołku, płaskim jak stół, nie ma ani jednego gniazda.

Na kamienistej plaży i kilku większych głazach wystających z zatoczki drzemią foki. Starsi, jak to starsi, drzemią spokojnie, natomiast młodzież dokazuje: gonitwy między głazami, nurkowanie, spychanie do wody. Czasem wpłynie do zatoczki cała focza rodzina. Niestety wszystkie grajdołki są już zajęte i dobrze strzeżone. Najatrakcyjniejsze są „rodzinne" głazy omywane falą. Tam właśnie kierują się nowo przybyli i z zaskoczenia usiłują zepchnąć śpiących. Czasem się to udaje i śpiochy przytomnieją dopiero w wodzie. Rzecz dzieje się u naszy stóp, zabawa jest przednia.

Wracamy górą klifu, bo przypływ zalał już plażę. Wspinaczka zalesionym zboczem wulkanu nie byłaby nawet męcząca, gdyby nie upał. Rzadki lasek palosanto nie daje cienia, natomiast skutecznie zatrzymuje podmuchy pasatu. Przy okazji płoszymy małe gołębie, które zrywają się dopiero spod nóg. Są beżowo-różowe, w brunatne i białe cętki, zupełnie niewidoczne w załomach lawy. Na szczycie załapaliśmy oddech, pasat też. Dobry to wiaterek, będzie nam towarzyszył prawie do brzegów Australii.

Czwartek, 20.03.75

Opłynęliśmy bączkiem pobliskie brzegi, spenetrowaliśmy już najbliższą okolicę, teraz nawet nie bardzo chce nam się ruszać z łódki. Jest spokojny ranek, każdy zajęty swoimi sprawami. Nagle, jak na komendę, unosimy głowy i wstrzymujemy oddech. Słychać wyraźnie pracujący silnik. Wyskakujemy na pokład w chwili, gdy zza wąskiego cypla wyłania się biały kadłub dużej, motorowo-żaglowej jednostki. Na jacht to nie wygląda, na stateczek z turystami też nie. Odczytujemy nazwę: „Beagle III" i dopiero teraz pada na nas blady strach. To nic innego tylko statek z „Charles Darwin Station". Wpadliśmy, że lepiej nie można. „Beagle III" rzuca kotwicę, spuszczają ponton z silnikiem i pierwsza grupa ludzi ląduje na plaży. Nikt nie pomachał nawet ręką, co jest powszechnie przyjętym zwyczajem. Po prostu nas ignorują. Coś tam wynoszą, sprawdzają paliki wbite w plażę, zaglądają do laguny. Ponton wiezie drugą grupę, w której poznajemy szypra „Liva". Podchodzą bliżej i szyper prosi Ludka na brzeg do szefa ekipy. Najczarniejsze myśli przebiegają przez głowę: wsadzą do kicia, wrąbią grzywnę, czy jeszcze coś gorszego? Znamy dobrze południowo-amerykańską biurokrację.

Nasze wykroczenie polega na tym, że nie mamy pozwolenia na przebywanie i kotwiczenie w archipelagu. Możemy się tłumaczyć, że płyniemy z Puerto Ayora, dokąd zaszliśmy z konieczności (woda, paliwo) i niejako po drodze zakotwiczyliśmy przy Rabidzie, żeby... no i tu można skonstruować jakąś bajeczkę, w którą i tak nikt nie uwierzy.

Ludek popłynął na brzeg i choć słów nie słyszałem, z gestykulacji widać, że nie jest zbyt wesoło. Wreszcie wraca, blady i roztrzęsiony. Mamy się wynosić i to zaraz. Tylko tyle? Nie jest źle. Jak przypuszczam, zawdzięczamy tak łagodny obrót sprawy szyprowi „Liva", z którym zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Ludek uniósł się honorem i już chce podnosić kotwicę, ja jednak nie daję za wygraną, wsiadam do bączka i płynę, żeby odroczyć termin egzekucji. Z grupy osób stojących na brzegu wybieram najsympatyczniejszą gębę i proszę o dzień zwłoki. Trafiłem fatalnie, bo mój rozmówca jest tylko naukowcem ze Stanów, zaś osobą kompetentną w tej sprawie jest kruczowłosy jefe, Ekwadorczyk z administracji parku narodowego, wyraźnie dotknięty, że nie zwróciłem się bezpośrednio do niego. „Mój" naukowiec tłumaczy rzecz na hiszpański i w końcu uzyskuję tylko tyle, że możemy zostać do rana, tj. do chwili odejścia „Beagle III".

Nie czekając do rana, zaraz po wizycie podnosimy kotwicę i wychodzimy w cieśninę między Izabelą i San Salvadorem. Nazajutrz, płynąc wzdłuż wybrzeża Salvadoru, odkrywamy przecudną Buccaneer Cove, gdzie bukanierzy zaopatrywali się w wodę, żółwie mięso i drewno opałowe. W czerwcu 1684 roku lądował tu, na największej plaży Galapagos — Espumilla, kapitan Cook, dowodzący słynnym Bacheler's Delijht. W sto lat później kapitan Eaton z „Nicholasa" znalazł po wylądowaniu puginały, naczynia i inne drobiazgi pozostawione przez poprzedników. W trzysta lat później, pomimo że olbrzymia (20 mil długości) wyspa jest niezamieszkała, kapitan Mączka z „Marii" nie odważył się lądować i po usilnych namowach zgodził się tylko na honorową rundę w zatoce. Rozdziawialiśmy gęby z zachwytu nad przedziwnymi kształtami skał, zamykających Buccaner Cove od północy i byliśmy wściekli, że Galapagos skończyły się już dla nas. Wpaść w ręce strażników po raz trzeci, to było zbyt ryzykowne.

Spójrzcie jednak na mapę archipelagu. Na północny-zachód w odległości około stu mil od głównego zespołu wysp, są dwie małe kropki — wysepki Wenman i Culpepper. Culpepper jest niedostępna, lecz Wenman według locji ma prawdopodobnie lądowisko. Uczepiliśmy się tego „prawdopodobnie" i zdecydowaliśmy: sprawdzimy. Tam już nikt nam nie zagrozi, po prostu zbyt daleko od wszystkich baz, stacji naukowych, itp.

Środa, 26.03.75

Jesteśmy gdzieś na Pacyfiku, nadal szukamy Wenmana. Dziś obserwacje astronomiczne są nie do przeprowadzenia — niebo stale zasłane deszczowymi chmurami, z których na przemian, albo siąpi kapuśniak, albo leje jak z cebra. Przy okazji przychodzą szkwały z tak gwałtowną ulewą, że widoczność spada do stu metrów. Jeden z nich., szczególnie silny, przyszedł dziś o piątej nad ranem. Szorująca po pokładzie woda o mało nie zabrała bączka, ledwie zdążyliśmy zrzucić żagle.

Jest 24.00, ciemno, idziemy samosterowanie z szybkością 4—5 węzłów. Leje deszcz, widoczność pół mili. Przekazałem wachtę Ludkowi i już upakowałem się w koi. Koja ma okapik, który tworzy druga koja, położona piętro wyżej, przy czym okapik sięga tylko 1/3 szerokości posłania; dostatecznie mało, aby o nim zapomnieć, a wystarczająco dużo, aby nabić sobie guza na łbie przy gwałtownym przebudzeniu. Koja zamknięta jest w poprzek, od strony stołu nawigacyjnego, rodzajem ławeczki — siedzenia dla nawigatora. Trzymanie głowy z tej strony jest trochę niewygodne, ponieważ wysokość ławeczki nad posłaniem pozwala na wetknięcie głowy profilem, ale nie na jej obrócenie. Użytkownicy wybierają na ogół przeciwne ułożenie, które ma jednak tę wadę, że światło nad stołem nawigacyjnym świeci śpiącemu wprost w oczy, nawet jeśli nawigujący siedzi na ławeczce, ale niezupełnie po środku. Tym razem trudno mi było usnąć z innych powodów. Być może jestem przeczulony lub warunki biometeorlogiczne były szczególnie niesprzyjające (zauważyłem, że o dziwo, Kazio też nie śpi) i gdy po pół godzinie Ludek nie poderwał się od lektury, wciągnąłem sztormiak i wyszedłem na pokład. Ludek zbudowany moją nadgorliwością, serwował mi co godzinę gorącą herbatę.

Czwartek, 27.03.75

Wstyd powiedzieć, ale Wenmana nie znaleźliśmy. Czart z nim idziemy do Markizy. Rozmawialiśmy właśnie z OA4RE — radioamatorem z Limy, gdy fontanna wody i pary buchnęła 20 metrów za rufą. Jest pełnia, księżyc świeci tak jasno, że piszę te słowa przy jego świetle. Znów fontanna, teraz z lewej burty, odległość 10 metrów.

Wynurzyło się potężne cielsko, chyba ze dwie długości „Marii". To już trzeci lub czwarty wieloryb, którego widzimy. Żaden dotychczas nie podchodził tak blisko. Uważamy, że trochę za blisko, tak bardzo ciekawi nie jesteśmy. Ostatecznie mieliśmy już okazję dokładnie obejrzeć wieloryba, a było to na placu Żołnierza. Starsi szczecinianie pamiętają.

Dziś spotkaliśmy jacht w namiarze ESE, w odległości 3 mil. Niestety, nasze kursy nie przecinały się i nie doszło do spotkania. Przekazujemy te wiadomości Luisowi z Limy, który jest bardzo podniecony sąsiedztwem wielorybów. Te już nam spowszedniały, zachowują się przyzwoicie.

GALAPAGOS

Luis Calderon, QSL — menażer Ludka na falach eteru, przygotował nam wczoraj niespodziankę. Rozmawialiśmy z naszym serdecznym opiekunem, panem Janem Giniewiczem, przedstawicielem PLO w Limie, a następnie z kapitanem Franczakiem z rybackiej spółki polsko-peruwiańskiej. Oprócz życzeń świątecznych odebraliśmy wiadomość o telexie do Szczecińskiego, w którym p. Giniewicz przekazał naszą pozycję. Listy, które przyszły do Limy po naszym odpłynięciu, poleciały do Papeete. Cudowna skrzyneczka jest niezawodna!

Mamy już prawie całą Amerykę Południową, ostatnio rozmawialiśmy z Antarktydą, Nową Zelandią, Australią i argentyńskim statkiem oceanograficznym w pobliżu Falklandów. Niestety Europy nie odbieramy, choć przygotowaliśmy nową antenę do pasma 15 m. Na paśmie 20 m, na którym najczęściej pracujemy, szanse złapania Polski są znikome.

Żegnamy Luisa i wyłączamy nadajnik. Dość na dzisiaj, akumulatory siadły do 11 V, 10 amperów wycieka z nich przy grzaniu, a 25 przy pracy nadajnika. Jutro znów godzina hałasu, trzeba będzie uruchomić silnik napędzający alternator — naszą elektrownię, ładującą akumulatory.

Piątek, 28.03.75

Koniec z tą niepewnością, musimy wiedzieć, gdzie jesteśmy. Od rana sekstans przechodzi z rąk do rąk. Spocone ręce kleją się do arkuszy z obliczeniami. Każdy ślęczy nad swoją linią pozycyjną, wyrywa sąsiadom tablice nawigacyjne i rocznik astronomiczny. Ten ostatni jest z ubiegłego roku i aby odczytać bieżące dane dotyczące słońca, trzeba przeprowadzać dodatkowe obliczenia. Ludek i Kazik liczą Achmatowem, ja wybrałem Dreisonstoka, który nie wymaga kartkowania i jest znacznie szybszy. Oczywiście to moja opinia, Ludek ma inną, a oprócz tego uważa, że Dreisonstok jest niedokładny. Usiłuję go przekonać, że zaokrąglenie pozycji zliczonej nie ma wpływu na dokładność linii pozycyjnej, ale Ludeczek przerywa mi, że nie ma przygotowania teoretycznego do dyskusji i że tak gdzieś wyczytał, czym ucina dyskurs.

Wyniki obliczeń są raczej urozmaicone. Linie pozycyjne, aby dać pozycję, winny się przeciąć po przesunięciu o przebytą drogę. Ba, ale jak mają się przeciąć, skoro są prawie równoległe. Jeżeli już się przecinają, to w tak odległych miejscach, że gdybyśmy tam mieli być, musiałbym stracić resztę zaufania do starego, poczciwego kompasu. W końcu wymalowaliśmy na mapie coś, co z grubsza przypomina położenie „Marii" na Pacyfiku. Na razie jest dużo wody wokół nas i niedokładna pozycja nie ma wpływu na bezpieczeństwo żeglugi. Co będzie później — zobaczymy.

Sobota, 29.03.75

Wyliczyłem, że zużyliśmy 200 litrów wody od wyjścia z Blackbeach, gdzie po raz ostatni uzupełnialiśmy jej zapas. Gdyby nie deszczówka, wyglądalibyśmy dość marnie. Pokryła całkowicie ubytek i teraz mamy pełne zbiorniki, beczkę i kanistry, czyli około 500 litrów. Musimy zwiększyć efektywność żeglugi, bo przy dotychczasowym tempie i przy braku opadów, wody z trudem wystarczy do Markizów. Ludek jest odmiennego zdania. Uważam, że powinniśmy zejść na południe, nawet kosztem kursów zachodnich, nawet na silniku, ażeby złapać pasat, który gdzieś nam zaginął. Przy tak zmiennych wiatrach jest rzeczywiście sporo roboty z żaglami, trzeba uchwycić każdy podmuch, a to wymaga luzowania, wybierania no i napiętej uwagi. A Ludek twierdzi, że ma prawo do lenistwa, co jest skądinąd zupełnie słuszne i nie zrobi na swojej wachcie zwrotu nawet wówczas, gdy Mańka płynie na NW.

Po południu znów powiało z zachodu, zmieniliśmy kurs na SSW. Ludek po dwóch wygranych partiach szachów, co usposobiło go życzliwie do całego świata, przyznał mi rację i obiecał poprawę.

Na tle jaśniejszego nieba, od północy, zarysował się wyraźnie czarny klin warstwowych chmur, zupełnie jak w podręczniku meteorologii. Pierwsze szkwały przyszły po piętnastu minutach. „Maria" pod samym bezanem dryfowała na południe, kołysząc się niczym kaczka na łagodnej jeszcze fali.

Wreszcie przestało kropić, Ludek uchylił klapę forpiku, a ja stałem niezdecydowany w zejściówce. Wypełnić najpierw dziennik, czy postawić żagiel? Kolejna fala uniosła dziób, który opadając zatrzymał się na mgnienie oka, kadłub drgnął prawie niedostrzegalnie, choć mogło to być tylko złudzenie. Tuż przed dziobem wyrósł słup wody i opadając zalał cały bak. W spienionej kaskadzie, na wysokości kosza dziobowego, mignęła płetwa ogonowa, raczej z tych większych. W chwilę później jej właściciel, sześciometrowy kaszalot, ukazał się po zawietrznej, „puścił parę" i zanurzył się bez zbytniego pośpiechu. Znów zaczęło tęgo dmuchać, a zatem najpierw zapis w dzienniku. W mesie spotkałem Ludka, który wyznał, że cholernie nie lubi sypiać w mokrym śpiworze, choć usiłował przyzwyczaić się do tego, jeszcze w Mongolii. Kazio spał nadal. Dyskretnie wyciągnąłem spod stołu kanister z pomarańczowym winem, chwilę mocowałem się z nakrętką, po czym sięgnąłem po dwa kubeczki. Przepraszam, po trzy, Kazio już nie spał.

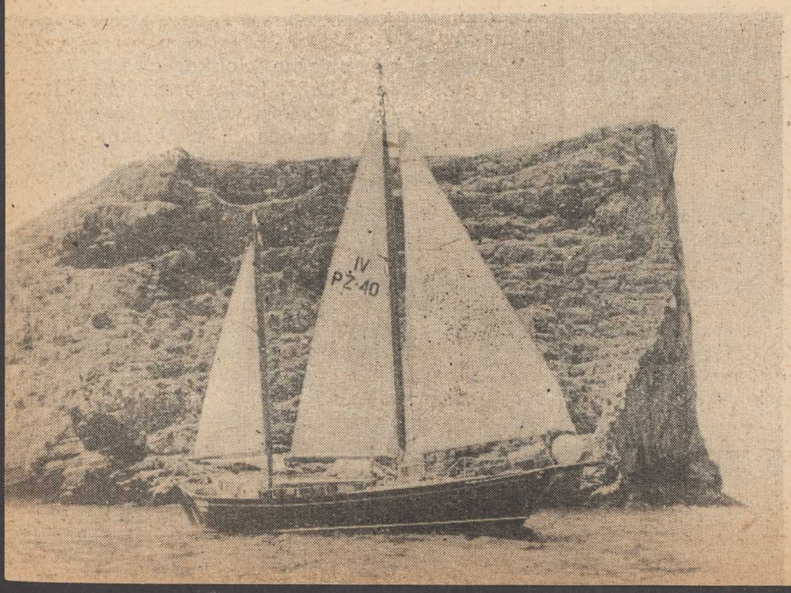

Zapis zimowego brzegu

Wszystko w białych zębach
trzyma zimowy brzeg:

Ta mewa nie wyszarpnie skrzydła,
choć drugim jak daremnym żaglem
przyzywa niebo.

Węgorz — do wiosny
zostanie
wplątany w śmiertelną sprawę przyrody.

Ten korzeń po sośnie
załamany jak ludzkie ramię,
deska po kutrze,
but po człowieku —

wszystko poczeka,
aż ruszą
lodowe młyny zatoki.

Krótkowidz

Wiersz,
gdy ma dobrą widoczność,
przygarnia dalekie ptaki,
jak arka
zaprasza i nazywa,
i nawet sztormowe bryzgi są po to,
by podnieść jego obecność.

Nie ma już we mnie takiego wiersza.
Deski po arce
zbieram na brzegu.
Martwe ptaki i zatrute ryby
odwracam stopą.

Krótkowidz,
coraz niżej pochylony,
swoje dawne horyzonty
przewlekam
przez oczodoły kaczek i łabędzi.

Wieczorem

Czarna woda. Biały
w śniegu brzeg. Obok
błędną plamą
przewleka się pies
z całym swoim światem.
— To wszystko bez sensu — mówię —
czarne na białym, białe
na czarnym...

Potem idzie ze mną
do grzęznących w śniegu rybackich łodzi.
Wchodzimy do jednej.
Liże mi rękę.
— Trochę w tym sensu jest — mówi —
tyle co ciepła na języku.
— Tutaj śpisz? — pytam. — Jutro
przyniosę ci chleb. Będę miał
po co przyjść.

O zmierzchu

Na horyzoncie jak tłuste robaki
wiercą się statki.
Jeszcze się rusza
sine cielsko wody.

Stoję, choć coraz mniej widzę.
Pomiędzy lodami smolne wnęki
kołyszą ciężki połysk. Kra
czy śnięty łabędź
o molo się tłucze?

Przychodzę tu z nawyku,
plączą się moje kroki
w smole. Przychodzę,
mam ręce czarne jak szatan. Dym
w nozdrzach. W ciasnym gardle
kamienny bełkot,
który
nie wyłoni ziemi z chaosu.

WALERIAN PAWŁOWSKI

MORZE

Co jednak ten nadmiar wolnego czasu czyni z człowieka! Zamiast zająć się jakąś uczciwą, pożyteczną pracą, siedzę sobie po turecku na świeżej trawce i rozmyślam. O, czym? Ano właśnie. O czymś, co jest w zasadzie niebieskie, a nie jest migdałem. Czyli nie o niebieskich migdałkach, a o — nie bawmy się dłużej w zagadki — o morzu. A raczej o tym, czy i jak morze inspirowało kompozytorów. Już słyszę te chóry elewów średnich szkół muzycznych, szkół stopnia podstawowego i ognisk muzycznych, gromko wołających: „a nad czymże się zastanawiać? Mendelssohn, Wagner i Debussy to wszystko i koniec i basta i fine!". Chwileczkę moje bobaski — chwileczkę... Ja też tak sądziłem, dopóki nie zacząłem szukać, dociekać, grzebać a szperać. I oto doszedłem do wniosku, że już starożytni Grecy — Nie... tak nie można. Zostawmy w spokoju i Greków i Rzymian, bo u nich to nie muzycy, a poeci zajmowali się morzem, darujmy sobie też wieki średnie i epokę renesansu, bo zbyt to od nas odległa historia. A barok? Te potężne machiny teatralne zamieniające sceniczną przestrzeń w bezmiary wód, owe zwielokrotnione orkiestry, bazujące na jaskrawym brzmieniu trąbek w wysokich strojach i najwyższych rejestrach, clarini kryjące swym blaskiem pozostałe instrumentarium? Oczywiście, oczywiście — tylko jeśli tę muzykę wziąć pod szkiełko powiększające, to okaże się, że w owych apoteozach zwycięstw i glorii monarszej i książęcej o samym morzu jakoś zapomniano, a gdyby ktoś koniecznie chciał odnaleźć kropelkę wody, to znajdzie ją w ślicznej „Water Music", „Muzyce na wodzie", którą Händel skomponował w 1715 roku (według innych źródeł o dwa lata później) dla odzyskania łask swojego monarchy, króla Jerzego I Hanowerskiego, a wykonał ją ulokowawszy swą potężną postać oraz muzyków na barce, podczas gdy władca zażywał przejażdżki łodzią po Tamizie. Wprawdzie Tamiza uchodzi ponoć do morza, ale to chyba jednak zbyt mało, by zaliczyć „Water Music" do gatunku „morskiego". No, a jak wygląda sprawa z klasykami? Bo przecież kiedy Joseph Haydn udawał się i to dwukrotnie do Londynu — a działo się to w latach 1791 i 1794 — na pewno nie odbył tego wojażu odrzutowcem, jeno musiał pozwolić się pohuśtać morskim falom. I co? I nic — jakoś nie odnajdziemy śladu tych peregrynacji w partyturowym zapisie, a jedyne co papa Haydn ma nam na temat wody do powiedzenia, to cudowna ilustracja aktu oddzielenia mórz od lądów w oratorium. „Stworzenie świata". I na dobrą sprawę jedynie Beethoven ratuje honor klasyków, jeśli chodzi o morską tematykę. Po raz drugi w życiu żałuję, że nie jestem ekspertem w „Wielkiej grze", (pierwszy raz zdarzyło się to, gdy stołeczny rzeczoznawca paskudnie sypnął się w znajomości beethovenowskich scherz), bo wówczas mógłbym umieścić w zalakowanej kopercie pytanie, „które to dzieło Beethovena opiewa morską podróż — podać tytuł, rok powstania i numer opusu — czas do namysłu pół godziny". Zanim dręczony wątpliwościami kandydat do dwudziestu pięciu tysięcy odpowie (co być może ułatwi mu nabycie akumulatora do „Malucha"), ja podzielę się z Państwem sensacyjną wiadomością, że mistrz Ludwig w roku 1815 skomponował utwór na chór mieszany i orkiestrę, zatytułowany „Meeresstille und glückliche Fahrt" („Cisza morska i szczęśliwa podróż") oznaczył go opusowym numerem 112, a podnietą do napisania tej muzyki, stał się wiersz Goethego. Wielka musiała być siła tej poezji, skoro do tego samego tekstu muzykę skomponowało jeszcze dwóch wielkich twórców — Franz Schubert i Felix Mendelssohn — Bartholdy. I oto już jesteśmy w epoce romantyzmu. A romantycy bardzo, ale to bardzo kochali naturę, zwłaszcza zaś wodę (oczywiście jako obiekt zainteresowań twórczych, bo jeśli o konsumpcję chodzi, no to różnie bywało...). A więc Schubert i Mendelssohn, jako reprezentanci muzyki europejskiej drugiego ćwierćwiecza ubiegłego stulecia, jako przedstawiciele innych kompozytorów owego okresu, których brak miejsca nie pozwala mi wyliczać. Prócz wspomnianej już „Ciszy morskiej i szczęśliwej podróży" ma Schubert w swoim dorobku jeszcze przepiękną pieśń „Am Meer" („Nad morzem"), choć związek z morzem jest w niej jedynie formalny, ograniczający się do tytułu i do poetyckiej metafory Heinricha Heinego, o gorzkich łzach płynących z oczu ukochanej dziewczyny. Za to Mendelssohn — o ten kompozytor wykorzystał temat morski do ostatka. I on — podobnie jak Beethoven i Schubert — wziął na swój warsztat twórczy tekst Goethego opiewający uroki spokojnej żeglugi, przy czym Adagio ilustruje morską ciszę, zaś kontrastujące z nimi Allegro vivace tworzy muzyczny obraz idyllicznego wojażu. Nie byłby wszakże Mendelssohn prawdziwym romantykiem, gdyby miał ograniczać się do malowania sielskich obrazeczków, wyzłacanych blaskiem słońca i pięknie srebrzonych refleksami wody. Tworzy tedy w roku 1833 — liczy wówczas lat dwadzieścia cztery — uwerturę koncertową, zatytułowaną „Hebrydy". Przez „e". Podkreślam tę literę dlatego, że obecnie zwykło się mówić o mendelssohnowskich „Hybrydach". Mistrza Feliksa bynajmniej nie interesowały mieszańce pochodzące ze skrzyżowania przeróżnych gatunków zwane hybrydami (przez „y"), tylko chciał wyrazić swoje przeżycia, przekazać wrażenia, jakich doznawał podczas morskiej podróży do Szkocji, gdy statek mijał archipelag wysp położonych u północno-zachodnich wybrzeży Wielkiej Brytanii, a zwany „Hebrydami". Przez „e". Podtytuł „uwertura do groty Fingala" świadczy o ogromnym wpływie, jaki na psychikę młodego kompozytora musiał wywrzeć zbiór staroceltyckich mitów legendarnego Ossiana, przy czym Mendelssohn nie wiedział zapewne, że chodzi tu o apokryficzny utwór osiemnastowiecznego poety szkockiego, Macphersona... „Hebrydy" to znakomita muzyka! W klasycznym schemacie sonatowego allegra umiał Mendelssohn zawrzeć całą dramatyczność przeprawy przez ostre, oślizgłe rafy, gwałtowne przerzucenie się rwanymi frazami drzewa i odzywkami blachy stwarza stereofoniczny wręcz efekt, a jak mówi sam kompozytor, kreśląc pierwsze takty „Hebryd" na szkockiej wyspie Staffa myślał o tym, by ta muzyka „pachniała tranem i mewami". Podobny nastrój znajdziemy zresztą w Trzeciej Symfonii Mendelssohna, zwanej „Szkocką", jako że i ona jest muzycznym rezultatem tego samego wojażu, przy czym „Hebrydy" są swojego rodzaju wstępnym studium do owej symfonii. A jakie było zdanie muzyków o „Hebrydach"? „Oddałbym wszystkie moje utwory, gdyby udało mi się stworzyć coś, co dorównywałoby „Hebrydom" mówi Johannes Brahms, człowiek słynny ze swojej programowej wręcz gburowatości. „To jedno z najpiękniejszych dzieł muzycznych, jakie posiadamy!" — stwierdzenie to wyszło z ust nie kogo innego, jeno Richarda Wagnera. Tak jest — proszę Państwa — samego Wagnera, tego, który z taką zaciekłością atakował „żydostwo w muzyce", a w osiem lat po powstaniu „Hebryd" sam stworzył wspaniałą operę, której tematem są dzieje skazanego na wieczną, bezkresną wędrówkę „Holendra Tułacza". I tutaj własne przeżycia kompozytora stają się inspiracją do napisania dzieła na trwałe związanego z morzem. W czasie podróży Wagnera z Rygi do Londynu, statek, na którego pokładzie znajduje się Wagner, parokrotnie dostaje się w sam środek burzy i bliski zatonięcia, z potrzaskanymi masztami, znajduje schronienie w jednym z norweskich portów. Uwertura — bo w owym czasie nie stosował jeszcze określenia „wstęp" — otóż uwertura do „Holendra — Tułacza" jest w gruncie rzeczy skrótem całej opery, z niebywale silnie wyeksponowanym dramatyzmem morskiej burzy, hukiem łamiących się fal, grozą nawisłych chmur i świadomością beznadziei nieskończonego błąkania się po morzach całego świata. W r. 1886 Verdi kończy swoje wielkie dzieło, waleczny głównodowodzący — Otello. Mistrzowskie operowanie chórem, zanoszącym modły o ocalenie powracających wojów, wtopienie jego brzmienia w fakturę orkiestry malującej zmagania załóg z rozszalałym morzem, to całe muzyczne wprowadzenie w klimat opery, w której przebiegu będziemy świadkami narastania podobnego kataklizmu w psychice nieprzytomnego z zazdrości mężczyz-

W MUZYCE

ny, wirtuozowska sprawność techniczna doświadczonego kompozytora, to wszystko przyczynia się do tego, iż scena burzy morskiej z „Otella" Verdiego, podobnie jak uwertura do „Holendra — Tułacza", wiedzie samodzielny żywot na estradach koncertowych. A czyż inaczej dzieje się z tak popularnymi dwiema suitami z muzyki do dramatu Ibsena „Peer Gynt", której autorem jest norweski kompozytor Edvard Grieg (1843—1907)? Pamiętajmy zaś, że jednym z najchętniej słuchanych fragmentów jest „Powrót Peer Gynta", który przeżywszy straszliwą burzę morską, podczas której statek ulega zagładzie, ledwie żywy, jako rozbitek ostatnim wysiłkiem dopływa do brzegów ojczystej Norwegii. Nie oparł się też pokusie muzycznego zilustrowania rozbicia statku podczas morskiej burzy, wielki kolorysta Mikołaj Rimski-Korsakow pisząc w roku 1888 swą baśniową „Szeherezadę", muzyczną transpozycję fragmentu „Ksiąg z tysiąca i jednej nocy".

I wreszcie rok 1905 — data powstania najwspanialszego dzieła opiewającego morze. Oto co jego autor, Claude Debussy, pisze na ten temat: „...Morze jest jak dziecko, igra i tak naprawdę nie zdaje sobie sprawy z tego, co czyni... ma długie, wspaniałe włosy i duszę... przychodzi i odchodzi, ciągle zmienne..." Z tych słów jasno wynika, jaką miłością Debussy otaczał morze, czego dowodem fakt, że ilekroć tylko mógł, tyle razy spędzał czas nad brzegiem Atlantyku. Rezultatem owego zafascynowania są trzy genialne szkice symfoniczne, objęte wspólnym tytułem: „Morze". Oto nazwy owych części, określenia jakże typowe dla tego wroga nautralizmu w muzyce, mistrza nad mistrze w stwarzaniu atmosfery niedopowiedzenia i aluzyjności: „Od świtu do południa na morzu", „Gra fal", „Dialog wiatru z morzem". Nie podejmuję się analizowania tej muzyki, chciałbym tylko powiedzieć, że przy jej słuchaniu, a jeszcze bardziej podczas jej realizowania, mam nieodparte wrażenie przysłuchiwania się równomiernemu, to znów przyśpieszonemu oddechowi morskiego bezkresu. Nie sposób mówić o „Morzu" Debussyego, nie wspominając o jego o sześć lat wcześniejszych „Nokturnach", ukończonych w 1899 roku, a ściśle rzecz biorąc o trzecim z nich, zaopatrzonym w jakże sugestywny tytuł — „Syreny". Połączenie brzmienia ośmiogłosowego chóru żeńskiego snującego wokalizy oparte na pustych kwartach i kwintach z ażurową tkanką partii orkiestrowej, daje w rezultacie oleśniewającej urody zjawisko muzyczne.

Czy wobec takich arcydzieł, jak: „Hebrydy" Mendelssohna, wagnerowskiego „Holendra — Tułacza", „Morza" i „Syren" Debussy'ego, mają szanse powodzenia inne utwory związane tematycznie z morzem? Czy — mówiąc po prostu — jest jeszcze sens komponowania nowej muzyki, czy można jeszcze coś powiedzieć na ten temat? Chyba tylko próbować wyrazić tonami nieopisane piękno rozlanego na powierzchni oceanu opalizującego oleju, czy tęczowe lśnienia mazutu doduszającego ostatnie ryby, delfiny i wieloryby wraz z mewami. Otóż okazuje się, że — trawestując słowa mistrza Karakuliambro — o morzu można nieskończenie. Są kompozytorzy, którzy w tematyce morskiej szukają źródeł inspiracji. Więc już skrótowo: w roku 1922 współczesny kompozytor francuski, Jacques Ibert (zmarły w 1962 roku) pisze trzy obrazy orkiestrowe, nadając im tytuł „Escales" („Przystanie"). Są to muzyczne reminiscencje z podróży statkiem po Morzu Śródziemnym. Pierwszy obrazek jest impresją z nocnej żeglugi na trasie Rzym—Palermo; drugi, zatytułowany „Tunis—Nefta", ilustruje życie w północnoafrykańskim porcie; trzeci jest muzycznym wizerunkiem przesyconej gwarem i blaskiem słońca Walencji. Dalej: zwróćmy uwagę na Anglię, gdzie w roku 1872 przychodzi na świat William Vaughan, który oprócz ilustracji muzycznej do filmu „Scott na Antarktydzie", z której to muzyki powstała później jego siódma z kolei „Sinfonia antarctica", ma również w swym dorobku powstałe w 1910 roku pierwsze dzieło symfoniczne „Symfonię Morską" („A Sea Symphony") na sopran, baryton, chór i orkiestrę. Młodszy od Vaughana o lat siedem Frank Bridge (1879—1941) komponuje w 1911 roku suitę „The Sea" („Morze"), a jego uczeń, zmarły w grudniu 1976 najbardziej znany współczesny twórca angielski, Beniamin Britten jest autorem cieszącej się dużym i zasłużonym powodzeniem opery „Peter Grimes", której akcja — tocząca się w osadzie rybackiej na wschodnim wybrzeżu Anglii, w początkach ubiegłego stulecia — oscyluje wokół spraw związanych z morzem. Tematy z tej opery wykorzystał zresztą Britten w swoich „Czterech morskich interludiach" („4 Sea Interludes from Peter Grimes" — 1944). O wiele dalej, bo aż na Południowy Pacyfik zapuszcza się współczesny amerykański twórca świetnych musicali, Richard Rodgers, przy czym ów rejs opłaca mu się znakomicie, jako że za swój przesycony liryzmem, a nawet tragizmem musical „South Pacific", otrzymuje on Nagrodę Pulitzera, jako drugi po Gershwinie kompozytor muzyki lżejszego kalibru. Nie otrzymał wprawdzie Nagrody Pulitzera nasz zmarły w 1946 w wieku czterdziestu lat autor „Panny Wodnej" — Jerzy Lawina-Świętochowski, ale ma tę satysfakcję, że jego muzyka do dziś raduje zwolenników sztuki operetkowej, towarzyszących bohaterom na pokładzie statku w czasie ich rejsu na linii Hawaje—Gdynia. I oto zacumowaliśmy przy polskim nabrzeżu. No właśnie! A jak u nas przedstawia się twórczość muzyczna związana z morzem? Wbrew pozorom wcale nieźle. Ilościowo przynajmniej... Zaś funkcję busoli w tej małej wędrówce niech pełni chronologia. A oto wyjątki z dziennika pokładowego: żyjący w latach 1872—1932 Tadeusz Joteyko pisze „Szkice morskie" na orkiestrę symfoniczną, młodszy odeń o dwanaście lat. Ludomir Różycki ogranicza się do fortepianu komponując pod wpływem obrazu Böcklina „Grę fal", w 1924 roku wielce zasłużony dla polskiej kultury muzycznej Feliks Nowowiejski prowadzi w Operze Poznańskiej prapremierę swojej „Legendy Bałtyku", której akcja rozgrywa się w okolicach Wolina. Uwertura do „Legendy" jest również wykonywana jako samodzielny utwór koncertowy, zaś pamiętać wypada, że Feliks Nowowiejski jest też kompozytorem tak chętnie do dziś śpiewanego „Hymnu Bałtyku". I oto dopłynęliśmy do czasów współczesnych. Słyszycie Państwo tę śliczną pieśń? To „Morze" do tekstu Kazimiery Iłłakowiczówny, a muzykę skomponował nasz czołowy twórca — Witold Lutosławski. Formą operową zainteresował się Tadeusz Baird, pisząc dla telewizji znakomite dzieło, oparte na powieści Conrada „Jutro", a mieszkający o miedzę od nas — no, powiedzmy o dwie miedze — kompozytor gdański Władysław Walentynowicz ma w swojej tece takie utwory, jak „Pieśni morza", „Obrazy z wybrzeża", „Impresje morskie", „Ojczysty nasz Bałtyk", czy „Pieśń o stoczni". Teraz zaś — na zakończenie naszego muzycznego żeglowania — zwróćmy morską lunetę w stronę... no cóż... w stronę Szczecina. Właściwie luneta nie będzie nam potrzebna. Wystarczą okulary z różowymi szkiełkami. Bo na dobrą sprawę dwoje tylko reprezentantów szczecińskiego świata muzycznego ma nam coś do powiedzenia na morskie tematy. Irena Dołgowa zainspirowana poezją Tymoteusza Karpowicza napisała pieśni „Serce przed falą" i chóralne „Sieci", zaś do tekstu Tadeusza Kubiaka „Pieśń marynarzy". Roman Kraszewski skomponował „Piosenkę rybacką" (słowa Henryka Piotrowskiego) i „Pieśń o Ziemi Szczecińskiej" do własnego tekstu. Więc jako się rzekło, tylko Irena Dołgowa i Roman Kraszewski ratują honor szczecińskiego środowiska muzycznego, jeśli o tematykę morską chodzi. Jak to? A muzyka Ryszarda Kwiatkowskiego? Jego „Obrazy bałtyckie" na śpiew, „Pieśń morskiego wiatru" na skrzypce i fortepian, czy „Śpiew bałtyckiej fali" na klarnet i fortepian? Czy to się nie liczy. Liczy się — jeszcze jak się liczy... Tylko się nie zalicza! Nie zalicza się do naszej, szczecińskiej kultury, bo niedawno Kwiatkowski opuścił nasze miasto, przenosząc się do Bydgoszczy. Na stałe. Ale to już inna sprawa. A na razie poczekajmy. Może jeszcze się czegoś w Szczecinie doczekamy...

BOHATEROWIE MORZA NA EKRANIE

BOHDAN KOWALSKI

Stwierdzenie, że staliśmy się krajem morskim, ma już dziś obiegowy charakter. Osiągnięcia w tej dziedzinie, mimo ciągłych jeszcze trudności i niedostatków, dowodzą naszej skuteczności i nowoczesności oraz są przykładem sukcesów, które nie mają sobie równych w historii Polski. Wciąż jednak wyrażamy niepokój, że fakt ten nie odzwierciedlił się w pełni w naszej psychice narodowej. Proces to długotrwały i złożony. Ma w nim również swoje miejsce sztuka. Z pietyzmem wyławiamy z jej dokonań dzieła inspirowane przez problematykę morską. Najszerzej temat ten podjęła literatura. I chociaż nie stworzyła jeszcze arcydzieła, to ona sięga do tradycji i mitów morskich, do związanej z morzem historii i współczesności naszego kraju. Ona jest źródłem sporów na temat przyszłego kształtu marynistyki. A film? Dziedzina sztuki najpełniej ukazująca zmaterializowaną wizję świata? Działalność ludzka szeroko zaspokajająca potrzeby naszej cywilizacji? W tej dziedzinie nie mamy wielu powodów do satysfakcji.

Pierwsze próby sięgnięcia po tematykę morską miały miejsce przed wojną. Powstawały wówczas dokumenty, pierwsze filmy fabularne: „Rapsodia Bałtyku", „Zew morza", czy „Pod banderą miłości". Bohaterowie tych ostatnich są wynikiem komercjalnych kompromisów i wrysowani w schematy popularnych gatunków filmowych nie potrafią dziś przemówić do nas prawdą życia. A i temat morski dochodzi tam do głosu w niejednakowym natężeniu.

Znaczące rozdziały drugiej wojny światowej miały miejsce na morzu. Najwartościowe próby ukazania tych zmagań pojawiły się najpierw w kinematografii angielskiej i amerykańskiej jeszcze w trakcie trwania wojny. Bezpośrednim motywem powstawania tych filmów wykorzystujących często kroniki i korespondencje wojenne było ukazanie bohaterstwa marynarzy w walce z hitlerowskimi Niemcami. Budzenie wiary w zwycięstwo z jednej, autentyzm z drugiej strony — to były ówczesne kryteria ideowo artystyczne. Mimo założeń propagandowych, krańcowe sytuacje, w jakich często znajdowali się bohaterowie, budziły refleksje moralne i pogłębiały obraz wojny.

Amerykański „Konwój" Lloyda Bacona poświęcony był transportom sprzętu wojennego dla ZSRR wysyłanych drogą polarną. Nie poznajemy w nim wątków osobistych, realizm doznań dominuje nad anegdotą i przeżyciami marynarzy.

Bohaterowie wcześniejszego nieco „Naszego okrętu", wybitnego reżysera i aktora angielskiego teatru Noila Cowarda, opuszczają uszkodzony przez lotnictwo niemieckie statek, przeżywają tragiczne chwile na łodzi pontonowej, ponoszą nowe ofiary. Reprezentując cichy heroizm, spokój i zdecydowanie, stają się nosicielami narodowych cech brytyjskiego charakteru. W trakcie trwania filmu poznajemy bliżej, dzięki retrospekcjom, życie siedmiu postaci.

Dzieło Charlesa Frenda „San Demetrio" ogranicza się już tylko do prostej relacji faktów. Brytyjski statek zaatakowany przez niemiecki krążownik płonie, zagrożone jest pożarem paliwo. Część załogi przyjmuje na pokład okręt komandorski, ale po wzburzonym Atlantyku błądzi łódź z wyczerpanymi kilkunastoma marynarzami. Trafiają oni z powrotem na swój płonący statek. Wracają na pokład i nadludzkim wysiłkiem gaszą pożar. Mimo wyczerpania, braku urządzeń nawigacyjnych grupa bohaterów wprowadza tankowiec do portu.

Warto tu wspomnieć o jednym z pierwszych filmów amerykańskich ukazujących poprzez wojenną tematykę morską ważkie problemy moralne. Chodzi tu o obraz A. Hitchcocka „Łódź ratunkowa". Nie był reportażem z okresu wojennego, miał być moralitetem. W łodzi spotykają się bohaterowie z różnych warstw społecznych i z różnymi zapatrywaniami. W pewnej chwili pojawia się wśród nich Niemiec z okrętu podwodnego, który storpedował ich statek. Rozwój sytuacji zmusza bohaterów do postawienia sobie szeregu pytań: Co to jest dobro, co zło; gdzie leży granica między potrzebą wojenną a morderstwem?

Ukoronowaniem nurtu wojennego w filmie morskim było zrealizowane już po wojnie „Okrutne morze" Charlesa Trenda. Z obszernej wielowątkowej powieści Monsarata stworzył on dramat filmowy zagęszczając sytuację i kładąc szczególny nacisk na ukazanie odheroizowanego obrazu wojny. Walka jest w nim żmudnym obowiązkiem, bohaterowie w ciągłym napięciu nerwowym niszczeją psychicznie i fizycznie. Postawieni w sytuacjach tragicznych zmuszeni są wybierać mniejsze zło.

Polska epopeja wojenna na morzu znalazła odbicie głównie w filmie dokumentalnym. Nieliczne dokumenty powstały na zachodzie jeszcze w trakcie wojny, potem montowano je w kraju z archiwalnych materiałów — głównie brytyjskich i radzieckich. Tak powstały między innymi „ORP Błyskawica" Bogdana Wieleckiego oraz „Konwoje" i „Salut da Garlanda" Leonarda Ordo. Z wymienionych dokumentów najmocniej wpisuje się w pamięć ten ostatni. Dzieje się tak głównie za sprawą bosmana Płonki, który z narażeniem życia utrwalał kamerą bohaterską walkę polskich marynarzy z hitlerowskim lotnictwem w konwoju PQ-16. On jako narrator i autor autentycznych zdjęć staje się główpym bohaterem tego filmu.

Dokument jednak, mimo najlepszego komentarza i autentyzmu, nie jest w stanie tak mocno angażować uczuć jak film fabularny. „Forma jest matką uczucia" — ta prawda zdaje się nie starzeć. Polska wojna morska nie znalazła jednak właściwego odbicia ani w dokumencie, ani tym bardziej w filmie fabularnym. Ten ostatni reprezentuje jedynie „Orzeł" Leonarda Buczkowskiego zrealizowany u schyłku lat pięćdziesiątych. Pomysł ukazania na ekranie autentycznych bohaterów — członków załogi okrętu podwodnego, który w 1939 roku pokonał niemiecką blokadę na Bałtyku i dopłynął przez cieśniny duńskie do Anglii, narodził się podobno zaraz po klęsce wrześniowej, kiedy reżyser przebywał na Węgrzech. Mimo pewnych modyfikacji treści podyktowanych względami dramaturgicznymi Buczkowski pokazuje autentyczną mikrospołeczność, w której znajdują się różni ludzie, różnie reagujący na sytuacje ostateczne. Są w niej mocniejsi i słabsi, są nawet tchórze ale o końcowym sukcesie decyduje większość. Bohaterowie „Orła" przeżywają różnorodne nastroje podyktowane zmieniającą się sytuacją. Twórca ekranowego dramatu materiał filmowy, oparty o autentyczne fakty, ujął w przemyślane rygory kompozycyjne. Obraz przeżyć marynarzy wewnątrz łodzi podwodnej przerywany jest dziejącymi się na zewnątrz kulminantami. „Orzeł" Buczkowskiego, podobnie jak szereg innych filmów o wojennych zmaganiach na morzu, był swoistym studium ludzi zamkniętych, skazanych na siebie w warunkach izolacji i zagrożenia. Oglądany po latach zachował cechy wiarygodności dzięki bliskiej autentyzmowi fabule, oszczędnemu aktorstwu i surowemu opisowemu realizmowi. Niestety, film przedstawiając legendę statku, sam stał się legendą bez próby naśladowania.

Heroiczny okres odbudowy i rozbudowy naszej gospodarki morskiej mógł stać się pasjonującym źródłem inspiracji dla twórców filmowych. Powojenny trud na naszym wybrzeżu podejmowali przedstawiciele starszego pokolenia, wśród których nie brakowało bohaterów wojny na morzu, a także ludzie młodzi, rozwijający dopiero morską świadomość. Na wybrzeże napłynęli Polacy z różnych stron Polski, dla których morze było legendą. W mikrospołecznościach załogowych naszych pierwszych statków musiało dochodzić do zderzeń postaw, poglądów i obyczajów. „Morska ideologia" kształtowała się w powolnym trudzie kusząc dopiero perspektywami. Niewiele jest śladów z tego okresu w naszym filmie fabularnym.

Pierwszym powojennym filmem polskim sięgającym po tematykę morską była „Załoga" (52 r.) Jana Fethkego. Akcja jej rozgrywała się w środowisku uczniów Państwowej Szkoły Morskiej na pokładzie „Daru Pomorza". Był więc w tym filmie piękny statek, ujęcia morza, grupa ludzi z nim związanych. Już w samym założeniu nie miał to być film morski a raczej młodzieżowy. Konflikt i cel dydaktyczny był typowy dla owych czasów. „Załoga" to dzieje chłopca z zamożnego domu, który początkowo żyje w niezgodzie z kolegami i wychowawcami, ale dzięki kolektywowi zrozumie swe błędy. Akcja tego filmu z morałem mogła się z powodzeniem toczyć w innym środowisku.

„Wraki" (57 r.) Ewy i Czesława Petelskich według powieści Janusza Meissnera trudno zaliczyć do filmów morskich w pełnym tego słowa znaczeniu. Jest to rozgrywający się w środowisku gdyńskich nurków dramat psychologiczny: historia człowieka niesłusznie posądzonego o spowodowanie wypadku podczas podwodnej akcji ratowniczej. Są tam echa wojny, trójkąt miłosny, różnice postaw, obraz ciężkiej pracy przy wydobywaniu wraków, ale ujęcia statków, urządzeń portowych pełnią w tym filmie rolę tła, scenografii.

Problemy poruszone na ekranie miały charakter ogólny i uniwersalny, nie zawierały treści charakterystycznych jedynie dla problematyki morskiej.

„Skarb kapitana Martensa" (57 r.) Jerzego Passendorfera osnuty na motywach powieści Janusza Meissnera „ST Samson wychodzi w morze", jakkolwiek przenosi akcję na statek rybacki, kieruje się jednak w stronę sensacyjności, opowiadając niezbyt przekonywująco historię walki marynarzy o pamiętnik doświadczonego kapitana, zawierający rzekomo tajemnicę wielkiego skarbu.

Nie próbując wykorzystać głębiej i szerzej tematu morskiego polski film fabularny ucieka po latach obrazem Stanisława Lenartowicza „Cała naprzód" (67 r.) zrealizowanym w konwencji awanturniczo-przygodowej komedii, w stronę fantazji. Scenariusz tego filmu jest nowelowym zbiorem barwnych opowiadań marynarza-blagiera. Bohater, dzięki swej wyobraźni, przenosi nas w krąg swych niesamowitych przygód w różnych portach między innymi do haremu i na statek — upiór z podejrzanymi typami przemycającymi narkotyki. Film roi się od egzotycznych obrazów i rekwizytów. Palmy, pantery, plantacje bananów, marynarskie knajpy, dwuznaczne hoteliki i wspomniany harem — wszystko to staje się wyrazem tęsknot szarego człowieka do przeżycia niecodziennych przygód i wrażeń. Film ten powstał dwadzieścia lat po wojnie, kiedy mieliśmy już dużą flotę, nowe kadry, rozwijającą się gospodarkę morską. Bohater jego był raczej komediowym odbiciem mitu o możliwościach mocnych i barwnych przeżyć marynarzy.

Z innego świata pochodzą bohaterowie filmu Pawła Komorowskiego „Ostatni po Bogu" (68 r.). Jego akcja toczy się w środowisku oficerów i marynarzy łodzi podwodnej w czasie pokoju. Zbliżający się Sylwester zastaje marynarzy w morzu na ćwiczeniach. Nieoczekiwany rozkaz odszukania zatopionego prototypu kutra rybackiego oddala szansę zejścia na ląd. Rośnie wśród załogi rozdrażnienie, ale służba jest służbą. Rozkaz zostaje wykonany, jednak niedbalstwo mechanika powoduje awarię. Na lądzie dowództwo niepokoi się o losy załogi i łodzi. Nad tą historią ma górować dramat kapitana okrętu, który jest chory i tylko zatajenie prawdy przez lekarza — przyjaciela pozwoliło mu na wyjście w morze. Awarię dało się usunąć. Okręt wraca szczęśliwie do portu. Tu czeka marynarzy długie, nużące śledztwo. Epizody z zabawy sylwestrowej odsłaniają nieco prawdy o osobistych przeżyciach bohaterów. W finale filmu dotychczasowy kapitan musi zejść do pracy na lądzie, „bałaganiarz" przyznaje się do winy, „żelazny" zastępca otrzymuje upragnione dowództwo statku. Film nie ma jednak siły dramatu. Bohaterowie są deklaratywni, nie przekonują w pełni. Zagęszczenie problemów prowadzi ku powierzchowności. Niedopatrzenie mechanika jako przyczyna dramatycznych wydarzeń nie harmonizuje z wewnętrzną tragedią kapitana. Postacie filmu żyją w szarym, dalekim od uroczystych parad mało dynamicznym, wbrew pozorom, świecie. Dwie kobiety oczekujące na powrót mężczyzn z morza wtopione są w brudny, zimowy pejzaż Gdyni, w tłum spieszących się, obojętnych ludzi. I to jest w tym filmie przekonywujące. Te poetyckie obrazy zawierają jakiś ułamek prawdy, ale nie potrafią głęboko poruszyć.

„Martwa fala" (71 r.) Stanisława Lenartowicza jest pierwszywm polskim filmem fabularnym po wojnie, który próbuje ukazać marynarzy w długim rejsie bez uciekania w stronę sensacji, fantazji czy czystej przygody. Akcja tego filmu rozgrywa się na pokładzie polskiego, nowoczesnego statku handlowego płynącego do krajów Ameryki Południowej. Swój start zawodowy przeżywa na nim absolwent szkoły morskiej, który co było w zamierzeniu twórców, ma skonfrontować swe wyobrażenia o przyszłej pracy, z rzeczywistością. Nieco na dalszym planie ukazany jest kapitan noszący w psychice, zasugerowane tylko w filmie, ślady przeszłości wojennej i jakiegoś dramatu rodzinnego oraz intrygujący przeciw niemu służbista — pierwszy oficer.

Bohaterowie tego filmu budzą opinie krytyczne. Są sfrustrowani, zmęczeni, znudzeni. Młody asystent od początku podchodzi do pracy bez entuzjazmu, bez siły przekonań, a tomy dzieł Conrada w jego rękach są sztucznym rekwizytem. Już po kilkudziesięciu dniach przeżywa kryzys, a przecież był to pierwszy jego statek, pierwszy rejs, w którym normalnie wszystko pasjonuje. Z drugiej strony nowa sytuacja nie mogła go zaskoczyć. Musiał ją znać wcześniej z różnych źródeł. Chief — intrygant „afiszujący" się swym dziennikiem potknięć kapitana, jest postacią bliską karykatury. Sam pełen tajemnic kapitan nie odsłania się do końca. Wszystkoizm tematyczny, który miał podnieść temperaturę emocjonalną, oddala film od rzeczywistości. Bo czegoż tam nie ma: konfliktowe sytuacje, niezbyt motywowane przejawy buntu części załogi, kolacja sylwestrowa, sztorm, akcja ratownicza, która zmienia stosunek kapitana do asystenta i vice-versa, chrzest morski, egzotyczne porty, itd. A obraz morza? Zabrakło

w tym filmie perspektywy, oddechu, odkrytej przestrzeni, która przecież określa marynarską egzystencję. Sztampowe obrazy dziobu prującego fale i skaczących delfinów nie pogłębiają spojrzenia. Monolog bohatera wprowadzany niezbyt konsekwentnie nie zawsze brzmi przekonywująco, a nazbyt rozbudowane kolorowe ujęcia z portów zakłócają naturalne proporcje statkowi życia. „Martwa fala" traktowana jako film o życiu i pracy ludzi morza na nowoczesnym statku handlowym nie może przynieść satysfakcji. Twórcy nie potrafili nadać swym bohaterom, ich decyzjom i postępowaniu cech psychologicznego prawdopodobieństwa, a urzeczenie egzotyką odwiedzanych lądów jeszcze bardziej oddaliło ich od prawdy.

Przeniesienie na ekran powieści Józefa Conrada-Korzeniowskiego „Smuga cienia" (76 r.) było spowodowane — jak mówił Andrzej Wajda — potrzebą ukazania współczesnemu widzowi pewnych pozytywnych prawd moralnych, „czegoś co ma zasady". Emocjonalna potrzeba ujrzenia na ekranie literackiej wizji kusiła obietnicą „dotknięcia prawdy". Od pierwszych ujęć reżyser utażsamia bohatera z młodym Konradem Korzeniowskim, podkreślając jego polski rodowód listami od wuja i rodzinnymi fotografiami. Poznajemy go w ważnym momencie życiowym. Właściwie bez wyraźnych powodów opuścił swój dotychczasowy statek, gdzie pływał jako pierwszy oficer, chce wracać do kraju, zastanawia się nad swoją dotychczasową egzystencją. Otacza go egzotyczny dla nas świat Dalekiego Wschodu, ale reżyser nie podkreśla tej egzotyki, skupiając się na doznaniach bohatera. Nieoczekiwanie przyjmuje on propozycję objęcia funkcji kapitana na nowym statku. Z radością, ale i niepokojem podejmuje wyzwanie losu, walczy z różnymi przeciwnościami (zmęczenie, potem choroba załogi, brak wiatru, burze, samotność, wyczerpanie), jednak w końcu zwycięża — doprowadza statek do portu. Jest w tym filmie, który przenosi nas w czasy młodości Conrada, zmaterializowany w pięknych i dramatycznych obrazach bezpośredni kontakt ludzi morza z naturą, ich zależność od niej, walka z nią i końcowe zwycięstwo. Jest ukazana przestrzeń tak charakterystyczna dla życia i pracy na morzu, przestrzeń określająca bohaterów, będąca kontrapunktem ich przeżyć i refleksji. Twórca idąc za pisarzem przenosi nas w świat marynarskiej i ludzkiej psychiki, w świat dręczącej samowiedzy młodego człowieka przekraczającego „smugę cienia", noszącego na sobie z niepokojem i godnością brzemię dowództwa. Nie akcentując w filmie egzotyki ani dramatyzmu wydarzeń (tkwi on i rozwija się wewnątrz świadomości bohatera) reżyser odstępuje od „łatwej" dramaturgii, co czyni film mniej atrakcyjnym dla szerokiej widowni. Aprobuje ona w pełni postawę bohatera za jego zwycięstwo, ale nie wszystkie jego reakcje są zrozumiałe dla widzów nie znających pierwowzoru literackiego. Tak charakterystyczny dla wybranych bohaterów Conrada arystokratyzm ducha przemienia się w zmaterializowanej wizji filmowej w „arystokratyzm zachowań". Nie w pełni jest też zrozumiały zamknięty świat angielskich oficerów marynarki handlowej.

Powieść napisana jest w pierwszej osobie. To budzi pytanie, czy zastosowana w filmie próba monologu wewnętrznego harmonizuje z wizualną materią filmową? Wkraczamy z tą wątpliwością w problematykę adaptacji. Zachowania i gesty, będące w powieści wynikiem bogatego świata myśli i uczuć bohatera, w miarę jednoznaczne, w obrazie filmowym nabierają wieloznaczności. Tu wiele zależy od kultury widza, od jego wiedzy, wyobraźni i wrażliwości. Mimo takich czy innych wątpliwości dzieło Wajdy tak czyste w swych intencjach i pełne szacunku dla powieści Conrada jest w naszym filmie morskim zjawiskiem wyjątkowym i znaczącym.

W przeszłość odszedł świat żaglowców i statków parowych. Jeszcze tylko w pracy rybaków dalekomorskich pozostały pewne cechy zmagań z morzem w dawnej postaci, chociaż i tu punkt ciężkości przesunął się w kierunku „przygody ekonomicznej", której miarą jest „wielkość łupu wydartego morzu".

Rozwój techniki zmienił sytuację marynarzy. Mimo że wciąż nie brak tragicznych komunikatów o zatopionych tankowcach i zaginionych kutrach, naturalna dramaturgia rejsów tkwi dzisiaj nie tyle w gromadzeniu dramatycznych wydarzeń, co w codziennych doznaniach ludzi morza. A wpływają na nie długie rejsy, przeciągające się postoje na redach, krótkotrwałe i powierzchowne kontakty z obcymi portami, rozłąki z rodziną i krajem, częste obcowanie z odkrytą przestrzenią i... małą grupą ludzi oraz poczucie destabilizacji. Wszystko to może prowadzić do odczuwania samotności i wyobcowania, a także do idealizacji niektórych zjawisk lądowych.

Ale jest przecież jeszcze druga strona tej sytuacji: pozostał, chociaż w zmienionej postaci, kontakt z naturą, poczucie swobody i nadzieja ujrzenia egzotyki, duma z wykonywanej pracy, hartowanie charakterów, przysłowiowa morska solidarność, wreszcie opieka i uznanie społeczeństwa. Powyższe fakty zdają się dostrzegać niekiedy autorzy filmu dokumentalnego ale nie fabularnego. Ci ostatni nie próbują tropić istniejącego wciąż na morzu trudu i niebezpieczeństwa, nie starają się oddać codziennych doznań marynarzy, ich zajęć. Co jest tego przyczyną? Nieznajomość środowiska? Niedostatki techniki filmowej? A może świadomość faktu, że film nie osiągnął jeszcze pełnej możliwości budowania pojęć i w tej sytuacji jedyną szansą na „dotknięcie" prawdy jest miara talentu twórcy?

ZGR

ZGR

Foto: M. Czasnojć

Z okazji Dni Morza
najlepsze życzenia
wszystkim pracownikom i ich rodzinom
składa
Dyrekcja Zjednoczenia Gospodarki
Rybnej

Zasób wiadomości określanych mianem nauki wiązał się zawsze z mozolnie zdobywanym doświadczeniem pokoleń, z ich empiryczną wiedzą, niejednokrotnie potwierdzaną przez naukę. Czasem rodziły się nowe prawdy, zmuszające prędzej czy później do całkowitego przewartościowania licznych, przedtem długo obowiązujących pojęć. Nie wszystko bywało natychmiast akceptowane, dzieje nauki znają duże, czasem długotrwałe opory, nie zawsze już dziś zrozumiałe.

Nauka rozrosła się bardzo szybko w ciągu ubiegłych stu lat. Rozwój poszczególnych gałęzi nauki nie kroczył równolegle, wszystkie jej dziedziny są jednak wzajemnie powiązane z sobą, stanowią gigantyczną całość.

Thomas Huxley, biolog zmarły u schyłku XIX stulecia orzekł kiedyś trafnie, że nowa prawda jest na początku herezją, kończy zaś swój żywot jako ortodoksja, ustępująca miejsca nowym zdobyczom.

Bywają odkrycia błyskotliwe, głośne, absorbujące uwagę szerokich kręgów, obok nich, liczniejsze bodaj, jeśli w ogóle dostrzeżone, są rejestrowane bez odzewu i chowane pod zielone sukno, jeżeli dostały się na urzędową drogę. Co jednak w gruncie rzeczy jest bardzo ważne i co ważne czy drugoplanowe?

Wprowadzenie łatwej do prania bielizny, tak jak oszklenie pomieszczeń mieszkalnych, umożliwiające słońcu dotarcie do każdej izby, dały swego czasu więcej, niż znane wtedy leki. W opanowaniu bardzo licznych i powszechnych chorób słońce i higiena osobista były skuteczniejsze od niejednej teorii medycznej.

Gdy James Cook w trakcie swej drugiej wyprawy (r. 1772) stracił tylko jednego marynarza, wzbudziło to podziw większy nawet, niż kolejne opłynięcie Ziemi. O dwa i pół stulecia wcześniej, z 265 ludzi towarzyszących Magellanowi, wróciło do San Lucar zaledwie 18; o ćwierć wieku wcześniej Vasco da Gama utracił 100 ludzi spośród 160 (r. 1498), podobnie Lancaster (r. 1601), czy przed wyprawą Cooka admirał Anson: podczas podróży dookoła świata wyginęło na szkorbut cztery piąte załogi.

Marynarze coraz częściej opowiadali sobie o nowej zarazie, uchodzącej na kontynencie uwagi lekarzy. Nie budzące zastrzeżeń i dokładne opisy szkorbutu pochodzą co prawda z XIII wieku. Opisujący wyprawy krzyżowców Jacques de Vitry wskazywał, że podczas długiego oblężenia Damietty pojawiła się „gangrena atakująca zęby i dziąsła", to samo zaprzątnęło uwagę Joinville'a, gdy wojska Ludwika IX oblegały Kair (r. 1250). Na kontynencie nie zainteresowano się tymi opisami bądź potraktowano jako egzotyczną ciekawostkę, jedną z wielu.

Istotę szkorbutu można było poznać dopiero w naszym stuleciu, doświadczone narody morskie, jak na przykład Holendrzy, na długo przez znalezieniem wytłumaczenia naukowego, znali już profilaktykę. U schyłku XVI stulecia statki holenderskie zawsze były zaopatrzone w świeże jarzyny i owoce. Spostrzeżenia Holendrów zostały zupełnie przeoczone przez Anglię i Francję. Medycyna szkolna nie znała tej choroby. Nie było przekazów grecko-rzymskich czy arabskich.

Długo trwało, zanim człowiek pierwotny nauczył się odróżniać rośliny jadalne od trujących, zawsze i tak odżywiał się pokarmem mieszanym. Albo ginął. Nie zawsze szkorbut był jedynym czynnikiem zagrażającym ludziom odciętym od lądu, czasem pojawiał się głód. Chyba to zupełnie zrozumiałe, że admirał Hawkins nakazywał przed wyprawą: „Serve God daily, love one another, and preserve your victuals" (r. 1562)?

Właśnie w wyprawie Magellana większą rolę niż szkorbut odegrał głód. Gdy z końcem listopada 1520 roku okręty wpłynęły na ocean, nazwany przez Magellana Spokojnym, nikt nie był w stanie przewidzieć, że można będzie dostrzec ląd dopiero po bez mała stu dniach żeglugi.

Kto zechce poszukać w encyklopedii, kim był Fernão de Magalhães, natrafi przy tej sposobności na bardzo popularne nazwisko Julius Maggi. To szwajcarski przemysłowiec, od r. 1897 produkujący koncentraty spożywcze. Zwykłe konserwy wynaleziono niewiele wcześniej: Nicolas Francois Appert (1750—1840), zachęcony przez Bonapartego opracował w r. 1804 metodę konserwowania żywności, preparowanej w szklanych słojach. Doświadczenia swe opublikował w r. 1810.

ROMUALD WIESŁAW GUTT

Jeść i wiedzieć o tym...

Zdolności strategiczne dowódców nie są czynnikiem błahym, może jednak nie pozostało bez znaczenia, że w r. 1813 Wellington zaopatrzył armię angielską w konserwy mięsne?

W połowie ubiegłego stulecia szkło zastąpiono puszkami metalowymi i konserwy, w zbliżonej do dzisiejszej postaci, choć bardzo wtedy drogie, mogły już znaleźć się w zapasach ludzi wyruszających w dal.

Stopniowo nauczono się sporządzać koncentraty (wspomniany już Maggi i liczni konkurenci, o pół stulecia wcześniej chemik Justus Liebig, starający się zagęścić bulion), jeszcze mniej kłopotliwe w transporcie czy w użyciu. Na dłuższą metę nie mogły zastąpić świeżego pożywienia, stanowiły w każdym razie cenną zdobycz. Na początku naszego stulecia zwrócono uwagę, że obok białka, tłuszczu i węglowodanów pożywienie musi zawierać jeszcze nieokreślone bliżej składniki dodatkowe („accessory food factors"; Frederick Gowland Hopkins (1867—1947); polski uczony Kazimierz Funk (1884—1967) tuż przed pierwszą wojną nazwał je witaminami. Poznanie ich składu chemicznego nastąpiło już szybko.

Załogę Magellana czekała jednakże śmierć głodowa. Antonio Pigafetta, przyjaciel Magellana, pozostawił dramatycznie brzmiącą relację. Gdy resztki sucharów rozpadły się w proch, cuchnący mysim moczem i pomieszany z robakami, załoga sięgnęła po wyschnięte płaty skóry wołowej, wymagającej uprzedniego zmiękczenia w wodzie morskiej. Do żucia mogły się nadawać dopiero po czterech czy nawet pięciu dniach. Poszukiwano nadal trocin, najwyższą cenę osiągały myszy: pół dukata za sztukę. Gdziekolwiek by to było, wartością towaru rządzą klasyczne prawa ekonomiczne...

Skądinąd katastrofy głodowe zdarzały się i w naszym stuleciu. Doświadczyła tego załoga żaglowca dowodzonego przez Jamesa Bineta w r. 1903. Najpierw zabrakło kawy. Zastąpiono ją wysuszonymi, zmielonymi na proszek sucharami. Nastąpiło stopniowe zmniejszanie racji pożywienia, wreszcie zabrakło tytoniu. Zagrażał bunt. Kajuty oficerskie zostały dokładnie przeszukane, nic jednakże z tego. Pozostała w końcu resztka wyschniętych sucharów. Rzucono je na patelnię, z dodatkiem zjełczałego tłuszczu, wyskrobanego z dna kotłów. Pomieszczenie kuchenne wypełnił cuchnący dym i swąd. Zgłodniali ludzie wycofali się na pokład, potem jednak łapczywie rzucili się na tę obrzydliwą namiastkę pożywienia, jedli i zapewniali, że jest smaczne, a może nawet pożywne. Kapitan Binet wspomina, że po spożyciu odrobiny poczuł się bardzo chory, ogarnęły go silne torsje...

Katastrofa. Nawet gdy brana uprzednio pod rozwagę, trudna do przewidzenia w szczegółach. Kto jednak mógł przewidywać jeszcze inne doświadczenia: systematycznie postępującą, powolną chorobę głodową za drutami kolczastymi? Wiadomo, co w czasie drugiej wojny czynili ludzie zmuszeni do przebywania za nimi, by zdobyć odrobinę pożywienia; wiadomo, co jedli.

Nie wiemy, jakie bodźce skłoniły ludzi jaskiniowych do twórczości malarskiej, czy to był tylko rytuał, czy odczuwanie wewnętrznej potrzeby? Jeśli pierwsze dzie-

ła sztuki powstały w skojarzeniu z obrządkiem, to z obrządkiem łowieckim, zatem z poszukiwaniem żywności. Mężczyźni polowali, kobiety zajmowały się uprawą roli. Sztuka kulinarna była owocem setek czy tysięcy lat doświadczenia. Powstały tradycje i nawyki właściwe poszczególnym rejonom, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Zdobywanie pożywienia nie było łatwe, odpowiednio twarde były reguły współżycia ludzi.

Sprawy niemiłe, czy z naszego punktu widzenia odrażające, wspomina się raczej niechętnie, dość rzadko więc bywa cytowana stara opowieść, że na wyspie Hydra istniał zwyczaj pozbywania się starych, zniedołężniałych ojców: synowie umieszczali ich w specjalnych koszach i strącali ze skały nadmorskiej. Pewnego dnia stary człowiek rzekł przed tą dla nas wstrząsającą ceremonią:

„Przechowaj dobrze ten kosz, mój synu, aby dzieci twe, gdy ty się zestarzejesz, miały z czego skorzystać..."

Od tej pory obyczaj ten miał zniknąć. Ile jest prawdy w takiej legendzie? Każda opowieść zawiera przynajmniej jądro prawdy. Mity i legendy odzwierciedlają obyczajowość epoki. Aby zrozumieć rozwój społeczeństw, nie wystarczy podziwiać kolumny Partenonu czy zachwycać się geometryczną doskonałością piramid. Marginesowo: jakże ciekawa byłaby „konferencja okrągłego stołu" poświęcona mitologii, gdyby wyczyny przypisywane bogom olimpijskim omówili prokurator, obrońca i lekarz?

Człowiek był i jest zlepkiem przeciwieństw. Odwaga i tchórzostwo, mądrość i głupota, geniusz twórczy i niszczycielskie szaleństwo tworzą splot daleki od symetrii. Obok krwiożerczości jawiło się miłosierdzie i współczucie, jedno i drugie nierzadko w postaciach skrajnych; zrodziła się także pomoc wzajemna, a wszystko było owocem doświadczenia. Na nim oparła się także wiedza o zdrowiu i chorobie. Dużą rolę odgrywały tu sprawy odżywiania, jakkolwiek określenie „dieta" ma w starogreckiej medycynie nieco odmienne znaczenie, obejmuje całokształt higienicznego życia, nie tylko sprawy doboru pokarmu.

Wiedzę starożytnych znamy niejednokrotnie tylko z fragmentów, długo trudnych do wytłumaczenia, długo niezrozumiałych. Empiria przodków zyskuje czasem pełne uzasadnienie.

Obok pokarmów zalecanych i chwalonych, zawsze istniały niedozwolone. Zakaz ma lepszą siłę oddziaływania niż apelowanie do rozsądku, wiedziano o tym zawsze. Zabraniano spożywania określonych pokarmów w oparciu o przesłanki trudne czasem do uzasadnienia. Uczniów Pitagorasa obowiązywała przysięga, zawierająca pewien niezrozumiały punkt. Uczniom tym nie wolno było spożywać bobu, czy nawet przebywać na zasianym nim polu. Po spożyciu bobu, u niektórych, w basenie śródziemnomorskim nawet dość licznych osób, może wystąpić żółtaczka, mocz przybiera ciemną czy nawet czarną barwę, przebieg choroby bywa czasem ostry i kończy się śmiertelnie. Czy oprócz Pitagorasa ktoś jeszcze zwrócił na to uwagę? Bezspornie, tak. Spostrzeżenia musiały być nie tylko częste, lecz i dokładne. Od połowy lat pięćdziesiątych naszego stulecia wiemy, że nie były przykładem błędnego wyprowadzania przyczyny i skutku ze zwykłego następstwa w czasie; przeciwnie, zakaz był owocem starannych obserwacji.

W r. 1894 opisano taki zespół chorobowy, opatrzony mianem fawizm (bób Vicia fava). W reakcjach zachodzących w żywym organizmie biorą udział biokatalizatory. Należą do nich wspomniane już witaminy oraz bardzo liczne enzymy (fermenty). Zjawisko katalizy opisał w r. 1835 Jöns Jacob Berzelius, szwedzki lekarz zajmujący się chemią. Jego dwusetna rocznica urodzin przypada w sierpniu bieżącego roku. Powstały wtedy zawiązki enzymologii, dziedziny niezwykle ważnej dla patologii czy diagnostyki. Enzymy, cechujące się swoistością grupową lub przestrzenną zawiadują procesami przegrupowywania wewnątrzcząsteczkowego, inne procesami oksydoredukcyjnymi, hydrolitycznymi bądź przenoszeniem czy odszczepianiem różnych grup chemicznych. Można stwierdzić, że bez znajomości natury ludzkiej, a więc psychologii, medycyna nie mogłaby nigdy być sztuką, bez chemii natomiast absolutnie nie mogłaby stać się nauką.

Za naszych dni, w połowie lat pięćdziesiątych, stwierdzono, że bób Vicia fava zawiera pewien związek pirymidynowy oddziałujący na krwinki czerwone osób cechujących się niedoborem jednego z enzymów*. Typ śródziemnomorski stanowi jedną spośród znanych dziś ponad stu odmian tego defektu enzymatycznego. Po spożyciu bobu czy nawet po wdychaniu pyłu kwiatów tegoż mogą występować ostre przełomy hemolityczne, niejednokrotnie kończące się śmiercią.

Nie zawsze, niemniej w V stuleciu p.n.e., gdy nie było żadnych ścisłych kryteriów do różnicowania, bystry obserwator mógł, czy nawet musiał pozwolić sobie na uogólnienie, stąd zakaz. Długo nie znano istoty zagadnienia i oto znów, kolejny raz, empiria i nauka podały sobie dłoń.

Jedzenie może smakować, czasem może bardzo zaszkodzić.

Człowiek może być uczulony na liczne substancje zawarte w pokarmach czy w otoczeniu. Reakcję na kontakt z nimi nazywamy alergią. Także i tu spostrzeżenia i opisy są starej daty. Montaigne pisał (r. 1572):

„Widziałem takich, którzy umykali przed zapachem jabłek bardziej niż przed pukaniną z rusznic (...), innych, którzy dostawali wymiotów na widok śmietany; inni, toż samo, gdy widzieli jak ściele się puchowe łóżko (...). Być może, iż jest w tym wszystkim jakowaś tajemna przyczyna..."

Była, podobnych przykładów z tego zakresu było sporo. Próby tłumaczenia zawodziły. W r. 1898 fizjolog Charles Richet (1850—1935) zauważył, że psy często bardzo źle znoszą drugie lub trzecie wstrzyknięcie obcej gatunkowo surowicy. Czasem występowały objawy ostrego wstrząsu. Richet uznał, że zachodzi jakiś błąd metodologiczny i przerwał doświadczenia. Minęły od tego czasu trzy lata, książę Monako Albert zaprosił Richeta i jego współpracownika Pawła Portiera na wyprawę jachtem „Alice II", wyposażonym w laboratorium badawcze. Celem wyprawy było zbadanie fauny morskiej, m. in. stwierdzenie, jakie dawki wydzielin meduzy mogą być szkodliwe dla psów. Po powrocie do Paryża uczeni kontynuowali doświadczenia, posługując się wyciągiem z roślin rosnących w jeziorach. Pierwsze wstrzyknięcie mogło nie dawać żadnych objawów, po następnym występowały zawsze. Francuscy badacze odkryli nowe w nauce zjawisko, przedstawione Towarzystwu Biologicznemu w lutym 1902 r. Nazwano je anafilaksją, stąd już tylko krok do poznania alergii, opisanej przez Klemensa Pirqueta (1874—1929) w r. 1906. Nieco wcześniej Maurycy Arthus dostrzegł, że w procesach tych zasadniczą rolę odgrywa nie trucizna, zawarta w wyciągach, lecz po prostu obce białko. Powstała nowa gałąź medycyny.

Następstwem uczulenia może być wstrząs, czasem nawet bardzo silny, bywa i tak, że jedynym objawem jest wystąpienie swędzącej wysypki. Kto tego doświadczył, wie już, na co jest uczulony i w jaki czas po spożyciu pokarmu (na przykład jaja kurzego, poziomek i in.) pojawi się wysypka. Wszystko co ludzkie, można eksploatować. Uczynił tak w XV wieku Ryszard, mianowany przez Edwarda IV księciem Cloucester. Po śmierci króla (r. 1483) Ryszard został regentem. Synowie zmarłego monarchy liczyli sobie 12 i 10 lat. Dla regenta, okazującego apetyt władczy, nie było to wygodne. W jaki sposób miał osiągnąć władzę? Wiek XV to wiek magii, szatana, czarownic...

Ryszard wiedział od dziecinnych lat, że mniej więcej w godzinę po spożyciu poziomek występuje na jego ciele wysypka, z dużymi, czerwonymi wykwitami na przedramionach. Wysypka jedynie swędząca, nic więcej, wykwity skórne rzucały się łatwo w oczy.

W trzecim miesiącu panowania książę regent zwołał posiedzenie rady koronnej. Lipiec; wniesiono tacę odświeżających poziomek, chętnie sięgał po nie każdy, kto miał ochotę. Toczyły się obrady, po upływie godziny Ryszard poczuł swędzenie. Ukazał zebranym plamy i wysypkę: skądże się wzięły? Jedno tylko dopuszczalne wytłumaczenie: wśród zebranych ponad wszelką wątpliwość znajdują się truciciele i czarownicy, należy zatem uczynić natychmiast porządek!

Stracono obu małoletnich synów Edwarda IV, regent koronował się jako Ryszard III, parlamentowi nie pozostało nic innego, jak zatwierdzić koronację. Wysypka alergiczna pomogła zdobyć władzę. Obok zwykłego, prozaicznego głodu, bardzo potężny bywał w ciągu dzie-

* Idzie o niedobór dehydrogenezy glukozofosforanowej, nie zawsze oczywiście pociągający za sobą przełomy hemolityczne.

jów również głód władzy. Różne bywały metody jej zdobywania.

Bywają więc rozmaite spostrzeżenia czy odkrycia rejestrowane bez odzewu. Chowane, jak się rzekło, pod zielone sukno. Tak było ze szkorbutem. James Lind (1716—1794), szkocki chirurg, przeprowadził na statku „Salisbury" liczne doświadczenia; udowodnił, że podając chorym na szkorbut pomarańcze i cytryny, można szybko osiągnąć wyleczenie; gdy sok owoców podaje się zdrowym, można nie dopuścić do zachorowania. Na pokładzie „Salisbury" zjawili się nawet przedstawiciele admiralicji angielskiej, tyle jedynie, że nie zdobyli się na żadną decyzję. Lind ogłosił w r. 1752 w Edynburgu „Traktat o szkorbucie", również bez echa. Występujące u marynarzy choroby raz jeszcze dokładnie opisał lekarz marynarki Gilbert Blane (1749—1834). Uczynił to w r. 1785, lecz dopiero u schyłku stulecia zdołał przeforsować swoje postulaty. Obok niego czynił starania w tej sprawie inny lekarz marynarki, Tomasz Trotter (1761—1834). Podczas wojen napoleońskich marynarze angielscy otrzymywali już profilaktycznie sok owocowy. Zdumiewa, że admiralicja francuska i pruska zainteresowała się tymi sprawami dopiero w połowie XIX wieku. Po eksperymentach Linda nikt w gruncie rzeczy nie mógł już mówić, że nie zna sposobu zapobiegania czy leczenia szkorbutu. Objawy tej choroby były znane, jak wspomniano, już z XIII-wiecznych kronik. Nie były znane wszystkim, trudno było o upowszechnianie książek przed wynalezieniem druku. Nie brakowało jednakże nowszych opisów. Luis Vaz de Camões, portugalski poeta, długo przebywający na wygnaniu, zwrócił uwagę na tę straszliwą chorobę w „Luzjadach" (r. 1572), protugalskiej epopei narodowej, przedstawiającej wyprawę Vasco da Gamy. Nie przypuszczano wtedy, że szkorbut mógłby być następstwem niedoborów pokarmowych. Długo zresztą, nawet jeszcze dziewięćdziesiąt lat temu, był uważany za chorobę zakaźną. Obok niezwykle cennych i w pełni potwierdzonych spostrzeżeń sprzed lat czy stuleci, można dostrzec bardzo liczne przeoczenia, jak i wadliwą interpretację wielu z dzisiejszego punktu widzenia bardzo oczywistych prawd. Zakaźne tło gruźlicy na przykład trzeba było udowodnić eksperymentalnie w latach sześćdziesiątych XIX wieku. Można być nosicielem prątka gruźlicy, nie wiedząc o tym zupełnie i nie chorować, nie można na nią zapaść bez zakażenia. Ludzie wiedzieli w zeszłym stuleciu, że gruźlica może się „udzielić", oficjalna medycyna nie chciała o tym jednak długo wiedzieć. Inną chorobę wywoływaną przez drobnoustroje, wściekliznę, długo uważano za chorobę umysłową.

Szkorbut przestał być „przywilejem" ludzi morza, zaczął bowiem coraz częściej pojawiać się na lądzie, wśród ludzi oblężonych w miastach czy twierdzach (Quebec, 1759; Paryż, 1871 i in.) oraz w armiach. Austriacki lekarz wojskowy Johann Georg H. Kramer podał bardzo wnikliwy opis masowych zachorowań w trakcie walk toczonych na Węgrzech w latach 1734—1735. Choroba atakowała w ubiegłym stuleciu również noworodki i dzieci, o czym świadczą spostrzeżenia Juliusza Moellera z lat 1856—1860, potwierdzone w wielu ośrodkach. Tę samą chorobę opisał następnie Tomasz Barlow (1882—1883) i szkorbut dziecięcy był potem nazywany chorobą Moellera-Barlowa. Pozostały nam opisy uczt i wystawnych przyjęć z XVII czy XVIII wieku. Trzeba pamiętać, że nie można i tu niczego uogólniać. Przeciętny jadłospis z tamtych czasów ukazuje, że jedzenie mogło być zaledwie wystarczające kalorycznie, gdy idzie o poszczególne składniki, trzeba by często mówić o progu niedoboru.

Nauka o środkach odżywczych jest stosunkowo świeżej daty. Fizjolog Francois Magendie (1783—1855) dokonał pierwszego podziału środków spożywczych na zawierające azot (czyli białka, od r. 1838 nazywane proteinami) oraz pozostałe (węglowodany i tłuszcze) w trzy lata po klęsce Bonapartego. Wartość kaloryczną pokarmów zdołano poznać w drugiej połowie ubiegłego wieku (Karol Voit, Max Rubner i in.). Mikołaj Łunin (1854—1937) podjął w Bazylei badania nad wpływem poszczególnych rodzajów żywności i stwierdził w r. 1881, że nawet wysoko kaloryczna dieta nie wystarcza, jeżeli zwierzęta doświadczalne będą karmione wyłącznie środkami syntetycznymi. Nie skojarzono wtedy tych badań z doświadczeniami wspomnianych uprzednio lekarzy morskich.

Rozpoczęły się wówczas dokładne badania gospodarki wodnej organizmu (Voit) oraz przemiany materii w stanach niedożywienia (L. Lucciani) bądź odwrotnie — przekarmienia (E. Pflüger). Ilość białka pokarmowego konieczną dla dorosłego, określoną jako „białkowe minimum higieniczne" oznaczył Rubner w roku wybuchu I wojny światowej.

Od połowy XIX stulecia gromadziła się również wiedza o składnikach mineralnych, nieodzownych do utrzymania równowagi fizjologicznej. Niedobór wapnia na przykład został określony jako przyczyna krzywicy, nazywanej „chorobą angielską", bez mała pół stulecia przed wykryciem witaminy D i wtedy dopiero można było stwierdzić, że niedobór wapnia jest następstwem, nie przyczyną tej choroby, wynikającej z niedoboru wspomnianej witaminy. E. Mellanby oraz E. V. Mac Collum udowodnili to z początkiem lat dwudziestych bieżącego stulecia. Minęło jeszcze kilka lat, zanim przekonano się, że do uczynnienia zawartych w tłuszczach związków przeciwkrzywicznych nieodzowne jest słońce i mało kto zwrócił uwagę, że polski uczony Jędrzej Śniadecki (1768—1838) o sto lat wcześniej powiązał przyczynowo krzywicę z brakiem słońca. Wiadomości gromadziły się stopniowo, można powiązać poszczególne spostrzeżenia oceniając wstecz. Dostrzega się wtedy, jak bardzo ważna jest wymiana doświadczeń pomiędzy ludźmi nauki.

Po ogłoszeniu prac Kazimierza Funka, w szczególności po zakończeniu I wojny, zaczęły się intensywne badania nad witaminami. Wśród poszukiwanych niezwykle ważny był czynnik przeciwszkorbutowy, zawarty w świeżych owocach i jarzynach, nazwany przez J. C. Durmmonda witaminą C (r. 1919). Wielu uczonych, wśród nich najbardziej zaawansowany Artur Harden (1865—1940), czyniło próby zagęszczania soków i zdołano poznać niektóre właściwości poszukiwanej substancji, nie mając jednak możliwości otrzymania jej w stanie krystalicznym.

W r. 1928 budapeszteński uczony Albert Szent-Györggyi (ur. 1893), przebywający wtedy w Groningen, wyizolował z kory nadnerczy substancję nazwaną „ignozą", przemianowaną następnie na kwas heksuronowy. Szent-Györgyi i Walter Norman Harworth (1883—1950) określili skład chemiczny tego związku (r. 1932). Okazało się, że jest to właśnie tak długo poszukiwana witamina C, od tego czasu nazywana kwasem askorbinowym. Obaj uczeni otrzymali w r. 1937 nagrodę Nobla.

Wiek XIX przyniósł wiekopomne odkrycia. Nie wzięło się to wszystko z dnia na dzień. Potrzebne były również doświadczenia przeszłości. Pięknie to wyraził Bernard z Chartres w XII stuleciu:

„Jesteśmy karłami, którzy wspięli się na ramiona olbrzymów — mówił. W ten sposób widzimy więcej i dalej niż oni, ale nie dlatego, żeby wzrok nasz był bystrzejszy lub wzrost słuszniejszy, lecz dlatego, że oni dźwigają nas w górę o całą swoją gigantyczną wysokość..."

Prawidłowe odżywianie jest warunkiem zdrowia, spożywanie pokarmów sprawia nadto przyjemność. Kilka naszkicowanych tu przykładów ukazało, jak mozolny był rozwój nauki o odżywianiu.

Człowiek jest członem przyrody, o czym niejednokrotnie zapomina. Jest zależny od rytmu biologicznego, jak wszystkie stwory żyjące. Niepodobieństwem jest najedzenie się „na zapas". Dowóz potrzebnych substancji, budulca i katalizatorów musi być równomierny.

Gdy zachodzi potrzeba korzystania z konserw, wiadomo dziś, że na dłuższą metę obok nich będą potrzebne również witaminy. W każdym razie podróżnik czy turysta nie ma przed sobą problemów tu naszkicowanych. Wiedza postępuje naprzód, rozwija się technika, zachodzą bezustanne zmiany. Do pożywienia ludzi czy do paszy zwierząt dostają się obecnie różne substancje naturalne czy syntetyczne, pociągające za sobą skażenie środowiska. Może to być niezmiernie ważne nie tylko dla nas, żyjących współcześnie, lecz i dla następnych pokoleń. Medycyna nie dorównuje naukom technicznym, ma jednakże wiele doprawdy wspaniałych osiągnięć. Wiemy, co może pociągnąć za sobą niedobór czy brak poszczególnych substancji, wiemy również, które substancje są szkodliwe i ten dział nauki rozwija się bardzo szybko. Wiedzieć coś, to już wiele: stare przysłowie mówi, że „kto jest ostrzeżony, już jest uzbrojony".

STANISŁAW TELEGA

Czy „literatura okaleczona"? o granicach autonomii dzieła literackiego

Kilkanaście lat temu opinię literacką kraju poruszył spór o poprawność edycji „Pism wszystkich" Aleksandra Fredry. Spór nie byle jaki, bo dotyczący klasyka naszej literatury, Aleksandra Fredry i klasyka edycji naukowych dzieł literackich, St. Pigonia. Warto przypomnieć, że wtedy — w roku 1955 — zarzucono Pigoniowi, iż jako wydawca naukowy „Pism wszystkich" dosłownie „zubożył" twórczość Fredry, ponieważ z edycji mającej objąć wszystkie jego dzieła usunął wszystkie — z wyjątkiem jednego — tzw. utwory obsceniczne, przy czym nawet w tym jednym swawolnym utworze poddał pewnej cenzurze ów utwór zaznaczając to otwarcie w uwagach swej edycji.

Jeden z ówczesnych oponentów Pigonia w tej dyskusji, doc. J. Łojek, nazwał edycję Pigonia „literaturą okaleczoną", a inny, prof. B. Zakrzewski, jeszcze niedawno rozdzierał szaty naukowe w „Pamiętniku Literackim" wołając m.in. „Czy można jednak tak bezceremonialnie obchodzić się z tekstem literackim"? [1]

Pigoń odpowiedział wówczas, w roku 1955, dwukrotnie, przy czym jedna z jego wypowiedzi nosi znamienny tytuł „Czy okaleczyłem Aleksandra Fredrę?" [2]. Pigoń przyznał, że świadomie usunął obsceniczne utwory Fredry wychodząc z założenia, że „nie mają (one) wartości literackich" i że sam autor nie uważał ich za „utwory ambitne" i że dlatego w wydawnictwie zbiorowym swych dzieł, jeszcze za życia, pominął je całkowicie.

Tak więc kryterium braku wartości literackich i braku ambicji literackiej przy tworzeniu tych wierszy stały się dla edytora główną, choć nie jedną podstawą ingerencji w tekst cudzego i to wielkiej miary autora.

Są to kryteria bardzo nowoczesne w edytorstwie. Naruszają bowiem stary kanon edytorski, zwany „editio ne varietur", według którego w „pismach wszystkich" danego autora muszą być zamieszczone wszystkie utwory tego autora bez względu na ich wartość czy ważność. Nowoczesne także dlatego, że Pigoń opiera się tu — świadomie czy nieświadomie — na Ingardenowskim rozróżnianiu „dzieł sztuki literackiej" jako jedynie godnych rozważań literaturoznawczych od zwykłego „dzieła literackiego" nie mającego ambicji literackich.[3]

Przy okazji warto, choć pobieżnie, zwrócić uwagę na podobne, choć na innej zasadzie, ingerencje inscenizacyjne teatralno-filmowe nasilające się w ostatnich latach w sposób przedtem nienotowany. I tu przedmiotem ingerencji są dzieła literackie, przy czym „okaleczenia", jakiego dokonał Pigoń na Fredrze są minimalne w porównaniu np. do „okaleczeń" Wajdy w „Ziemi obiecanej" czy Hanuszkiewicza w „Balladynie". Wspólne są tu znamienne odejścia od samej „litery" dzieła, od świętej nienaruszalności tekstowej. Jesteśmy więc świadkami np. „dopisywania" innego niż w pierwowzorze zakończenia dzieła, dodawania lub odejmowania całych scen i epizodów, zmian rysów charakteru postaci, itp. Te reżyserskie ingerencje w podstawowy tekst dzieła literackiego świadczą o daleko posuniętej zmianie w podejściu do autonomii dzieła literackiego, jednak nie zmieniają one w niczym samej drukowanej substancji dzieła literackiego, dlatego zagadnienie to stanowi charakterystyczny, odrębny problem.

Inaczej przedstawia się sprawa, gdy tę substancję — z tych czy innych względów — zmienia ingerencja innego autora czy krytyka-edytora, względnie jakiegoś „opiekuna literackiego" (wyłączam tu cenzora, bo to zupełnie odrębna sprawa). W tej sytuacji mamy do czynienia z dwoma — z grubsza biorąc — rodzajami przypadków literackich. Pierwszy dotyczy ingerencji w teksty pisarzy już literacko ukształtowanych, drugi — w teksty pisarzy-samouków.

DWA PRZYKŁADY: M. SAMOZWANIEC I M. CHOROMAŃSKI

Są to przykłady najświeższej daty i dotyczą pisarzy znanych, literacko od dawna uformowanych. Pierwszy, z M. Samozwaniec, opisał znany krytyk H. Vogler w artykule pt. „Madzia czyli radość życia".[4]

„Wkrótce potem — pisze Vogler o pierwszej powieści Magdaleny Samozwaniec — przyniosła maszynopis do wydawnictwa. Niestety, po przeczytaniu całości **okazała się ona raczej zlepkiem dość chaotycznych fragmentów, pozbawionych przejrzystości i świadomego ciągu kompozycyjnego.** Po dyskusjach z Janem Błońskim, który podjął się redakcji książki, **zdecydowaliśmy wspólnie zasadę opracowania. Błoński uporządkował tekst, podzielił go na rozdziały i zaopatrzył tytułami.**

Tak powstała „Błękitna krew". Na karcie tytułowej pierwszego egzemplarza książki, ozdobionej rysunkami Mai Berezowskiej, czytam dziś dedykację. „Nie ten jest ojcem, czyt. matką, ponoć, który dziecko urodzi — ale ten, **który je wychowa, drogiemu ojcu** zatem „Błękitnej krwi", Henrykowi Voglerowi — Magdalena Samozwaniec".

I oto powstaje pytanie: ile w tym poprawieniu „zlepków dość chaotycznych fragmentów" czy też w nadawaniu książce „świadomego ciągu kompozycyjnego" było pracy obu wybitnych krytyków? I co oznacza sformułowanie o „uporządkowaniu tekstu"? Ile w tych określeniach mieści się skreśleń, a ile dopisywania poszczególnych zdań, a może i całych fragmentów? Faktem jest, że mimo współpracy obu krytyków książka jest słaba, gdyż była ona już w swym założeniu książką słabą. Tym niemniej wkład pracy obu krytyków, zwłaszcza Voglera, musiał być znaczny, skoro autorka wyraziła w dedykacji tak niedwuznaczne i uczciwe podziękowanie — „drogiemu ojcu".

Podobny charakter „emendacji tekstowej" nosi wydana pośmiertnie powieść autora o nieporównanie wyższej klasie literackiej, Michała Choromańskiego, pt. „Anatomiczny atlas miłości". Autor nie zdążył za życia opracować ostatecznie tej książki, zawierającej dużo obscenów i rozbuchanego erotyzmu, dlatego po jego śmierci żona uznała, że należy dokonać w niej znacznych, poprawek i zmian, powierzyła więc to zadanie znanemu krytykowi, W. Sadkowskiemu, który tak o tym napisał we wstępie do powieści. W „Anatomicznym atlasie miłości" ta miara... (dotycząca wybujałego rozwoju bachicznych i erotycznych pier-

wiastków) sięgnęła chwilami poza granice „dobrego smaku"... Toteż na edytora tej powieści spadł obowiązek smutny i krępujący, ale **według jego sumienia nieunikniony — dokonania w maszynopisie pewnych niewielkich skrótów eliminujących zbędne z punktu widzenia logiki narracyjnej utworu dygresje i tuszujących momenty, w których ów dobry smak cierpiał niezasłużone poniżenie".**

Czy te — jak pisze dalej Sadkowski — **„zmiany i przeredagowania"** wyszły powieści na dobre czy też ją „zubożyły" i „okaleczyły" — trudno w zasadzie przesądzać, gdyż Sadkowski nie omawia i nie ocenia tych obscenów, tak jak Pigoń, z punktu widzenia ich literackich wartości, lecz według kryteriów „dobrego smaku", co jest pojęciem dość dwuznacznym.

OD WOJCIECHOWSKIEGO DO NECLA I PAPUGI

Klasycznym niejako przykładem z tego okresu jest wielkopolski robotnik, Jakub Wojciechowski, „klasyk w robotniczej bluzie", jak go nazwał wówczas, a potem wylansował w tej właśnie aureoli, Boy-Żeleński. To on określił pamiętniki Wojciechowskiego jako książkę o „ogromnej wartości literackiej" i nadał jej wielki rozgłos, autora zaś otaczał opieką i przez wiele lat skłaniał do samokształcenia pragnąc jego wykreować na pisarza. Sąd Boya był jednak przesadny, a ekscytacja talentem Wojciechowskiego poczęta trochę spoza literackich źródeł. Dlatego mimo wielu lat wzruszającego nieraz „opiekuństwa literackiego" — jak świadczy o tym choćby ponad sześćdziesiąt listów Boya do Wojciechowskiego — mimo próby kształcenia Wojciechowskiego przez systematyczne dostarczanie mu książek i udzielanie wskazówek literackich, — a potem wyraźniej, pozaliterackiej pomocy w wydaniu drugiej książki — nie udała się Boyowi — bo udać się nie mogła — Pigmalionowska sztuka ożywienia w Wojciechowskim pisarza. Kto wie nawet czy nie byłoby lepiej, gdyby w tej sytuacji Boy dokonywał większej ingerencji — niż to czynił — w teksty Wojciechowskiego, gdyby mu praktycznie demonstrował wady i zalety jego pisarstwa aniżeli zostawiał go na łasce modnego wtedy „talentyzmu" i wiary w samoczynność pomocy.

Słuszne więc wydają się uwagi W. Rogowskiego, który poświęcił Wojciechowskiemu ciekawe studium pt. „Zapomniana przyjaźń Boya" i po wyzwoleniu zajął się jego osobą i twórczością.

„Był to człowiek — pisze Rogowski — bezsprzecznie utalentowany, ale tak przytłoczony brakiem wykształcenia, latami ciężkiej pracy, wpływami wreszcie niemczyzny, że opór tych wszystkich czynników okazał się niemal nie do pokonania na drodze jego pisarstwa. Chociaż wiele czytał, niedaleko posunął się naprzód w dziedzinie umiejętności językowych na polu pisanej polszczyzny".

I rzeczywiście — już jako „ustawiony" literacko pisarz — wydał Wojciechowski przed wojną z pomocą Boya — jeśli nie liczyć jego wcześniej wydanych pamiętników — tylko jedną książkę pt. „Raz kiedyś a obecnie", po wyzwoleniu zaś wydrukował zaledwie parę opowiadań, które przeszły bez śladu, a jego nowa książka pozostaje po dziś dzień w rękopisie.[5]

Cóż się więc stało, że ten ciekawy pisarz-samouk został tak szybko zapomniany, a nawet w pewnym okresie odsunięty od życia literackiego? Niewątpliwie główną przyczyną był brak, po wojnie, takiego jak Boy patrona literackiego, który by mu nadal służył wskazówkami czy pomagał wprost, jak to sam Boy określił, w „przystrzygiwaniu" jego tekstów. Niewątpliwie dużo też zaważyła na jego powojennych losach literackich opinia Stawara, jeszcze sprzed wojny, który dopatrywał się w nim „bogoojczyźnianego klerykała", choć Wojciechowski był postępowym człowiekiem, przed wojną należał do PPS, a po wojnie do PPR. Niewątpliwie też zaciążyła nad jego niedorozwojem literackim fatalna atmosfera małego, zapyziałego miasteczka poznańskiego, w którym stale mieszkał oraz ciężka praca fizyczna.

Wydaje się jednak, że nie tylko te czynniki, a w każdym razie nie tylko one zadecydowały o dalszym, literackim losie tego zapomnianego dziś autora. Główną bowiem, jak się wydaje, przyczyną, zamilknięcia Wojciechowskiego było załamanie się spowodowane niemożnością sprostania zadaniom, które implikowała mu Boyowska wiara w samowystarczalną siłę talentu, w samoczynny rozwój twórczości. Że tak było, czy też tak być mogło, świadczy pośrednio wprawdzie, ale w sposób udokumentowany, przykład innego pisarza-samouka, wyrosłego w warunkach niezwykle podobnych do tych, które były udziałem Wojciechowskiego, mianowicie Augustyna Necla, a więc wychowanie w środowisku obcej, niemieckiej kultury, to samo, minimalne wykształcenie, zdobyte w pruskiej, czteroklasowej szkole, ciężkie życie, praca fizyczna, nieinspirujący nacisk tradycyjnego środowiska.

Necel, rybak z kaszubskiej wsi, był młodszy blisko o 20 lat od Wojciechowskiego i debiutował dopiero po przekroczeniu pięćdziesięciu lat życia! Oczywiście nigdy nie ma identycznych powtórzeń losów, indywidualności czy warunków, toteż kto wie czy i Necel nie podzieliłby losów owego starszego po piórze kolegi, gdyby jego start literacki nie nastąpił w czasie, kiedy zmieniło się już wiele uprzedzeń do tzw. kaszubszczyzny i gdyby w tym właśnie czasie nie spotkał życzliwego opiekuna literackiego, jakim był Franciszek Fenikowski. On właśnie otrzymawszy rękopis Necla zainteresował nim miejscowe wydawnictwo w Gdańsku i napisał o Neclu, jak niegdyś Boy o Wojciechowskim, entuzjastyczny artykuł do „Kultury". Rękopis Necla był oczywiście pełny nieporadności językowej i literackiej i naszpikowany magmą pamiętnikarską, dlatego wydawnictwo **zdecydowało się wydać go tylko pod warunkiem, że Fenikowski „przysposobi" literacko do druku rękopis Necla!**

I tak narodziła się w 1955 r. pierwsza książka Necla pt. „Kutry o czerwonych żaglach" i tak narodził się ciekawy, oryginalny pisarz.

Czy byłby nim jednak bez Fenikowskiego, względnie innego pisarza? Czy kilkanaście jego książek mogło powstać bez obcej, życzliwej i rozumiejącej go ingerencji innego pisarza? Pytaniem tym znowu dotykamy jednego z ciekawszych i mało zbadanych zjawisk literackich dotyczących pisarstwa samouków literackich oraz ingerencji w ich utwory innych pisarzy. Rzecz znamienna, że na przykładzie tego właśnie pisarza możemy w dużej mierze, w sposób udokumentowany, wyjaśnić wiele spraw tego kontrowersyjnego wciąż zagadnienia.

Oto Fenikowski figuruje w pierwszej, wspomnianej tu powieści Necla jedynie jako autor „wstępu, słowniczka i opracowania". Ale już w następnej — jako autor **„opracowania literackiego"!** Powstaje od razu pytanie, jak rozumieć to „opracowanie literackie"? Jak daleko mogła czy musiała sięgać tu ingerencja drugiego pisarza, jakie musiała przełamywać bariery tradycyjnego wyobrażenia o nienaruszalności tekstu literackiego? Czy opracowujący miał prawo skreślać i przestawiać tekst, co więcej dopisywać swoje słowa i zdania, aby te skreślenia służyły choćby do logicznego powiązania tekstu?

W związku z tym zwróciłem się w tej sprawie wprost do Fenikowskiego i dzięki jego uprzejmości otrzymałem wyczerpującą odpowiedź, której fragmenty pozwalam sobie tu przytoczyć.[6]

„Gust Necel skończył dwudziałową szkołę pruską w Chłapkowie, ale — o ile pamiętam — chodził do niej przez cztery lata. Były tam chyba tzw. klasy łączone. **Języka polskiego w ogóle się nie uczył.** W jego domu mówiono kaszubską gwarą. Z językiem literackim zetknął się dzięki „Gazecie Grudziądzkiej", abonowanej przez jego rodziców. Aż do końca życia nie zdołał jednak opanować poprawnej polszczyzny. Pisanie jego przypominało melanż nadmorskiego narzecza „Beloków" i dziennikarskiego żargonu z dodatkiem germanizmów. Zasady składni czy interpunkcji pozostały dlań, mimo mych wysiłków, na zawsze niezgłębioną tajemnicą. Żałuję dziś, że nie notowałem wspaniałych kwiatków niespodziewanie rozkwitających „na niwie" tej prozy. Pamiętam niektóre, np.: „Na widmach kwitli śliczne kwiatuszki mikołajczyka", „ciśnienie Magelana", „widli dzierżące w silnych dłoniach chłopów", no i to określenie z przebiegu kaszubskiego wesela z XIX wieku, które Pan mi przypomniał: „Po zakończeniu części oficjalnej, część artystyczna nastąpiła w sieni". Można by zebrać cały tom mimowolnej humorystyki.

O stylistycznych łamańcach nie da się opowiedzieć. **Rzadko kiedy,** choć starałem się zachować każdy oryginalniejszy zwrot, **mogłem pozostawić na stronie jedno czy dwa zdania w pierwotnym brzmieniu.** Abstrahując od tego wszystkiego tekst był ciekawy. Autor „ocalił od zapomnienia" wiele spraw, o których następne pokolenie z epoki telewizorów zapomniało z kretesem. Po prostu zapamiętał kaszubską Atlantydę w chwili, kiedy już zaczynała iść na dno. Zapisał anegdoty, gadki, zdarzenia, powiedzonka, piosenki, pracę na pierwszych kutrach. Mój wstępny reportaż o nim w „Kulturze" zatytułowałem „Kronikarz spod rozerwanej blizy". Ten epi-

tet przylgnął do Niego, choć Kaszubi nazywali Go „Chytrym Globusem". **Chętnie zgadzał się na wszystkie proponowane przeze mnie poprawki!** Kiedy zachęcałem Go do bardziej starannego pisania rozkładał ręce. **„Nie potrafię, a ty już to ustroisz". „Ustroiłem" Mu chyba z 7 pozycji!** Po „Łososiu wszechwładnym" skapitulowałem. Autor powtarzał się, wyraźnie gonił w piętkę, mało miał nowego do powiedzenia. Gra przestała być warta świeczki. Ale szlaki miał przetarte. Nad Jego tekstami męczyli się odtąd Bądkowski („Z deszczu pod rynnę"), Maria Jasikowa z Wyd. Morskiego i inni.

Praca nad brulionami Gusta nie była łatwa, zwłaszcza kiedy zabrał się do tematyki historycznej. Treść „Krwawego sztormu" i „Złotych kluczy" (wymyśliłem Mu oba te tytuły) opowiadał mi podczas częstych swych wizyt wielokrotnie. Już wtedy korygowałem od ręki karkołomne naiwności akcji, doradzałem konieczną lekturę uzupełniającą, mówiłem, w jaki sposób ma uplastycznić i uprawdopodobnić postacie tego dyptyku, aby ich sposób bycia i myślenia był zgodny z psychiką ludzi siedemnastego wieku. Trzeba przyznać, że „mój uczeń" był dość pojętny, mimo to **musiałem później przerabiać i wykreślać całe sceny, poprawiać styl dialogów, dopisywać puenty rozdziałów,** itp. Innej drogi nie widziałem. Nie sądzę też, że gdyby Necel pisał w rodzimym narzeczu, sprawa wyglądałaby lepiej. Krótko mówiąc: dostarczał mi cennej rudy, którą musiałem przetapiać i formować z niej figury. Ze „Złotych kluczy" czy „Łososia" **została połowa, a może jedna trzecia przekazanego mi tekstu.**

A jednak był to swego rodzaju fenomen. Cechowała Go niezwykła pracowitość. Miał imponującą pamięć. Umiał patrzeć i słuchać, a także korzystać z obfitego źródła ludowej tradycji Rozewskiej Kępy. Historyk ziemi puckiej, dr W. Odyniec, znalazł np. w nieznanych Gustowi aktach starościńskich nazwiska osób, żyjących przed wiekami, którzy niespodziewanie ożyli w „Krwawym sztormie". Kiedy jesienią ubiegłego roku (1976) przemawiałem nad grobem śp. Augustyna na zadeszczonym cmentarzu we Władysławowie, zacząłem od powiedzenia, zapisanego przez ks. Sychtę w „Słowniku gwar kaszubskich."

— „Co nie je zapisone, to nie je wożne".

Necel zapisał to wszystko w swej „najściślejszej ojczyźnie", co słyszał o niej w młodości, a co dziś byłoby nieodwracalnie zatracone. I to właśnie jest Jego bezsporną zasługą.

---

[1] B. Zakrzewski, O twórczości obscenicznej Fredry, Pamiętnik Literacki, 1974, z. 3, s. 48

[2] Współczesność, 1955, nr 16

[3] R. Ingarden, O dziele literackim, PWN, 1960, s. 23

[4] „Życie Literackie", 1975, nr 16

[5] **„Ciąg dalszy mojego życiorysu po wojnie"** zdeponowany został w zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Miejskiej w Bydgoszczy.

[6] List z dnia 21 czerwca 1977 r.

RZECZYWISTOŚĆ POTENCJALNA

(Socjologia odbioru dzieła literackiego krytyka literacka. Wybrane zagadnienia cz. II)

ZBIGNIEW KOCZERGA

Kto czyta recenzję, szkice krytyczne? Jak, i czy w ogóle wpływają one na upowszechnienie dzieła literackiego i jego odbioru? Jeśli twórczość krytyczna nie jest znana powszechnie, jeśli recenzje czytają tylko sami twórcy i nieliczna „elita" czytelnicza, to dlaczego historycy i socjologowie literatury badając recepcję dzieł sztuki opierają się na analizie tekstów krytycznych w myśl zasady: „w szeroko rozpowszechnionych komentarzach dzieło pisarza ujawnia ukryte cechy i tendencje typowe dla głównych warstw społeczeństwa".

Sprawy te sygnalizowałem w poprzednim „Morzu i Ziemi", w pierwszej części szkicu, wychodząc z założenia, że większość braków warsztatowych, niedoskonałości narzędzi badawczych socjologii literatury bierze się między innymi z niechęci do sięgania po „możliwości" estetyki. Socjologia literatury pytała dotąd najczęściej o ilościowe, statystyczne uwarunkowania odbioru unikając odpowiedzi na pytanie JAK dzieło literackie jest odbierane ze względu na ujawnione uwarunkowanie.

Oto rozwinięcie tego wątku.

Czytelnik gwarantem rozwoju i wzrostu literatury

Większość socjologów literatury rozważa problematykę czytelnictwa w dwóch podstawowych aspektach: jako jeden z elementów masowych procesów społeczno-kulturalnych w naszym kraju, informujący o zasięgu kultury oraz jako pewien symptom poziomu kultury, przejaw zindywidualizowanych kształtujących się względnie autonomicznie postaw kulturalnych, dla których warunkiem jest wyższy poziom intelektualny.

W studiach nad czytelnictwem A. Pawełczyńska (Studia nad czytelnictwem, PWN, Warszawa 1969) wprowadza akceptowane przez wielu badaczy pojęcie kultury czytelniczej, jako kryterium poziomu kulturalnego w społeczeństwie. Trudno nie zgodzić się z tezą, że „bez względu na to jaki stopień trudności utworu literackiego zdolny jest przezwyciężyć czytelnik książki, już sam fakt aktywności czytelniczej wyróżnia go spośród zbiorowości, która poświęca swój czas wolny wyłącznie na bierny odbiór środków masowego przekazu. Czytelnik wyróżnia się z tej zbiorowości bardziej aktywnym stosunkiem do kultury". Z zawartych w studium A. Pawełczyńskiej wynikach badań statystycznych dotyczących czytelnictwa na wsi i w mieście wynika między innymi, że częściej czytają mieszkańcy miast niż wsi; w miastach czytelnik częściej sięga po pozycje trudniejsze, co wiąże się z faktem, że w miastach jest więcej osób z wyższym i średnim wykształceniem. Wynika z nich również, że dość wyraźnym progiem decydującym o wyborze literatury trudniejszej jest wykształcenie średnie; wykształcenie bardziej decyduje o poziomie czytelniczym mierzonym tendencją do wyboru utworów ambitniejszych, zaś na wzrost społecznego zasięgu czytelnictwa wpływają środki masowego przekazu.

Przedstawione wnioski potwierdzają również badania prowadzone przez M. Walentynowicz, Z. Bokszańskiego, J. Ankudowicza, B. Sułkowskiego oraz szereg prac innych autorów, którym patronowała między innymi profesor Antonina Kłoskowska. Większość z wymienionych autorów godzi się z tezą (a nawet rozwija ją), że rozwój kultury czytelniczej w Polsce może pełnić w procesie rozwoju kultury funkcję gwaranta poziomu artystycznego i intelektualnego treści upowszechnianych przez środki masowej komunikacji, wyznaczając tym samym wyższy poziom społecznych aspiracji. Idąc tym tropem rozumowania niektórzy traktują grupy najbardziej przygotowane do odbioru treści kultury, jako „gwarantów poziomu i wzrostu kultury w Polsce". W kontekście tego wniosku wątpliwości budzi miejsce i rola „nie gwarantów" w kulturze.

Sytuacja współczesnej krytyki

Analizując sytuację współczesnej krytyki z pozycji estetyki, Marta Gołaszewska proponuje takie rozumienie krytyka: osoba profesjonalnie i programowo zajmująca wobec sztuki postawę krytyczną, posiadająca rozleglejszą wiedzę teoretyczną i szersze doświadczenie w zakresie kontaktów artystycznych niż to ma miejsce u twórcy i odbiorcy (hiperznawca).

W akcie komunikowania, w tym co nazywamy „faktem literackim", po stronie odbiorców mamy więc do czynienia z krytykami, którzy wygłaszają swe sądy, aby kształtować postawy odbiorców wobec sztuki, wpajając im słuszne przekonania o roli sztuki w życiu indywidualnym i społecznym; aby oddziaływać wychowawczo, podnosząc na wyższy poziom smak estetycznych odbiorców. Przy czym tych „naiwnych" odbiorców socjolog empiryk widzi, jako grupę najliczniejszą, a jednocześnie sporadycznie sięgającą po ambitne dzieło literackie, częściej zaś po literaturę popularną. Badacz może sprawdzić, że czytelnik „naiwny" bardzo rzadko sięga po teksty krytyczne, a tym samym krytyka ma na tę grupę wpływ znikomy. Dopiero wśród „znawców" socjolog zauważy nieliczną grupę na którą krytyka może oddziaływać.

Gdyby w oparciu o badania empiryczne dało się uzasadnić, że współczesna krytyka literacka jest jednocześnie sumą opinii mas czytelniczych, że suma jej interpretacji nie tylko tworzy dopełniający się obraz wielu możliwości konkretyzacji dzieła, ale że poprzez odczytanie i przyjęcie tych możliwości odbiorca empiryczny wchodzi w dialog z pisarzem — nasza sytuacja byłaby o wiele łatwiejsza. I nie jest pocieszeniem, że wątpliwości wyrażone przez socjologię empiryczną są zbieżne z sądami estetyka widzącego skutki jednostronności w jakie popada krytyka literacka. Będąc po stronie odbiorcy, licząc na jego poklask — niczego właściwie nie wnosi do rozwoju literatury. Innym razem staje się zbyt hermetyczna, zbyt trudna dla odbiorcy i ten ją odrzuca. „Te rozliczne rozbieżności i sprzeczności, w jakie popada krytyka — pisze M. Gołaszewska — sprawiają, że jej rola i zakres oddziaływania zostaje znacznie zmniejszona, że nie jest ona aż tak skuteczna, jak można by wnioskować, dokonując istotnych dla niej zadań i zamierzeń". Bliskie tym spostrzeżeniom jest inne stwierdzenie, które mówi, że socjologia ogólna, a także historia i teoria literatury, posługując się modelami idealnymi, formułują, zasady, które nie sprawdzają się poza tym modelem, w warunkach empirycznie sprawdzalnych sytuacji życia społecznego.

Może właśnie dlatego, że widzimy wyraźną niezborność pomiędzy „realnością", a „ideałami", faktem a modelem, powstaje w nas to przekonanie, że wielu badaczy rozpatrując problem socjologii odbioru w kontekście krytyki, tworzy mity, jak choćby ten o powszechnym funkcjonowaniu w świadomości niemieckich „klas średnich" dzieł Dostojewskiego. Jak pamiętamy — pisałem o tym w poprzednim „Morzu i Ziemi" — Leo Lowenthal badając recepcje dzieł na podstawie (przede wszystkim) tekstów krytycznych przyjął automatycznie, że to, co publikowano w prasie, w czasopismach, to już jest znane i funkcjonuje w w świadomości odbiorców. Co może dziś tłumaczyć taką metodę i czy może? „Z punktu widzenia odbiorcy przekaz prasowy jest więc przekazem narzuconym w przeciwieństwie do książki, która jest ofertą. Zakłada się, że to, co jest wydrukowane i rozpowszechniane w prasie lub w środkach masowego przekazu w ogóle, jest powszechnie znane. Dlatego też prasę wykorzystuje się do podania do wiadomości tego, co jest adresowane do całego społeczeństwa: rozporządzeń, obwieszczeń, ogłoszeń itd". (J. Lalewicz, Komunikacja językowa i literacka, w: Społeczne funkcje tekstów. Ossolineum 1974).

Co by nie powiedzieć o cytowanym wywodzie Janusza Lalewicza, to wszyscy zdajemy sobie sprawę, jak jest różnica między zarządzeniem o przymusowym szczepieniu, a recenzją czy szkicem krytycznym.

Jeśli znajomość tekstów krytycznych publikowanych w czasopismach i dziennikach jest obligatoryjna, to niewątpliwie L. Lowenthal miał rację i zastosował metodę właściwą już kilkadziesiąt lat wcześniej niż to „poczucie" obligatoryjności przekazów prasowych mogło zacząć funkcjonować. Zgodzimy się jednak, że teksty krytyczne mogą być przydatne w badaniach socjologa bardziej (a może przede wszystkim) jako zapis normy literackiej danego okresu, niż świadectwo powszechności odbioru i stanu świadomości mas czytelniczych.

Szansa wyjścia z impasu

Wspomniałem już o uproszczeniach jakie stosuje w swych badaniach socjologia empiryczna. W badaniach funkcji społecznych literatury posługuje się ona — zdaniem St. Żółkiewskiego — „kategoriami typologicznymi przerażająco grubymi, które nie pozwalają nam wyodrębnić najważniejszych z funkcjonalnego punktu widzenia jakościowych różnic w referencjach czytelniczych. Dlatego tak potrzebna jest nam kategoria czytelnika potencjalnego".

Dotychczasowa preferencja czytelnika potencjalnego wynika zarówno z ograniczonych możliwości socjologii, jak i tradycyjnych metod stosowanych a przydatnych w historii oraz teorii literatury. Socjologia zapożyczyła bowiem wiele terminów z tych nauk.

Powróćmy do zakreślania rzeczywistego, empirycznie sprawdzonego zasięgu książki literackiej. Janusz Ankudowicz sugeruje, że krąg osób uprawiających lekturę „zawiera się w orientacyjnych granicach 25%—30% populacji wiejskiej i 35%—40% miast. Dalsze analizy danych i materiałów pozwalają szacunkowo przyjąć, że ok. 8%—15% mieszkańców wsi i 10%—20% populacji miejskiej czyta — 1—3 — książek w ciągu 1—2 miesięcy. Można zatem uznać, że w tych oto społecznych granicach zamyka się skuteczny zasięg książki". (Mówiąc i pisząc o czytelnictwie myślimy zwykle o większym i skuteczniejszym zasięgu książki). J. Ankudowicz badał również wybór czytelniczy na podstawie materiałów bibliotecznych i w ten sposób otrzymał zestaw utworów stanowiących podstawowy kanon wyborów czytelniczych, kanon kształtujący poziom gustów i poziom powszechnej kultury czytelniczej, a następnie porównał zebrane dane z wynikami badań. A. Kłoskowskiej i zauważył znaczną ich zbieżność. W sporządzonych na podstawie trzech badań zestawach nadzwyczaj rzadko pojawiają się nazwiska autorów współczesnych twórców literatury wybitnej: dzieł o wysokich wartościach artystycznych, a przy tym trudnych.

Inne badania, prowadzone przez Zbigniewa Bokszańskiego pozwalają wysunąć wniosek, że pozycje trudne, ambitne „wysoko-artystyczne" nie znajdują uznania wśród czytelników „naiwnych" i zostają wyparte przez książki „bardziej odpowiednie dla beztroskiego spędzania wolnego czasu".

Powyższe wnioski mogą być przydatne, jako wstępne rozeznanie pola, niezbędne przy badaniu recepcji dzieła literackiego w kontekście krytyki literackiej. Na podstawie tych spostrzeżeń możemy się już dowiedzieć, kto czyta jakie książki oraz jakie są społeczne uwarunkowania takiego czytelnictwa. Nie wiemy jednak JAK te książki jako dzieła artystyczne są odbierane z uwagi na spodziewane determinaty.

Znane nam prace socjologów dotyczyły przede wszystkim społecznego uwarunkowania przekazów oraz cech społecznych odbiorców. Brak natomiast w nich refleksji o zależności pomiędzy zasadniczymi cechami społecznymi czytelników a sposobem lektury czyli próby odpowiedzi jak w tym społecznym zdeterminowaniu (i ze względu na nie) dzieło literackie bywa konkretyzowane, odbierane; jak jednocześnie oddziaływuje na świadomość odbiorcy. Zdaniem A. Kłoskowskiej pierwszą próbą ujęcia w badaniu operującym standaryzowanymi empirycznymi metodami zależności pomiędzy podstawowymi społecznymi cechami czytelników a sposobem lektury jest praca Bogdana Sułkowskiego: „Powieść i czytelnicy. Społeczne uwarunkowanie zjawisk odbioru".

Zastosowana przez B. Sułkowskiego metoda analizy (notabene biegu-

nowo różnych dzieł pod względem trudności odbioru — Camus i Kraszewski) opierała się na estetycznych, teoretyczno-literackich koncepcjach. B. Sułkowski słusznie zauważa, że odkrycie utworów popularnych nie prowadzi prostą drogą do ścisłego określania rzeczywistych gustów czytelniczych, „bowiem uwzględnić tu trzeba zjawisko podaży książek pewnego gatunku i mechanizmu upowszechniania".

Zgadzamy się z tym poglądem, że literatura silniej kształtuje światopogląd i przekonania czytelnika niż teksty naukowe i publicystyczne. Dlaczego tak się dzieje? Z uwagi na co literatura ma taką siłę oddziaływania? Dla B. Sułkowskiego jest oczywista, że dzieje się tak dzięki bogactwu walorów artystycznych literatury, a nie dzięki temu, co obok niej. Dlatego też bada odbiorców dzieła rozumianego jak struktura, której wszystkie elementy warunkują się funkcjonalnie. „W świadomości czytelnika bez specjalistycznego przygotowania literatura jest zbiorem utworów, którego działy, jak w bibliotece publicznej, stworzono na zasadach tematycznych z całkowitym pominięciem zjawiska historycznego rozwoju form artystycznych". Rozwijając tę myśl autor precyzuje tezę, że im bardziej konwencjonalna forma dzieła tym niższy jego stopień percepcyjnej łatwości i tym chętniej jest czytane. Te czynniki ułatwiające odbiór sprzyjają jego popularności zwłaszcza wśród czytelników naiwnych, ale nie tylko, bowiem „najbardziej znaczącym fenomenem ujawnionym przez analizę postaw werystycznych jest percepcyjne prawo „równania w dół". Oznacza ono, że upodobanie do konwencjonalnego realizmu zdarza się wśród inteligencji częściej niż zgoda na deformacje wśród ludzi z wykształceniem podstawowym". Stąd wynikający dalszy wniosek, że wprawdzie wykształcenie ogranicza możliwości „percepcyjnego awansu", ale równocześnie nie gwarantuje „rozumienia wartości kreatywno-ekspresywnych sztuki". Jednym słowem jesteśmy wszyscy w swej masie czytelniczej skłonni sięgać przede wszystkim po dzieła tradycyjne.

Bardzo ogólny wniosek wyprowadzony z badań B. Sułkowskiego dałby się sformułować tak: wśród czytelników, mamy więcej czytelników „naiwnych" z minimalną wiedzą o literaturze; ich umiejętność skupienia uwagi zatrzymuje się zwykle na fabularnej i postaciowej warstwie dzieła. Czytelnik ten nie przechodzi wszystkich wyodrębnionych przez R. Ingardena stopni konkretyzacji, co wynika z „braku nawyków abstrahowania".

Estetyka – socjologia Próba współpracy

Omawiane dotychczas metody badawcze, stosowane przez socjologię literatury przynosiły niezadawalające rezultaty z przyczyn o których była już mowa. (Socjologia w minimalnym stopniu wykorzystywała doświadczenia i możliwości estetyki). Zauważając te „prawidłowości" Witold Kalinowski zaproponował dwa modele współpracy estetyki i socjologii literatury. Pierwszy z nich ma na celu korzyść estetyki i polega na empirycznej weryfikacji niektórych jej twierdzeń. Drugi zaspokaja potrzeby socjologii empirycznej i „celem współpracy jest tu rozpoznanie — za pomocą kategorii i pojęć zapożyczonych od estetyki — „estetycznej" sfery świadomości społecznej oraz wskazanie kierunków i metod przebudowy tej sfery — w ramach takiej lub innej polityki kulturalnej". (W Kalinowski, Prawdy estetyki a potrzeby socjologii, w: Studia o współczesnej estetyce polskiej, Warszawa 1977).

Przyjrzyjmy się obecnie proponowanym przez W. Kalinowskiego dwom modelom współpracy estetyki z socjologią. Pierwszy z nich zmierzający w stronę praktyki kulturalnej, opiera się między innymi o Marksowskie założenia: „że zaspokajać potrzeby kulturalne człowieka, to rozwijać je i kształcić" z czego wynika obowiązek dla organizatorów życia kulturalnego, by odbiorcom nieprzygotowanym ułatwiać rozumienie sztuki trudnej a jednocześnie wartościowej ze względu na jej funkcje artystyczne i pazaartystyczne. Uznaje też że upowszechnianie dzieł artystycznych jest zawsze narzucaniem określanych wartości przez pewną grupę społeczną — grupie innej. „Współpraca estetyka z socjologiem — twierdzi W. Kalinowski — ma tutaj ten doniosły sens — że pozwala — przed uruchomieniem mechanizmów upowszechniania — zbadać, jakie są szanse recepcji określonej wartości przez całe społeczeństwo, a w jakim stopniu stanie się ona podstawą wyróżnienia na przykład elity lub — przeciwnie — warstwy społecznej prymitywnej pod względem kulturalnym".

Drugi model współpracy, („estetyka socjologiczna"), zkłada rezygnację z badania stałych, niezmiennych cech przedmiotowych dzieła. W ramach tego modelu „estetyka socjologiczna" koncentruje się na sensach, jakie dzieło uzyskuje w poszczególnych, społecznie i kulturowo zdeterminowanych procesach odbioru. Wyszczególnione sensy utożsamia się tu z Ingardenowskimi konkretyzacjami, a jednocześnie zauważa, że estetyk rozpatrując wartości konstytuujących się w społecznych procesach odbioru może tworzyć mity („wiedzę niekompletną"), ponieważ nie zawsze znane mu będzie owe społeczne odczytanie dzieła. Ale w dotarciu do faktów i poziomu mechanizmów „przekształcających jednostkowe fakty literackie w społeczne stereotypy odbioru", pomóc może socjologia.

Słusznie dowodzi W. Kalinowski, że współpraca estetyki z socjologią w ramach tak określonego modelu jest również szansą zbadania w jaki sposób specjalistyczna hierarchia wartości artystycznych ewoluuje pod wpływem opinii mas, a nie tylko — w jaki sposób ona do tej opinii dociera i na nią oddziaływa.

Zaproponowane modele („opisowy" i „postulatowy", choć rzekomo przeciwstawne, mogą się jednak uzupełniać. A bez względu na ich przeciwstawność, zarówno jedna jak i druga metoda badawcza daje — moim zdaniem — i socjologii i estetyce dużo większe szanse tworzenia prawd naukowych niż dotychczas.

Przede wszystkim poszerzą pole obserwacji, umożliwiając jednocześnie stosowanie nowych, bardziej precyzyjnych narzędzi. Ich dotychczasowy brak powodował wypominane już socjologii literatury „typologiczne grubości", czy też prymitywne skojarzenia typu: świadomość krytyka = świadomość epoki.

* * *

Z przedstawionych różnorodnych stanowisk badawczych i tych charakterystycznych dla socjologii ogólnej oraz empirycznej, i tych bliższych estetyce, a także historii i teorii literatury, wynikają pewne wnioski (sygnalizowane już w poszczególnych rozdziałach), które zebrane w tym miejscu mogłyby stanowić próbę tzw. podsumowania, czy też wyraźniejszego określenia stanowiska autora wobec niektórych problemów socjologii odbioru dzieła literackiego i krytyki literackiej. Takie podsumowanie grozi jednak zbyt wielkim uproszczeniem.

Wyrażono w tym szkicu wielokrotnie pogląd o minimalnym wprost wpływie krytyki na odbiór dzieła, na edukację odbiorców, itp., itd. Jest jednak oczywiste, że krytyka artystyczna pośrednio wpływa na podniesienie kultury literackiej wśród mas czytelniczych. (Bezpośrednio tylko na „elite"). Jej sądy zbierane przez historyków literatury i krytykę literatury trafiają do większych opracowań, do podręczników szkolnych i uniwersyteckich. Tak więc w znacznym, a może w najbardziej istotnym stopniu, wpływają te sądy na tworzenie się norm, kryteriów wartości. Te zaś przyswajane są przez „uczących się" — studentów i uczniów.

W procesie odbioru uwzględniamy (co podkreślałem) barierę wykształcenia. Jej pokonanie umożliwia w znacznym stopniu rozumienie literatury „wysokoartystycznej". Śledząc zaś prawidłowości i perspektywy rozwoju naszej oświaty (Reforma szkolna) jesteśmy optymistami, co do perspektyw powiększania się liczby „znawców"; „odbiorców sztuki". Chociaż, nie da się ukryć, perspektywy te zakłócają prawidłowości charakterystyczne dla rozwoju i coraz większego wpływu na odbiorcę — masowych środków komunikacji, („kultury masowej") oraz coraz dotkliwsze „papierowe" kłopoty naszych wydawnictw. To zagrożenie można znacznie zmniejszyć. Warunkiem jest jednak znalezienie skuteczniejszych, nowocześniejszych, wartościowszych form upowszechniania sztuki i wprowadzenie ich w życie. Oparcie dla tego wniosku znajdujemy między innymi w tej oto refleksji Sława Krzemienia-Ojaka: „Teoretycy socjalistycznej kultury muszą brać pod uwagę to, że warunkiem dalszej demokratyzacji kultury jest obecnie w naszym kraju znalezienie takich form instytucjalnych, które harmonijnie połączą planowanie i kierowanie rozwojem kultury z samodzielną i pełnoprawną inicjatywą twórczą mas na etapie wyższym niż ten, na którym pojęcie d e m o k r a c j i odpowiadało w sferze kultury pojęciu u p o w s z e c h n i e n i e". (Sław Krzemień-Ojak, Kultura — polityka — wychowanie, Warszawa 1972).

MOLO

Znów na plaży, znów w sytuacji niejasnej.
Ma się na deszcz. Ptaki krzyczą
Głosem ludzkim, nieludzkim. Molo
Prowadzi w iluzyjną perspektywę
Białe od ptasiego kału urywa się nagle
Tuż przed niewidzialną granicą
Oddzielającą nieprawdziwą burzę
Od prawdziwego tła. Kto to jest
Ten mężczyzna trzydziestoletni, gdzie płynie
W wąskiej jednopiennej łódce mojego ciała
kiedy idę po molo otwierając skrzydła wiatru, jaką
Twarz nieznajomą odnajdzie odbitą w tych wodach
Czy zrobi z niej odlew, czy powiesi nad biurkiem, czy
Napisze: „Nieznajoma twarz znaleziona w rzece". I czy wolno mu
Jeszcze wierzyć
W wielki, czarny, straszny las
Który widzę za szybami deszczu
Po drugiej stronie
Wody wielkiej i czystej

(STANISŁAW ZAJĄCZEK, Ziarno piasku)

„Kto to jest/ Ten mężczyzna trzydziestoletni, gdzie płynie/ W wąskiej jednopiennej łódce mojego ciała/ Kiedy idę po molo otwierając skrzydła wiatru, jaką/ Twarz nieznajomą odnajdzie odbitą w tych wodach/. I czy wolno/ mu/ Jeszcze wierzyć/ W wielki, czarny, straszny las/ Który widzę za szybami deszczu/ Po drugiej stronie/ Wody wielkiej i czystej."

właściwościach przyrodniczych, ekonomicznych, itp.). Najlepiej zatem objaśnić go odwołując do znaczeń, jakie mu nadały archaiczne kultury Indii i tradycja juedeo-chrześcijańska. Przypomnijmy najważniejsze. Morze (lub woda w ogóle) symbolizuje w nich: pramatkę, praprzyczynę życia; bywa karzącą apokalipsą (potop), ale jednocześnie oczyszczeniem i odrodzeniem. Stanowi jądro bytu, zawiera się w nim istota świata: przemienność i nietrwałość wszystkiego, co doczesne a co z niego wyszło.

Zatem burza i chmury są tylko chwilowymi wcieleniami owej „wody wielkiej i czystej". Szybko mijają. A człowiek? On też — jako syn morza — mija jak chmura! Charakterystyczne przecież, że i u Mickiewicza i u Zajączka obdarzony on został cechą płynności. Mickiewicz kończy swój liryk zdaniem: „Mnie płynąć, płynąć, płynąć", co nie jest chyba tylko przywołaniem toposu pielgrzyma, ale przede wszystkim: ostatecznego sensu wszystkiego, co doczesne. Kim więc jest, powtórzmy za Zajączkiem, ów mężczyzna trzydziestoletni, który „płynie w jednopiennej łódce ciała" bohatera wiersza? Jest nim ponadczasowy, intepersonalny duch poetycki, który wciela się w chwilowe, przemijalne konstrukcje ludzkie. Współczesny poeta może być więc tylko egzekutorem czegoś, co znajduje się poza nim, a co objawia mu się w postaci hierofanii. I tu dodatkowo wyjaśnia się Zajączkowa formuła: „Metafora nie jest moją własnością — mimo że tkwi w niej pewne nieporozumienie terminologiczne. Otóż poeta-klasycysta nie tyle powiela metafory (nieistotny kostium), co „ponawia" odwieczny szyfr świata (por. koncepcje J. M. Rymkiewicza), sytuacje archetypowe. Zatem wbrew poecie należy stwierdzić, że właśnie szczególnie metafora i inne wyznaczniki stylistyczne jego wierszy, stanowią podstawową różnicę wobec: I) bezpośredniej inspiracji literackiej (Liryki lozańskie A. Mickiewicza), 2) wobec archetypu morza, będącego własnością interpersonalną. Są śladem, dodatkową informacją poetycką o kimś żyjącym tu i teraz. Można jeszcze inaczej: Mickiewicz i Zajączek wprawdzie śnią na ten sam temat, ale ich sny nie są do końca tożsame.

O tej różnicy świadczy także końcowe zdanie „Mola": „Czy wolno mu/ Jeszcze wierzyć/ W wielki, czarny, straszny las/ Który widzę za szybami deszczu/ Po drugiej stronie/ Wody wielkiej i czystej". Pytanie to, mimo iż ma charakter wyraźnie retoryczny, stawiane jest z pozycji człowieka współczesnego... który jednak do końca nie wie...

Wszystkie wymienione wyżej elementy zapewniają jednocześnie wymóg oryginalności, który jest podstawowym wyznacznikiem ocen towarzyszących twórczości artystycznej przynajmniej od romantyzmu. Istotnym bowiem niebezpieczeństwem metody klasycystycznej — jeśli pojąć ją krańcowo — jest zawsze wpadnięcie w naśladownictwo, imitatorstwo. Sens roboty poetyckiej klasycysty polega zatem na jakiejkolwiek innowacji w stosunku do wzoru (w sferze poetyki, ideologii utworu, itp.). W omawianym tu przypadku (Molo — S. Zajączka) niebezpieczeństwo to było nikłe, ponieważ jego paradygmat gatunkowy stanowiła forma tak nieokreślona w romantyzmie jak liryk, który nie tyle jest gatunkiem, co chce uchodzić za rodzaj literacki: lirykę w ogóle. „Molo" więc może być uznane za jeden z lepszych przykładów na twórcze przepracowanie tradycji, choć nie został w nim naruszony ogólny schemat myślenia (archetyp) i nie został skrytobójczo rozwiązany (zaprzeczony) konkretny literacki wzór.

TADEUSZ BRZOZOWSKI

ANALIZY

Na zdrowy rozum fragment ten jest niemal bezsensowny. Jakże sobie wyobrazić kogoś, kto niejako bytuje (tu: płynie!) wewnątrz nas — i dodatkowo: któremu nasza powłoka cielesna widzi się jako wyraźnie obca?!

Pierwszym wskazaniem na owego osobnika jest cytat z „Liryków lozańskich" Adama Mickiewicza: „Woda wielka i czysta". Okazuje się, że właściwie cały wiersz jest przywołaniem tamtego utworu, przynajmniej w sferze topografii, zaś elementy dodane nie wykraczają poza właściwości kodu romantycznego, współbudząc tajemniczy, osjaniczny nastrój. „Molo" zaczyna bowiem następująco: „Znów na plaży. Znów w sytuacji niejasnej./ Ma się na deszcz. Ptaki krzyczą/ Głosem ludzkim, nieludzkim./.../ Tuż przed niewidzialną granicą/ Oddzielającą nieprawdziwą burzę/ Od prawdziwego tła."

I odnośny fragment z Mickiewicza: „Nad wodą wielką i czystą/ Stały rzędem opoki,/ I woda tonią przejrzystą/ Odbiła twarze ich czarne;/ /Nad wodą wielką i czystą/ Przebiegły czarne obłoki,/ I woda tonią przejrzystą/ Odbiła twarze ich marne".

Zatem miejsce akcji obu wierszy jest to samo, wszystko to dzieje się, mówiąc ogólnie, nad wielką wodą/ = morze lub duże jezioro/. W wierszu S. Zajączka jest to nawet niewątpliwe (molo, plaża). Ale to nie takie ważne: ważne natomiast jest to, że ta woda jest w i e l k a i c z y s t a. Czymże są wobec niej burza i związane z nią obłoki? Mickiewicz powiada czymś „marnym"; Zajączek: czymś „nieprawdziwym w stosunku do tła".

Ważność motywu akwatycznego daleko wykracza znaczeniem poza to, jakie może mu przypisać potoczne doświadczenie a także to, które staje się udziałem geografa bądź biologa (duży zbiornik wodny o określonych

Polskie krajoznawstwo morskie

Ruch krajoznawczo-turystyczny ma w kraju znaczne tradycje; niedawno obchodził swe 100-lecie form zorganizowanych. Pierwsza organizacja turystyczna, Towarzystwo Tatrzańskie, powstała w 1873 r. W 1906 r. powołano do życia Polskie Towarzystwo Krajoznawcze. Patriotyczny program działania w okresie zaborów wypełniał prawie bez reszty zakres prac obydwu organizacji. Po wyzwoleniu trzeba było się zastanowić nad nowymi warunkami, jakie zaistniały w okresie międzywojennym. I wówczas postanowiono — co pewien czas — organizować kongresy krajoznawcze. Pierwszy odbył się w Poznaniu w 1929 r.

Po II wojnie światowej obydwie organizacje w 1950 roku połączyły się, tworząc Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, organizację masową, skupiającą setki tysięcy członków. Przed PTTK stanęły więc nowe rozległe zadania. By im sprostać zwołano w 1970 r. w Gdańsku II kongres polskich krajoznawców. Obecnie — po blisko dziesięciu latach — trwają przygotowania do III kongresu, który odbędzie się w 1980 r. w Płocku.

Jest w zwyczaju, iż każde z tych wielkich posiedzeń, poprzedzają liczne sejmiki robocze, podczas których przygotowywane są wnioski kongresowe. Szczecin zwołał w maju 1979 r. sejmik krajoznawstwa morskiego.

W Szczecinie odbyło się już kilka tego rodzaju posiedzeń, które można uznać za owocne dla poznania polskiego wybrzeża i rozwoju gospodarki morskiej. W 1957 r. miał miejsce pierwszy sejmik morski, któremu przewodniczył ówczesny poseł na Sejm PRL prof. dr Stanisław Zajączek; podstawowy referat dotyczący kierunku obrad wygłosił już nieżyjący, późniejszy wicemarszałek Sejmu, Andrzej Benesz. Kolejna wielka narada odbyła się w Międzyzdrojach w 1968 r., podczas której dyskutowano nad zagadnieniami organizacyjnymi turystyki na Pomorzu Zachodnim, w tym i kwestie żeglugi pasażerskiej śródlądowej i morskiej. Nie wspominam tu o kilku innych posiedzeniach roboczych, jakie miały miejsce na przestrzeni ponad 30 lat naszego pobytu na Dolnym Przyodrzu.

Nasuwa się naturalnie podstawowe pytanie, czy w wyniku tych sejmików nastąpiły jakieś istotne zmiany w dziedzinie nas interesującej. Z perspektywy ćwierćwiecza wypada stwierdzić, że narady nie były bezowocne. O ile chodzi o ochronę przyrody to w dużej mierze w wyniku tych starań powstał Woliński Park Narodowy. Centralną część wyspy Wolin — najpiękniejszego polskiego fragmentu nadmorskiego krajobrazu — uchroniono przed inwestycjami. W wyniku natomiast rozmów z ówczesnym ministrem żeglugi prof. Stanisławem Darskim stocznia w Pleniewie pod Gdańskiem rozpoczęła budowę statków turystycznych typu „Rosa Weneda", co pozwoliło setkom tysięcy Polaków rocznie na odbycie pierwszych w życiu podróży morskich. Skromne te rejsy zapoznały miliony osób z krajobrazem Zalewu Szczecińskiego, z panoramą Świnoujścia od strony morza, itp. Statki spełniły więc swe zadania i obok wodolotów w dalszym ciągu służą popularyzacji problematyki morskiej wśród szerokich rzesz turystów.

Kolejną kwestią — ważną z punktu widzenia ochrony przyrody — jest zagadnienie chłonności plaż bałtyckich. Polskie wybrzeże osiąga kres chłonności turystycznej i trzeba koniecznie szukać innych obszarów do wypoczynku; stawia się ważną tezę: powinniśmy wypoczywać na morzu, to znaczy rozwijać morską żeglugę pasażerską i turystykę żeglarską.

Sprawa stanu wiedzy o morzu i wybrzeżu wśród szerokich rzesz społeczeństwa to kwestia pierwsza. Zapas tej wiedzy jest skromny. Na ogół ludzie wiedzą, że przed wojną mieliśmy bardzo krótki odcinek wybrzeża (70 km, względnie z Helem ok. 140 km), a teraz mamy dużo, bo ponad 500 km, a więc można budować bez ograniczeń wszelkiego rodzaju obiekty przemysłowe, a także i turystyczne. A tymczasem sprawa wygląda inaczej. W porównaniu z innymi państwami nadbałtyckimi mamy bardzo krótki odcinek wybrzeża, bo tylko około 3 proc. długości linii brzegowej Bałtyku. Długość tej linii wynosi ok. 22 tys. km. U nas na 1 km brzegu przypada 50 tys. mieszkańców (a więc praktycznie na każdego Polaka 2 cm(!).

Kronika

● Od 8 do 12 kwietnia w Klubie „13 Muz" odbywał się XIV Ogólnopolski Przegląd Zawodowych Teatrów Małych Form. Udział w nim wzięło 10 zespołów z kraju.

Komisja artystyczna w składzie: B. Frankowska, I. Olszewska, J. Błędowski, E. Kierzkowski, J. Siekiera, J. P. Gawlik (przewodniczący) I nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki przyznała spektaklowi „Przeszłość — to dziś, tylko cokolwiek dalej" w wykonaniu J. Treli, E. Karkoszki, J. Federowicza, J. Piskorza z Młodzieżowego Centrum Kultury z Krakowa. II nagrodę Morskiego Ośrodka Kultury i WRN przyznano monodramowi „Portert z ram wyjęty" wg B. Wuttke, z adaptacją S. Woronieckiego, w wykonaniu i inscenizacji E. Wawrzoń z Teatru Klubu „13 Muz" ze Szczecina. III nagrodę otrzymał K. Miklaszewski za scenariusz do spektaklu „Przeszłość — to dziś, tylko cokolwiek dalej". IV nagrodę jury przyznało S. Woronieckiemu za adaptację powieści B. Wuttke „Homunculus z tryptyku". Specjalną nagrodę miasta Bydgoszczy w trzydziestolecie swej działalności otrzymał Klub „13 Muz" w Szczecinie.

Nagrody publiczności przypadły spektaklom: I. „Przeszłość — to dziś, tylko cokolwiek dalej"; II. „Portret z ram wyjęty"; III. „Oskarżony — Wilem Rusin" W. Dymnego w wykonaniu J. Kopczewskiego, A. Dubiela, R. Marca z Młodzieżowego Centrum Kultury w Krakowie.

Ponieważ spektakle festiwalowe oglądała również publiczność w Domu Kultury Stoczni im. A. Warskiego, zostały także przyznane nagrody publiczności i Stoczni. I. nagrodę przyznano „Portretowi z ram wyjętemu", II. — za kreację aktorską — E. Wawrzoń.

● Z inicjatywy Komisji Historycznej ZNP w Szczecinie powstała praca pt. „Związek Nauczycielstwa Polskiego na Pomorzu Zachodnim w latach 1945—1975". pod red. L. Turek-Kwiatkowskiej, wydana przez Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Szczecinie.

morza i ziemi

● 106 prac wpłynęło na międzywojewódzki konkurs „Konika Morskiego". Jury w dziale malarstwa przyznało I nagrodę Grażynie Drzewińskiej, II — Wacławowi Stanisławczykowi, dwie III Alicji Hałajkiewicz i Piotrowi Wieczorkowi. Wszyscy nagrodzeni pochodzą ze Szczecina.

W dziale grafiki I nagrodę przyznano szczecińskiemu artyście Kazimierzowi Kardasińskiemu. II i III nagrodę zdobyli twórcy gdańscy, Wiesław Dembski i Izabella Laube.

W dziale rzeźby I nagrodę oraz wyróżnienie zdobył Ronald Ritter z Bydgoszczy. Natomiast II nagrodę i „Nagrodę Marynistyczną", ufundowaną przez Morski Ośrodek Kultury w Szczecinie, przyznano Wiesławowi Adamskiemu ze Szczecina.

Ponadto nagrodę — zakup Muzeum Narodowego przyznano Grażynie Drzewińskiej, a nagrodę — zakup Żeglugi Szczecińskiej otrzymał Janusz Hankowski z Elbląga.

● Doroczne nagrody wojewódzkie dla twórców i działaczy kultury przyznano w kategorii nagród zespołowych:

1. Realizatorom i wykonawcom „Pana Tadeusza" — A. Mickiewicza w Teatrze Polskim,
2. Zarządowi Wojewódzkiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej,
3. Międzyzakładowemu Domowi Kultury Budowlanych.

II. W kategorii nagród indywidualnych:

1. Bogdanowi Czubasiewiczowi — dziennikarzowi „Głosu Szczecińskiego",
2. Doc. dr hab. Bogdanowi Dopierale — kierownikowi Pracowni Historii Pomorza Zachodniego Instytutu Historii PAN, pracownikowi Zakładu Historii WSP w Szczecinie;
3. Andrzejowi Kaube — kierownikowi Muzeum Regionalnego w Wolinie;
4. Edmundowi Kierzkowskiemu — kierownikowi szczecińskiego Oddziału PAP, prezesowi Zarządu Klubu Związków i Stowarzyszeń Twórczych „13 Muz";
5. Wiktorii Maksjan — kierownikowi Oddziału Dziecięcego Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Szczecinie;
6. Zofii Małachowskiej — dyrektorowi Goleniowskiego Domu kultury;
7. Katarzynie Suchodolskiej — pisarce;
8. Edmundowi Witkowskiemu — plastykowi;
9. Doc. dr inż. Zbigniewowi Wysockiemu — pracownikowi naukowemu Politechniki Szczecińskiej).

Nie najlepiej przedstawia się też kwestia plaż; przeliczenia wykazują, iż średnia szerokość polskiej plaży wynosi około 37 m, co daje łączną powierzchnię 18 000 000 m². Przyjmuje się, iż dla wypoczynku jednej osoby potrzeba co najmniej 10 m², czyli że równocześnie w sezonie może wypoczywać na polskim wybrzeżu Bałtyku około 9—10 mln osób. Z powyższego wynika, iż każdy Polak ma praktycznie prawo do wypoczynku nad Bałtykiem raz na 3—4 lata.

Konieczne jest więc skierowanie wielkich rzesz turystycznych na inne obszary. Polski turysta kochający morze praktycznie prawie go nie zna. Rozkłada koc na piasku, czasem kąpie się na płytkich wodach przybrzeżnych i na tym kończy się znajomość bezpośrednia wód morskich. Po morzach nie pływamy, a to jest olbrzymi teren, który może przyjąć miliony. Przecież morza to 72 proc. powierzchni świata.

Wielkie cywilizacje powstawały nad brzegami morza. Odważni żeglarze odkrywali nowe lądy, wskazywali nowe drogi w świat. My musimy wyjść na morze, by na nim wypoczywać. Pierwsze posunięcia w zakresie żeglugi pasażerskiej zostały poczynione; promy nasze kursują na kilku liniach. Poza sezonem pływają czasem prawie puste kabiny, pomimo że powinny zarabiać. Plan Kierunkowy Zagospodarowania Turystycznego Polski przewiduje wykorzystanie Bałtyku przez statki pasażerskie i przez żeglarstwo turystyczne. Plan mówi, iż do dyspozycji jednostek pasażerskich powinno być około 15 portów-baz i 30 przystani pasażerskich. Naturalnie w tym celu konieczne jest posiadanie odpowiedniej floty, która by woziła turystów po Bałtyku i innych morzach świata.

Odpoczywać na morzu można nie tylko pływając na statkach pasażerskich; ostatnie 20—30 lat to okres olbrzymiego wprost rozwoju żeglarstwa morskiego. Wspomniany już poprzednio Plan Zagospodarowania Turystycznego Polski przewiduje budowę dużych baz żeglarskich na całym polskim wybrzeżu. Naturalnie potrzebne są nie tylko bazy, ale i jachty. Młodzieży, która by chciała pływać, mamy sporo. Nasze stocznie jachtowe produkują doskonałe jednostki. Masowa turystyka żeglarska może w dużej mierze odciążyć nasze wybrzeże od obecnych i przyszłych funkcji wczasowo-wypoczynkowych.

Inna kwestia ważna — to ochrona morza. Nawet w skali świata przedstawia się ona nie najlepiej. Naukowcy obliczyli, że np. Morze Śródziemne jest zanieczyszczane bardzo szybko i że w okresie najdalej około 50 lat nastąpi jego śmierć biologiczna, o ile nie rozpocznie się prac związanych z ochroną jego wód. Tak zwany Klub Rzymski powiada, iż do namysłu pozostało tylko 10 lat, potem będzie za późno. Niewesoło wygląda sprawa z Morzem Czarnym; jest ono bardzo głębokie (do 2245 m), ale poniżej 200 m następuje już zanik życia biologicznego.

A jak przedstawia się sprawa naszego Bałtyku? Jest to najbardziej zbadane ze wszystkich mórz świata, ponieważ prace naukowe są tu prowadzone od 100 lat. Bałtyk jest niewielki, jego powierzchnia wynosi zaledwie około 400 tys. km², a masa wód 21 500 km³. Ale równocześnie Bałtyk uważa się za najbardziej zagrożone ze wszystkich mórz świata. W zlewisku Bałtyku żyje 140 milionów ludzi, jest tu 60 wielkich miast przemysłowych, 7 wysoko rozwiniętych państw. Do Bałtyku wpada 250 rzek, które ze sobą przenoszą rocznie 1,2 mln ton szkodliwych substancji. Bilans tlenowy Bałtyku — przede wszystkim na większych głębokościach — przedstawia się z każdym rokiem gorzej. Podobno w 1978 roku nastąpiły pewne niewielkie zmiany wynikające z licznych sztormów; jest to na pewno zjawisko pozytywne, ale przecież nadal setki rzek niosą zanieczyszczenia.

Nie tylko rzeki przyczyniają się do zabrudzania wód bałtyckich; ekonomiści twierdzą, iż w tym rejonie koncentruje się 10—12 proc. handlu światowego. Każdego roku po morzu tym pływa 70—75 tys. statków, w tym kilka tysięcy tankowców; tych ostatnich z każdym rokiem jest więcej. Ropa to klęska dla wód. Polska inicjatywa ochrony wód Bałtyku doprowadziła w 1973 r. do zawarcia Konwencji Gdańskiej, mówiącej o współpracy państw bałtyckich w zakresie ochrony morza przed zanieczyszczeniami. Pierwszy i ważny krok został uczyniony, ale problemy nadal istnieją i powinny być pilnie rozwiązane, nie tylko z „turystycznego" punktu widzenia; przecież Bałtyk to również olbrzymi skarbiec żywności dla państw położonych nad jego brzegami. Tu każdego roku łowi się około miliona ton ryb.

Te i wiele innych zagadnień, omawiali polscy krajoznawcy podczas sesji w Szczecinie, postulując na najbliższe lata szeroki rozwój turystyki morskiej jako ważny element wychowania społeczeństwa.

CZESŁAW PISKORSKI

MAŁE FORMY

JERZY JASIŃSKI

Syrenie włosy

Jak zwykle nieoczekiwanie natknąłem się w klubie na skarbnicę legend nadmorskich, Konrada.

— Radeczku! — krzyknąłem zachwycony — sam Posejdon mi cię zsyła! Powiedz coś o morzu, rybaku z dziada pradziada, niech zapachnie dokoła morszczynem i świeżą flądrą!

Dał się jak zwykle prosić, ale od czego metody łagodnej perswazji? Przy bezach i truskawkowym koktajlu zmiękł jak szmata, bo zapomniałem powiedzieć, że na sładycze był łasy, jak szef na pochlebstwa.

— Widziałeś kiedy na bałtyckiej plaży wodorosty cieniutkie jak pajęczyna i jadowicie zielone? — zaczął mlaskając smakowicie.

— Oczywiście! — przytaknąłem ochoczo, czekając na rozwój narracji.

— To, bracie, są włosy syren... — oświadczył i ciągnął dalej: — Przed wiekami, jak pamiętasz z telewizyjnej Odyssei, syreny były albo szatynkami, albo blondynkami, dopiero później zaczęły pojawiać się wśród nich brunetki, gdy tylko — już bliżej współczesności — tankowce z ropą ruszyły na oceany i ulegały czasem sztormom. Tylko rudych nawet ze świecą... co ja mówię, z batyskafem ani na głębinie, ani na mieliznach nie było na lekarstwo. Początkowo nikt na to nie zwracał uwagi, tryton nie tryton, kalmar nie kalmar, a nawet sam Neptun nic sobie z tego nie robił. Widocznie tak musi być! — myślał każdy. Aż tu pewnego dnia banda delfinów przyniosła wieść, że na pobliskiej plaży dwa śliczne rude golaski się opalają. Popłynął kto żyw podglądać, a po powrocie zaczęły się zachwyty...

— To ja rozumiem, laleczki! — prężył się tuńczyk. — Za taką to i do sieci bym wskoczył!

— Co tam do sieci... — wzdychał mors. — Jak ja bym chciał mieć rude morsięta!

Syreny słuchały tego bredzenia i szlak je trafiał, bo — co tu kryć — syrena też kobieta, więc zawiści jej nie brak. Zaczęły się więc rozpaczliwie rozglądać za jakimś rozwiązaniem, ale mimo prób uwodzenia czerwonoskórych żeglarzy u wybrzeży Ameryki, włosy syrenom wciąż nie rudziały. Aż dopiero nasz XX wiek rozwoju chemii i permanentnego zanieczyszczania morza rozpoczął złotą erę dla syren. Radioaktywne odpady rozświeciły im włosy w ciemnościach dużych głębokości, od ścieków garbarni robiły się kasztanowe, ale dopiero zlewki z miedziowni nadały im piękny, marchewkowy koloryt. Zapanowało szczęście i harmonia w królestwie Neptuna. Ale nie na długo...

— Spowszedniało im czy jak? — pytałem domyślnie.

— To nie, ale jak wiesz z prasy, stężenie odpadów przemysłowych w morzach przybiera na sile. Miedziowy grynszpan nadał w końcu syrenim włosom zieloną barwę, a pozostałe chemikalia spowodowały stopniowe łysienie. I tak znajdujemy obecnie tu i ówdzie wyrzucony na plażę pęk syrenich włosów szpinakowego koloru, a łysych syren w ogóle już spotkać nie można, bo skryły się w najdalsze głębie, by się na śmiech mieszkańców wód nie narażać...

— Ładnieś to wywiódł, nie powiem — uśmiechnąłem się — ale gdzie tu morał? Legenda bez morału, to jak Syrena bez części zamiennych.

— Jest i morał — spojrzał pobłażliwie — ale znają go tylko nasze kobiety, tak nieszczęśliwie małpowane ongiś przez syreny.

— Skąd wiesz, że znają? — zdziwiłem się.

— To oczywiste! W przeciwnym razie już dawno próbowałyby sobie przyswoić inne syrenie wdzięki. Nie wiem jak ty, ale dla mnie żona od połowy zamieniona w rolmopsa straciłaby nieco na atrakcyjności.

Przyznałem rację przyjacielowi. Może Odys musiał się przywiązywać do masztu, by go nie ciągnęło do syren, ale od tego czasu gusta się ludziom zmieniły...

Legenda Bałtyku

Dużo zazwyczaj radości mam dzięki rozmowom z Konradem, pochodzącym ze znanej kaszubskiej rodziny. Dysponuje on bowiem wieloma zaskakującymi spostrzeżeniami i narosłymi od wielu rybackich pokoleń przypowieściami. Dziś również, gdy przełknął łyk grzanego wina, bo podobno zimne mu działa na migdałki, zaczął rozmowę od słów:

— Gdy jeszcze byłem tycim knyplem, bajdurzył mi dziadek, że nie zawsze ryby szły posłusznie do sieci. Może to i prawda, że świadomość w nich wzrosła i rozumieją teraz, jak kraj czeka na mączkę rybną, by nią zasmrodzić mięso mrożonych kurcząt. Ale ongiś się wściekły! Zebrały się na wiec i zaczęły pyskować...

— Co jest? — puszczał bąbelki węgorz. — Dlaczego to niby ci z góry mają prawo sieci zastawiać i ciągnąć nas całymi rodzinami na swoje półmiski z galaretą i do beczek z solą?!

— Musimy im delegację posłać z naszymi warunkami! — Machnął krewko ogonem królewski miętus. — W dni parzyste niech łowią sobie na zdrowie, ale w nieparzyste to my ich spróbujemy nieco połowić. To będzie szlachetne współzawodnictwo, nie?

— Tylko płastugi nie wysyłajcie w delegację — wtrącił śledź — bo ją ludzie od wieków mają za flądrę i nie będą chcieli gadać.

Jasne więc, że wybrano śledzia i łososia oraz dorsza, bo oni w największym poważaniu w Centralach Rybnych występują. Wypłynęła delegacja pod powierzchnię i zaczęła znaki porozumiewawcze ludziom dawać. A to śledź salto mortale wywija, a to dorsz na ogonie staje i tańczy chodzonego, ale rybacy nic, łowią dalej... Czasem tylko szyper do sternika mruknie:

— Powariowały dziś ryby do imentu, patrz co wyczyniają! Ani chybi załogi kutrów z Pucka portki w morzu prały i zatruły środowisko naturalne...

Dopiero gdy łosoś znalazł w morzu pustą butelkę, skrzelami ją objął i zaczął udawać pijanego, zrozumieli rybacy, że to inteligentna istota, bo pokazuje autentyczne odruchy ludzkie. Zainteresowali się więc delegacją, która podpłynęła do najbliższego kutra i przedłożyła w imieniu całego rybostanu warunki pokojowej koegzystencji. Zafrasowali się rybacy, bo niby jak to? Ryby mają nas łowić? Węgorz będzie wyrzucał na brzeg wędkę z ćwiartką na haczyku, czy jak? A może fałszywe dyplomy na szypra będą po brzegu rozrzucać, by nimi młodszych rybaków wabić? Ale co było robić, delegacja zagroziła, że ryby-piły z Atlantyku na gościnne występy zaproszą, by sieci pruły i dziurawiły drewniane kutry. Pogadali więc mądrzy szyprowie na osobności i postanowili wykołować ryby.

— Dobra! — powiedzieli w końcu. — Idźcie do swoich i przekażcie, że zgadzamy się, byście nas w dni nieparzyste łowili. Ale my was ciągniemy z dołu do góry, więc i wy musicie tak samo! Akurat dziś dziewąty, więc prosimy kilku z waszych rybaków... tfu, łowczych na pokład, a kilku naszych wyskoczy w akwalungach...

Przypłynęły więc większe okazy miętusów, węgorzy i innych morskich drapieżców, pyski z morza wychyliły, by się przyzwyczaić do powietrza, a właśnie wtedy motorzyści jak nie zapuszczą motorów, aż kłęby ropnych spalin zasnuły powierzchnię Bałtyku. Naszeleściła się skrzelami ekipa łowcza, bo przecież kasłać nie potrafiła i dała nura aż na samo dno, by pooddychać czystą, lekką osoloną H_2O. Długo potem radziło rybie społeczeństwo, aż doszło do zgodnego wniosku, że na człowieka sposobu nie ma. Trudno, tu same chęci nie wystarczą, bo ta nierówność społeczna wynika z naturalnego układu sił. I tak jest do dziś!... — zakończył Konrad, dziwnym trafem równocześnie z ostatnim łykiem grzanego wina...

— Ładne to było — pochwaliłem. — I morał wynika prawidłowy, choć nieco deterministyczny. Jeden się rodzi na rybaka, a drugi na szprotkę...

— Oczywiście, druhu! — przytaknął ochoczo Radek i zostawił mnie przy stoliku z rachunkiem za wino.

Fot. S. Pleśniarowicz; ANDRZEJ PASS — Refleksy — *akryl*, I nagroda w plebiscycie publiczności na najlepszy obraz IV Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie

Fot. J. Undro

Cena zł 20,—